Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 1 zł — 12 stron | Warszawa, 10 sierpnia 1952 r. | Nr 32 (124) Rok III

Obywatel, to znaczy: obywatel

Było to w roku 1936. Na brzegu Wisły pod Krakowem siedziała grupa bezrobotnych.

O parę kroków od utrudzonych nędzarzy wiatr trzepotał kartkami broszury. Jeden z bezrobotnych podniósł ją i przeczytał: „Ustawa konstytucyjna..." Był to tekst sanacyjnej konstytucji z 1935 roku. Broszurę zgubił jakiś plażujący maturzysta.

Bezrobotny czytał: „Państwo Polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli." Zaklął:

— Łgają dranie jak z nut.

Jego czarny, osmalony słońcem towarzysz nie zgadzał się. Udając powagę, rzekł:

— Nie kłamią. Prawdę mówią. Szczerą prawdę.

— Co ty bajesz?

— Ano prawdę piszą, tylko ty nie umiesz czytać. Nie rozumiesz.

— Jak to? Przecież napisane wyraźnie: „Państwo Polskie jest wspólnym...

— dobrem wszystkich obywateli" — dokończył czarny. A tyś bracie — obywatel?

— Jak to nie? Żołnierzem byłem.

— Głupiś — tyś jest bezrobotny, a nie obywatel. Masz kamienicę? Masz sklep? Masz fabrykę? Masz dwór?! A w legionach byłeś? I tobie się zachciewa być obywatelem? Obywatel to „kategoria" — rozumiesz?

— A przecież tu wyraźnie piszą: „Państwo roztacza opiekę nad pracą!..."

Bezrobotni ryknęli śmiechem. Brunet, nazwany przez towarzyszy „filozofem", ciągnął z upartym szyderstwem:

— Głupiś mówię ci. Przydałby ci się taki nauczyciel, jak ten policjant z wileńszczyzny. Tam szła do wyborów cała wieś. Orkiestra na przodzie, a z tyłu policja. Chłopom rozdano kartki do głosowania już w zaklejonych kopertach. Jeden z chłopów rozdarł kopertę, żeby zobaczyć, co tam jest wewnątrz. A policjant wali go pałą w łeb: „Nie wiesz, chamie — że wybory są tajne?!"

Przypomniał mi się niedawno ten obrazek z czasów minionych, gdy w sejmie obradowaliśmy nad projektem ordynacji wyborczej. Mówcy podkreślali jej „konsekwentny demokratyzm". Mówili, że służy ona sprawie umocnienia władzy ludu pracującego.

Kiedy dziś w Polsce Ludowej mówimy, że wybory są powszechne, to bezwzględną ich powszechność ilustruje fakt, że prawo głosowania mają kobiety na równi z mężczyznami, że głosuje wojsko, że głosuje młodzież już od lat 18... Słowem wszyscy, wszyscy, wszyscy... Nie ma obywateli pierwszej, drugiej, czy trzeciej klasy. Wszyscy ludzie pracy mają równe prawa.

Powszechność prawa wyborczego podkreśla przepis, który postanawia, iż jeśli w okręgu wyborczym mniej niż połowa uprawnionych brała udział w wyborach — wybory muszą być powtórzone.

Równość wyborów zabezpiecza przepis, który głosi, że w każdym okręgu wyborczym przypada jeden poseł na każde 60 tysięcy mieszkańców.

Bezpośredniość wyborów naszych streszcza się w fakcie, że wyborca głosuje na określonego kandydata. Zabezpieczona jest również bezwzględna tajność wyborów.

Zgłaszanie kandydatów to nowy wyraz demokratyzmu ludowej ordynacji wyborczej. Zgłaszają kandydatów nie tylko partie i organizacje polityczne, ale i społeczne: związki zawodowe, Samopomoc Chłopską itd., a wysuwać ich mogą obywatele na zebraniach nawet w małych grupach — na wsi nawet w gromadzie, w PGR, a w mieście w warsztacie pracy.

Zupełną nowość stanowi społeczna kontrola wyborów. Nie urzędnicy, nie administracja państwowa, ale ludzie powołani przez Rady Narodowe stanowić będą komisje wyborcze.

Ordynacja wyborcza ustala za wzorem Komuny Paryskiej odpowiedzialność posła przed wyborcami. Poseł może być odwołany, jeśli nie pracuje należycie i nie troszczy się o sprawy swego okręgu.

Przyszły Sejm Polski Ludowej będzie w pełni wolą i ustami narodu.

Adam Polewka

Ł. JUSZCZENKO

ŻYCIODAJNY SZLAK

(Reportaż o otwarciu Kanału Wołga-Don napisany specjalnie dla „Nowej Kultury")

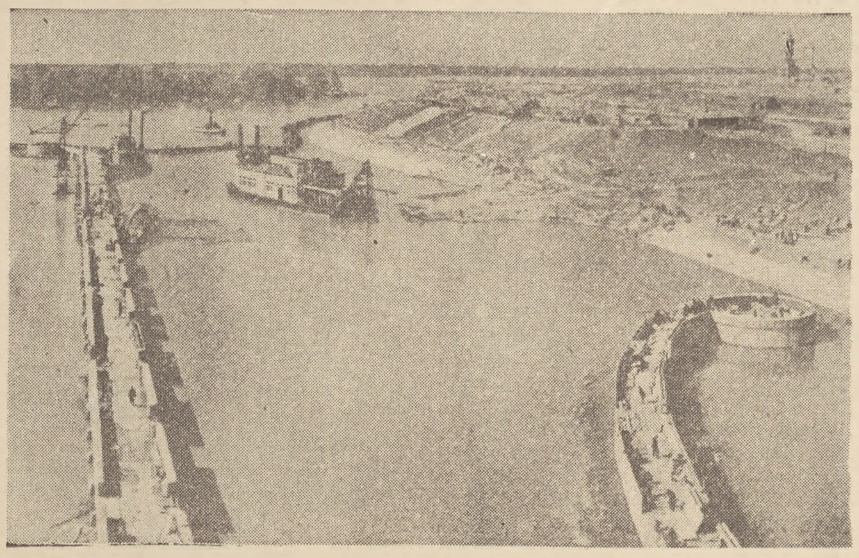
Dokonało się!

Dwudziestego siódmego lipca 1952 roku o godzinie 15 minut 50 według czasu moskiewskiego minister floty rzecznej ZSRR, Z. Szaszkow, z pokładu flagowego statku „Józef Stalin" przeciął czerwoną wstęgę przed gigantycznymi wrotami zamykającymi wejście wołgo-dońskiego kanału żeglugowego im. W. I. Lenina. Na brzegach Wołgi zabrzmiał hymn Związku Radzieckiego. Podobny grzmotom, długo nie milknący okrzyk wyrwał się z tysięcy piersi.

Nad wrotami kanału wzleciały stada gołębi, wznosząc się coraz wyżej w bezchmurne, sine niebo, niby zwiastuny wspaniałej wieści: kanał wiążący Wołgę z Donem otwarty!

Miałem szczęście znajdować się w te radosne chwile na górnym pokładzie parowca „Józef Stalin" i widzieć ten rzeczywiście wspaniały obraz święta narodu radzieckiego, kulminacyjny moment wieloletniej pracy nad połączeniem dwóch wielkich rzek. Zanim statek nasz, któremu przypadł zaszczyt pierwszego rejsu na kanale, powoli zbliżył się do śluzy nr 1, na jego pokłady spadły kaskady kwiatów, cięte róże z oranżerii i skromne rumianki zerwane z nadwołżańskich łąk. Tysiące ludzi biegły po zboczach kanału w ślad za statkiem, a niektórzy rzucali się nawet w ciepłą wodę i płynęli obok, zachłystując się nieustannymi okrzykami: — urraaaa!

Nad brzegami fruwały czapki, furażerki, bukiety kwiatów. Wielu wznosiło dzieci ponad głowy i opalona stalingradzka dzieciarnia także coś krzyczała wymachując rękami.



Pierwsze statki na Kanale między gigantycznymi molami betonowymi

Powoli rozchyliły się ciężkie skrzydła śluzy, na których widniał napis: „Życzymy pomyślności" i statek wpłynął do pierwszej komory.

W betonowe ocembrowanie uderzyła z szumem czysta, zielonkawa woda Donu. Lecz widząc wspinające się fale mogliśmy się tylko domyślać, że wody kotłują się, gdyż ich huk tonął w owacjach przewalających się nad kanałem: sto tysięcy uczestników święta witało historyczną chwilę w życiu naszego państwa.

Z woli partii komunistycznej urzeczywistniono wielowiekowe marzenie ludu rosyjskiego o połączeniu dwóch wielkich rzek — powiedział w swoim przemówieniu minister Z. Szaszkow. — Próby przekopania kanału między Wołgą i Donem podejmowano jeszcze w końcu XVII wieku z rozkazu Piotra I. W następnych stuleciach uczeni rosyjscy niejednokrotnie powracali do idei połączenia obu tych rzek, jako do ważnego zagadnienia gospodarczego. Jednakże w warunkach carskiej Rosji, przy jej ekonomicznym zacofaniu, w warunkach burżuazyjno-obszarniczego ustroju, wspaniała myśl połączenia Wołgi z Donem była nierealną mrzonką. Tylko wielka socjalistyczna Rewolucja Październikowa mogła otworzyć bezgraniczne możliwości dla wielkiego rozwoju sił twórczych kraju w imię dobra pracujących.

Z. Szaszkow podkreślił w swoim przemówieniu, że otwarcie kanału



Trasa podróży statku „Józef Stalin"

im. W. I. Lenina jest wydarzeniem o olbrzymim znaczeniu międzynarodowym: „To nowe, wspaniałe zwycięstwo Związek Radziecki i cała postępowa ludzkość oceniają jako ogromny wkład w sprawę pokoju, jako nowe potwierdzenie słów Towarzysza Stalina, że Związek Radziecki nie ogranicza, a przeciwnie — rozszerza przemysł pokojowy, nie likwiduje, a na odwrót — rozwija budownictwo nowych, potężnych elektrowni wodnych i systemów nawadniania. W realizacji wołgo-dońskiego żeglugowego kanału, jak i we wszystkich osiągnięciach Związku Radzieckiego, prości ludzie wszystkich krajów widzą dobitny wyraz pokojowej polityki naszego państwa, polityki nastawionej na zażegnanie nowej wojny, na umocnienie światowego pokoju".

Na wiecu, który odbył się, zanim statek „Józef Stalin" wpłynął do pierwszej śluzy, występowało wielu budowniczych Wołgo-Donu oraz przedstawicieli Stalingradu i Rostowa. Potężne megafony roznosiły z trybuny po brzegach Wołgi ich słowa gorące, natchnione, płynące z samego serca.

Kozak doniecki, kołchoźnik — N. Klimow wzniósł nad trybunę i pokazał uczestnikom wiecu ogromny pszeniczny snop — pierwszy rezultat nawodnienia donieckich i salskich stepów wodami Wołgo-Donu.

— Spójrzcie na ten snop z kołchozu imienia Andrejewa, rejonu Aksajskiego, na pierwszogatunkową doniecką pszenicę. Takiej pszenicy otrzymaliśmy 300 pudów (4.800 kg — przyp. red.) z hektara. Takie same są osiągnięcia we wszystkich nawadnianych kołchozach. Oto co nam przyniósł Wołgo-Don już w pierwszym roku! A co będzie, gdy opanujemy jak należy agrotechnikę nawadniania? Będziemy wtedy zbierać dużo więcej. Ojczyzna otrzyma wtedy dodatkowo miliony pudów zboża. Oprócz pszenicy sadzimy teraz ryż, bawełnę i inne cenne kultury roślinne.

O wielkim znaczeniu Wołgo-Donu mówili na wiecu: naczelnik budowy kanału — J. Sziktorow, znany hutnik Stalingradzkich Zakładów „Krasnyj Oktiabr" — P. Tuszkanow, naczelnik wołgo-dońskiej żeglugi rzecznej — M. Andrejew i inni.

A gdy wiec zakończył się i dziesiątki tysięcy ludzi skierowało się do śluzy nr 1, do tej rzeki ludzkiej przyłączyło się kilka ślubnych orszaków: młodzi budowniczowie specjalnie połączyli dzień swego ślubu z dniem otwarcia Wołgo-Donu, który zbudowali swymi rękami. I wszyscy śmiejąc się, pozdrawiając nowożeńców, rozstępowali się i przepuszczali weselne orszaki do samego najwygodniejszego miejsca, do balustrady śluzy, gdzie kotłująca się woda podnosiła statek „Józef Stalin" na pierwszy szczebel gigantycznych, 101 kilometrów liczących, wołgo-dońskich schodów.

Na mostku kapitańskim parowca flagowego, za którym uszykowała się cała flotylla rzecznych statków, stało dwóch starych pilotów. Jeden z nich, 62-letni Iwan Prochorowicz Smirnow — wołżanin, z dziada-pradziada marynarz ze wsi Ławrówka w gorkowskim obwodzie — pływał na Wołdze, drugi — Filip Aleksandrowicz Popow, z kozackiej stanicy Konstantinowka, 28 lat prowadził statki po Donie. To było zaiste symboliczne, kiedy dwaj piloci, jeden z Wołgi, drugi z Donu, prowadzili pierwszy statek przez kanał łączący dwie wielkie rzeki.

Kiedy burta statku „Józef Stalin" zrównała się z balustradą śluzy, na pokład skoczyły dziesiątki ludzi — mocnych, ogorzałych chłopców i dziewcząt — budowniczych kanału. Stojąc na pokładzie przekrzykiwali się oni ze swymi towarzyszami pozostałymi na brzegach. Potem, gdy statek wszedł do drugiej śluzy i podniósł się na pienistych wodach, znów zrównawszy się z balustradą, tamci chłopcy i dziewczęta zeskoczyli na brzeg, a ich miejsca zajęli towarzysze — każdemu chciało się chociażby chwilę przepłynąć na flagowym statku otwierającym Wołgo-Don. Między pierwszą a drugą śluzą parowiec minął miejsce, gdzie 31 maja 1952 roku spotkały się w korycie kanału wody Wołgi z wodami Donu. I kiedy statek „Józef Stalin" dopłynął do tej historycznej granicy, znowu rozległo się tysiącgłose „ura!".

Od trzeciej śluzy rozpoczęły się wspaniałe szapurnikowskie schody — pięć śluz położonych jedna obok drugiej lub rozdzielonych tylko niewielkimi zbiornikami wodnymi. Jeśli spojrzeć na ten odcinek kanału z pokładu statku, śluzy z białymi wieżami nastawni przypominają rzeczywiście szczeble gigantycznej drabiny. Podnoszą się one jeden za drugim coraz wyżej do szczytu działu wodnego między Wołgą i Donem. Tam, za dziewiątą śluzą, zaczyna się warwarowski zbiornik wodny położony na wysokości 88 metrów ponad poziom Wołgi i na 44 metry powyżej Donu. Wzdłuż owej „szapurnikowskiej drabiny" flagowy statek spotykano radosnymi okrzykami i oklaskami, kwiatami i muzyką. Wszędzie, aż do dziewiątej śluzy, stali odświętnie ubrani ludzie — brzegi wyglądały jak kwietniki.

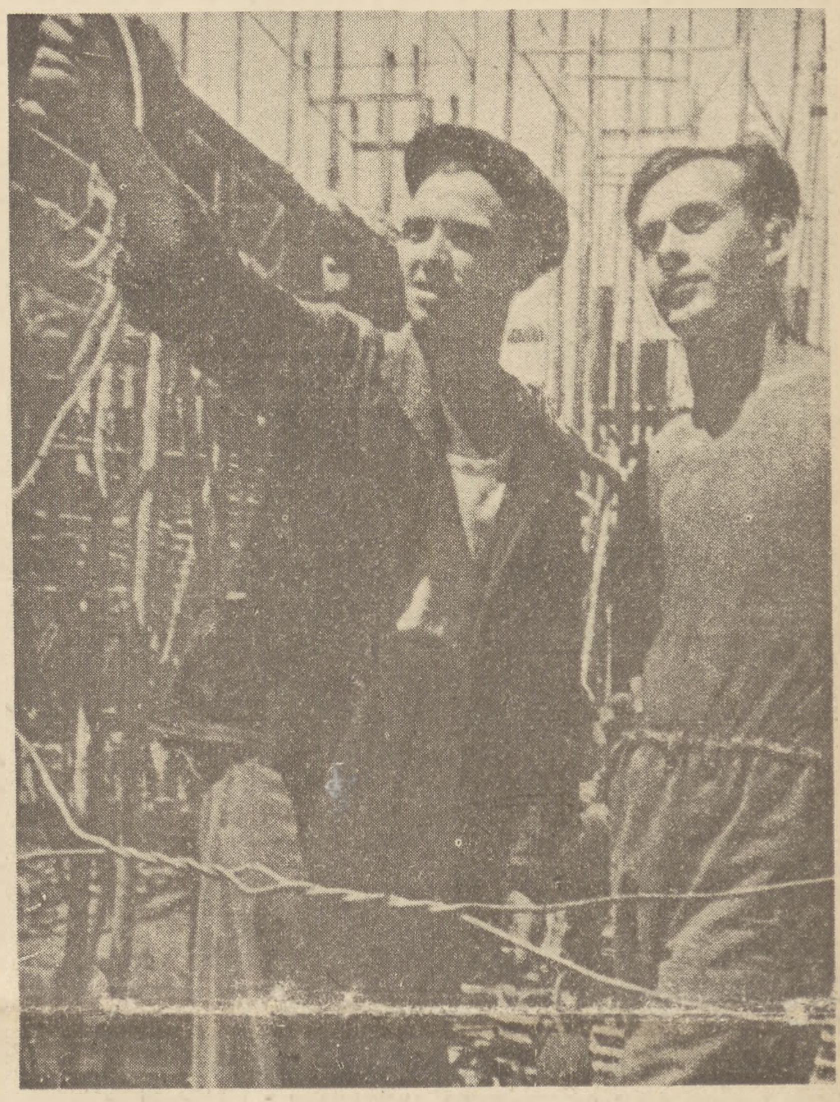
Zwiesiwszy nogi za balustradę czwartej śluzy na czarno opalony chłopak wykrzykiwał machając rękami:

— I życie dobre, i żyć dobrze! Prawda?!... Dobrze...

Wielu sobie w ten dzień podchmieliło, lecz jakież to by było święto bez kieliszka dobrego wina? Tym bardziej dla budowniczych kanału, którzy przez wiele miesięcy pracowali tutaj w znoju, chłodzie i słocie, którzy borykali się z wodą podskórną, osypiskami i niespodziewanymi zalewami, którzy nierzadko nie dosypiali padając ze zmęczenia, lecz z uporem, metr po metrze, przekopywali żeglugowy szlak przez step.

Jedynie płynąc po kanale można realnie wyobrazić sobie rozmiary przeprowadzonych tutaj robót. Już o zmroku, za dziewiątą śluzą, zobaczyliśmy czerniejącą na brzegu gromadę robotników koparki kroczącej „Esz 14-65". W porównaniu z koparką statek okazał się malutką łódeczką, ale i sama koparka wydała się znowu nie tak wielka na tle olbrzymich wzgórz w dole kanału. I kiedy porównujesz proporcje tych wielkości, do których już nawykłeś — statku i koparki — ze wzgórzami wydobytej i jeszcze niewyrównanej ziemi — a to spotykamy tylko na dwu-trzykilometrowym odcinku — zachwyca wysiłek wołgodońców.

Między Wołgą i Donem wykonano robót ziemnych dwukrotnie więcej niż przy kanale Suezkim. I nasz statek, przepływając koło koparki, zabrzmiał długą, powitalną syreną na cześć tego kroczącego giganta, który wydobył w rejonie działu wodnego około 3.000.000 m^3 ziemi... Pasażerowie statku gorąco oklaskiwali stojącą na brzegu załogę ekskawatora.

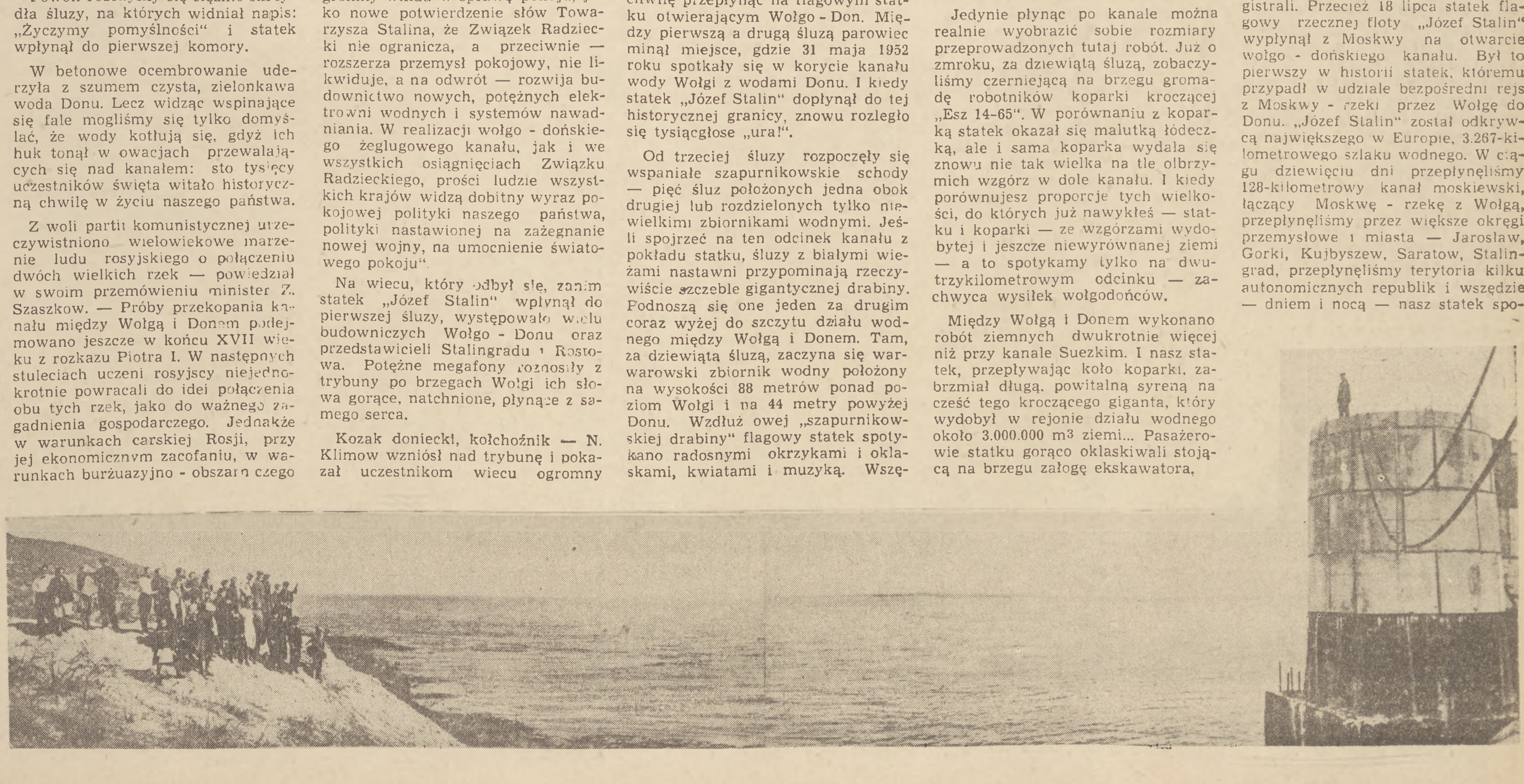


Dwaj budowniczowie kanału Wołga — Don: R. Niestulja — brygadier pierwszej komsomolskiej grupy robotniczej przy budowie basenu Cymlańskiego morza oraz J. Izmaiłow — praktykant, student Instytutu Transportu Wodnego

Całą noc statek „Józef Stalin" szedł po kanale skroś szerokich tafli zbiorników wodnych, koło śnieżnobiałych wież nastawni oblanych światłami świątecznych iluminacji, pod kolejowym i drogowymi mostami, mimo rzęsiście oświetlonych stacji pomp, szpalerem zielonych i czerwonych, neonowych świateł boi, wyznaczających bezpieczną drogę.

Już przebijał się zielonkawy świt, ale nikt nie myślał o spaniu, wszyscy siedzieli na pokładach. W bufecie rozebrano wszystkie puste butelki — opuszczano je na sznurkach za burtę, aby zaczerpnąć wody Donu. Mocno zakorkowane butelki chowano do waliz — na pamiątkę.

Mijała dziesiąta noc naszego rejsu na statku po gigantycznej sinej magistrali. Przecież 18 lipca statek flagowy rzecznej floty „Józef Stalin" wypłynął z Moskwy na otwarcie wołgo-dońskiego kanału. Był to pierwszy w historii statek, któremu przypadł w udziale bezpośredni rejs z Moskwy-rzeki przez Wołgę do Donu. „Józef Stalin" został odkrywcą największego w Europie, 3.267-kilometrowego szlaku wodnego. W ciągu dziewięciu dni przepłynęliśmy 128-kilometrowy kanał moskiewski, łączący Moskwę-rzekę z Wołgą, przepłynęliśmy przez większe okręgi przemysłowe i miasta — Jarosław, Gorki, Kujbyszew, Saratow, Stalingrad, przepłynęliśmy terytoria kilku autonomicznych republik i wszędzie — dniem i nocą — nasz statek spo-



tykały uroczyste tłumy ludności, wszędzie organizowały się spontaniczne wiece, rozlegały się przemówienia, grzmiały oklaski. Ludność dziesiątków miast i wsi, która wysypywała się na brzegi Wołgi, wzdłuż całej drogi „Józefa Stalina" przekazywała podarki i serdeczne pozdrowienia budowniczym kanału.

Na przystani niewielkiego miasta Czeboksary, dokąd przybiliśmy głęboką nocą, gdy ledwie zaczynało świtać, parowiec flagowy spotkała cała wieczorna zmiana miejscowych zakładów mechanicznych. Tysiące ludzi w zaoliwionych kurtkach, roboczych kombinezonach zapełniły



Bosman Jakow Hazow pracujący przy budowie Kanału na jednej z pogłębiarek

przystań do ostatniego miejsca, ludzie wisieli na drzewach, na słupach latarnianych, przedostali się na dachy ramp. Dopiero co ukończyli oni pracę, niemało byli zmęczeni, lecz żaden z nich nie poszedł do domu, póki statek nie odbił od brzegu dając pożegnalne sygnały. W tej chwili z wysokiego brzegu w rozjaśniające się niebo wzleciały rakiety — malutkie nadwołżańskie miasteczko po swojemu salutowało na cześć otwarcia żeglugi po wielkiej drodze wodnej, na cześć Wołgo - Donu.

Wołgo - Don! W te dni słowa te dźwięczą jak hasło otwierające drogę w przyszłość, w komunizm! Przecież kanał wołgo - doński — to pierwsza wykonana budowla komunizmu spośród tych, które powstają na brzegach Wołgi, Dniepru, Amu-Darii. Gdzieś pod Saratowem nasz statek spotkał rurociągowy kombajn ziemny Nr 503. Szedł on z Wołgo-Donu, gdzie pracował do ostatniego dnia, do Kujbyszewa, na budowę elektrowni wodnej. Wołgo - Don, ten doświadczony i zahartowany bojownik o komunizm, pierworodne dziecię wielkich budowli w ZSRR, przekazywał swoją sztafetę przyszłości — budowniczym największej na świecie elektrowni wodnej na Wołdze pod Kujbyszewem.

Pewnego razu statek otrzymał telegram od robotników niewielkiego miasteczka nad Wołgą — Chwałyńska, z prośbą, aby zrobić chociażby krótki postój w Chwałyńskiej przystani (w programie tego postoju nie było). O 5-ej rano statek „Józef Stalin" przybił do Chwałyńska i już o tak wczesnej porze oczekiwały go tysiące ludzi. Na burty wspięły się dziewczynki w białych bluzach i czerwonych chustach — delegacja miejscowej żeńskiej szkoły. Razem z bukietem kwiatów dziewczęta przekazały załodze statku wykonaną przez nie rzeźbę „Spotkanie Wołgi i Donu", która przedstawia kobietę w rosyjskim narodowym stroju i dorodnego kozaka donieckiego połączonych uściskiem dłoni.

— Przekażcie nasz podarek Wołgo-Donowi i jego budowniczym. Niech wiedzą, że i w naszym maleńkim Chwałyńsku myślimy o nich z dumą i miłością! — powiedziały pionierki.

Zaiste, wielką miłością naród radziecki otacza kanał Wołgo - Doński! I to jest całkiem zrozumiałe: z otwarciem Wołgo - Donu wszystkie żeglugowe rzeczne drogi europejskiej części ZSRR połączone zostały w jeden harmonijny system — Moskwa, stolica kraju, stała się portem pięciu mórz. Z Moskwy możesz przepłynąć statkiem na morze Barentsa, na Bałtyk, w morze Kaspijskie, Azowskie i Czarne... I kanał wołgo-doński zajmuje w tym systemie kluczowe miejsce.

Już w średnim biegu Wołgi poczuliśmy powiew Wołgo - Donu: na spotkanie „Józefowi Stalinowi", salutując syrenami, szły pierwsze statki towarowe z Azowa i Donu, które przepuszczono jeszcze przed otwarciem kanału. Wiozły one ładunek, który do tej pory przewożono tylko kolejami — doniecki węgiel, zboże północnego Kaukazu, stal i żeliwo południowo - rosyjskich zakładów metalurgicznych, surowce i półfabrykaty dla Moskwy, Leningradu, dla Uralu, Jarosławia, Gorki. I ten potok ładownych statków podnosił się stale wyżej i wyżej na północ, rozlewając się po wodnych arteriach Wołgi, Kamy i Oki jak życiodajna krew radzieckiego przemysłu.

Nasza podróż z Moskwy do Stalingradu rozwijała się jak film o historii rekonstrukcji rosyjskich rzek: białe baszty kanału Moskwa - Wołga, przestwory Rybińskiego morza, zalane słońcem, nie do ogarnięcia okiem panorama budownictwa wodnych elektrowni, w końcu ognie kanału jednoczącego Wołgę i Don...

O świcie 28 lipca kanał w głównej części mieliśmy już poza sobą.

Statek „Józef Stalin" przebywał ostatnie kilometry rozległego Karpowskiego zbiornika wodnego. W przodzie nad niskimi piaszczystymi brzegami wznosiły się ogromne białe wrota śluzy nr 13, ostatniej przed Donem. Od wody ciągnęło świeżym powiewem. Kajuty były puste. Wszyscy siedzieli na pokładzie, starając się złowić tę chwilę, gdy w prześwicie wśród gęstych zarośli błyśnie Don. Na szezlongach obok dorosłych spały dzieci. Nawet one nie chciały przepuścić wejścia na Don. Ale cóż robić?, usnęły zmorzone tym burzliwym, uroczystym dniem i zwinięte w kłębek pod pledami słodko cmokały ustami, gdy parowiec wszedł do ostatniej śluzy i zobaczyliśmy w dali wysoki prawy brzeg Donu...

Witaj Donie!

L. Juszczenko

(Kałacz n. Donem, pokład statku „Józef Stalin", 28 lipca 1952 r.)



Nad brzegami Cymlańskiego morza wyrosło kilka nowych osiedli robotniczych zamieszkałych przez pracowników Kanału oraz przesiedlonych z wiosek, które zostały przeznaczone na zalanie wodą

JERZY JANICKI

SPOTKANIE W DUKLI

Sekretarz Lewandowski wciąż przypominał słowa Lenina: „węgiel to chleb dla przemysłu". Zaczęły w całym kraju powstawać nowe obiekty, nowe kombinaty i nowe miasta. Sześciolatka jak dobra gleba: wyrastał na niej kraj przemysłu, stali, żelaza, samochodów, sztucznego włókna i statków. Uczyliśmy się budować i uczyliśmy się na nowo geografii: Nowej Huty, Nowych Tych, Żerania i Wizowa nie było dotąd na żadnej mapie. A podstawą tego wszystkiego była nasza najcenniejsza, czarna waluta — węgiel. To już był nasz, własny węgiel — nie Harrimana, i nie spółek niemiecko-francuskich. To już nie był węgiel, który miał Polskę uczynić harrimanowską kolonią. Ten węgiel zepchnął z doku „Sołdka", dał życie Piecowi-B i Częstochowie, rozkręcił generatory Jaworzna i grzał w zimie Kapuśniaka, murującego plac Konstytucji.

W 1946 roku wydobyto w Polsce 47,3 milionów ton węgla, w trzy lata później — 74,1. Warto przypomnieć, że w 1938 roku wydobycie wynosiło 38,1 mil. ton, a więc w stosunku do roku... 1913 mniej o 3 miliony ton. A teraz — w ciągu najbliższego czterolecia nasze kopalnie zwiększą wydobycie o 30 procent. Inaczej nie moglibyśmy zaspokoić rosnącego zapotrzebowania przemysłu i podnoszącej swój poziom życia ludności. A zwiększyć to znaczy: rzucić do wyrywania ziemi węgla — nowych ludzi, zmechanizować pracę na dole, podnieść wydajność — i wreszcie — budować nowe kopalnie.

Kopalnie, jakich jeszcze w Polsce nie było, kopalnie-giganty, kopalnie, na których pracę ludzkich rąk zastąpi maszyna. Kombajn: aby Błaut nie potrzebował wiercić ośmiu otworów. Albo kaczy dziób: aby Koloch nie musiał łopatą nakładać węgla na taśmę. Albo wrębiarka. Albo pogłębiarka.

Taką kopalnią miała stać się — „Wesoła-2". Kiedy to postanowiono, rębacze przodowi „Wesołej" daleko już ujechali chodnikami od podszybia.

Maj 1951 obdarował Wesołą nieznośnym upałem, namiętnie soczystą zielenią na drzewach i wiadomością o wielkich planach. Tę ostatnią przywiozły liczne komisje. Badały pokłady, szły w głąb dwóch chodników, które równolegle teraz pędzili Gruszka z Piwowarem, a potem powstały dalsze plany. Załoga dowiedziała się o nich: w 1953 możliwe jest uruchomienie pierwszej ściany do eksploatacji.

W 1953.

Przyjechali na Wesołą murarze. Kopalnia miała mieć największą w Polsce zmechanizowaną sortownię i łaźnię, największą wieżę wyciągową.

...Plac za stawem, pod lasem, pokrył się cegłami, wapnem i belkami rusztowań.

Dyrektor Świeży jeździł do Katowic, do Warszawy. Wyjazdy przyniosły efekt: sprowadzono na Wesołą kacze dzioby i wrębiarki. Gruszka natychmiast zapisał się na kurs. Nauczył się obsługiwać wrębiarkę. Inni też. Zdwoiło to prawie tempo robót przy przekopach. A kiedy zawiadowca Majka odnotował w swoim notesie: „postęp — 100 metrów" — cała załoga postanowiła: nie w 1953, a jeszcze w grudniu 1952 dadzą krajowi pierwszy węgiel.

Ale rok 1952 zaczął się dla „Wesołej-2" pod niezbyt dobrymi auspicjami. W lutym kopalnia nie wykonała planu...

W MYSŁKOWEJ BRYGADZIE

Nowa kopalnia nie miała jeszcze swojego planu produkcyjnego; miała plan na powierzchni przy budowaniu urządzeń kopalnianych i na dole przy pędzeniu chodników, robieniu komór, przebijaniu toru. Już w połowie miesiąca wszyscy widzieli, że coś jest nie w porządku. Rębacze na chodnikach nie mogli iść naprzód, bo trzeba było obudowywać. A materiał nie przychodził. Urobek z przodków leżał na taśmie: brakowało wózków. Wózki na powierzchni utknęły, na zasypanym torze, nie mogąc dojechać do pobliskiej cegielni po cegły, ani wrócić na kopalnię.

No i pokazało się: zabrakło 10 procent do miesięcznego planu.

Na ogół wiedziano: siła wyższa. Śnieg, zawieje, mróz.

Przecież czwarty kwartał ubiegłego roku wykonali z nadwyżką, przecież w styczniu padły duże rekordy. Rytmiczność była zachowana; aż tu ten luty. Ludzie chodzili struci i wstyd im było, jakże — taka kopalnia — dziecko sześciolatki. Wszędzie w brygadach szykowano się na marzec.

Była już wtedy pierwsza młodzieżowa brygada. Opiekował się nią Piotr Mysłek. Składała się z dziewięciu ludzi, prawie samych zetempowców. Pracowali po trzech na zmianie. Z Mysłkiem robił Felek Szlag i Bąk Władek. Mysłka nazywali „dziadkiem", ale szanowali go nadzwyczaj: dużo się przy nim nauczyli.

Kiedyś sekretarz partii, Spychała, wrócił z jakiejś odprawy i z miejsca poszedł przebrać się do łaźni. Na odprawie cytowano słowa towarzysza Bieruta o tym, jak plan nałożony odgórnie dotrzeć musi do całej załogi, że znać go musi i rozumieć każdy robotnik. Pomyślał: „a jak jest u mnie?" Jeżeli źle — należało zaraz wezwać agitatorów; dlatego postanowił zjechać na dół. Po drodze spotkał młodego Ślusarczyka, który był już wtedy przewodniczącym ZMP. Spytał go: „Powiedz no mi, znają twoi ludzie plan?" Ślusarczyk wzruszył ramionami: „Od tego są". Ale Spychała nie uspokoił się; zapalił karbidkę i zaczął wspinać się po żelaznych schodkach do wyciągu.

Szedł długo pochylnią. Po lewej ręce węgiel podskakiwał nerwowo na taśmie, sunąc jak potok w dół. Pod nogami chlupotała woda; kapało ze stropu jak z rynny: ciap, ciap — pełno jej było na całym pokładzie. Za to węgiel był jak złoto; czarne, niekształtne bryły połyskiwały na taśmie jak posmarowane tłuszczem: nie będzie kłopotu w sortowni.

Wreszcie pochylnia się kończy. Z daleka migają trzy trójkątne światełka. Cienie ludzi kładą się nierówno na kulakach — okrąglakach przy obudowie — i odbijają się na nich jak na karbowanym ekranie. Spychała podnosi swą karbidkę na wysokość barku, przygląda się: trafił akurat na brygadę Mysłka.

Stary grzebie w skrzynce z amunicją, Szlag przykręca kluczem dno rynny. Bąk, duży, niezgrabny, ubija w gotowe otwory patrony. „Cześć pracy". Mysłek odpowiada i dodaje: „...dacie ta co zarobić?". Lubi te stare, górnicze pogwarki. Spychała też jest nie od tego, żartuje: „Co bym nie miał dać. Ino mom stracha, bo tu zaraz pewnie coś wystrzeli".

Przysiada na spongu, stawia karbidkę między kolana i z kieszonek na udach wyciąga papierosy. Szlag kuca wciąż przy swojej rynnie, postukuje kluczem w żelazo i odzywa się pierwszy:

— Sekretarzu, zróbcie co z tymi wózkami. Na dwa przodki zdałoby się ze 120, a dają wszystkie 70.

— A wy skąd wiecie, ile wózków trzeba?

— Obliczyłem, to wiem.

— Ciekawe, czy wszystko tak wiecie — mówi podchwytliwie Spychała — a wasz plan znacie, harmonogram?

— Znam.

— No?

— Co to, egzamin?

— Pytam się.

Szlag odsuwa hełm na tył głowy; zgasł mu papieros, podnosi więc swoją karbidkę i przypala. Potem zaczyna mówić. Postępu mają na głowę 26 centymetrów, to razem na trzech... razem na trzech będzie... 78. Ale oni zawsze stawiają jeden pierścień przy obudowie, albo i dwa: robią metr dwadzieścia, czasami więcej.

Rozmawiali jeszcze chwilę, potem Spychała odszedł. Skręcił przecinką w równoległy chodnik i zaczął ślizgać się w glinie w dół. Dochodził prawie do „osobowego dworca", kiedy coś głucho zadudniło mu nad głową. Potem jeszcze raz, i jeszcze. Pod nogami coś przyjemnie odpowiedziało wstrząśnięciem. Uśmiechnął się zadowolony: to Mysłek ze Szlagiem i z Bąkiem wykonywali swój dzienny harmonogram.

APRYAS PRZYJECHAŁ!..

Pasażer czerwonego „Mavagu" zajął miejsce pod oknem i zasłonił się szeroką płachtą „Trybuny Robotniczej". Autobus ruszył z katowickiego rynku, spóźnieni pasażerowie biegli za nim czepiając się tylnych drzwiczek, ruda konduktorka krzyczała: „proszę przesuwać się do przodu", szofer naciskał klakson strasząc dzieci i konie.

Pasażer z „Trybuną" miał na sobie popielaty, górniczy płaszcz i okrągłą czapkę z dwoma skrzyżowanymi młotkami. W wewnętrznej kieszeni bluzy wiózł świeżo zdobyty dyplom ukończenia technikum i przydział do pracy na kopalnię „Wesoła-2". Wszystko to działo się jeszcze w lutym. Po trzech kwadransach jazdy poinformowano pasażera, że wóz dochodzi tylko do Larysza; dalej droga zawalona jest śniegiem, przejechać niesposób. Pomyślał bez żalu: „to pójdę piechotą".

Z Larysza schodziło się w dół; po lewej ręce ciągnął się rzadki las, po prawej wiatr szastał bez litości śniegiem, wzbijając go w wirujące tumany, zasłaniające widnokrąg. Mróz szczypał w policzki i końce uszów... Podróżny podniósł kołnierz palta i silniej nacisnął twardy daszek czapki; mrużył oczy przed wiatrem bijącym w samą twarz. Po kwadransie postanowił skrócić drogę: nad lasem dojrzał dym, pomyślał: „to tam", i zszedł z drogi. Nogi nie grzęzły już w śniegu, grunt pod butami był twardy i jakby bardziej znajomy: to była jakaś stara hałda. Pod laskiem odpoczął na moment odwracając się od wiatru; w miejscu jednak długo nie ustał: nogi zaczynały marznąć. Uh, co za pogoda była w tych ostatnich dniach lutego!...

Wesoła leżała w dole, jak w jakiej miednicy. Przy pierwszych zabudowaniach zaszczekał pies; pewnie go nie bardzo obchodził skulony przechodzień — sam trząsł się z zimna. Potem następował rząd fińskich domków poukładanych równiutko jak pudełeczka, a potem droga skręcała w lewo. Za zakrętem wiatr znów dmuchnął potężnie; druty na słupach zapiszczały cichutko, żałośnie... widać stąd było, jak pod lasem wystrzela w górę wysoka wieża szybiku. Na szczycie szprychy dwóch wyciągowych kół migały jak kołowrotki. Nieco bliżej, z pochyłej ośnieżonej hałdy, goniły się koziołkując kamienie spadające z taśmy. Pasażer popatrzył jeszcze raz na wieżę: „zdrowa — pomyślał — takiej jeszczem nie widział".

I nie pytając nikogo skierował się w tamtą stronę; nie ulegało wątpliwości — taką wieżę mogła mieć tylko „Wesoła-2".

* * *

W tym samym czasie w gabinecie dyrektora naczelnego „Wesołej" pochylono się nad rozłożoną na biurku mapą. Inwestor Czarnecki sunął palcem po pajęczastych, krzyżujących się liniach. Majka potakiwał głową, inżynierowie bazgrali w notesach. Rębacz Piwowar zatrzymał palec inwestora; powiedział: „o, to mój przodek".

— Tak — potwierdził inwestor — tym przodkiem jedzie Piwowar, a tym drugim Gruszka... Chodniki podścianowe będą gotowe, ale komu powierzyć opiekę nad przygotowaniem pola eksploatacyjnego?

To był problem. Na zebraniu partyjnym, a potem na masówce, górnicy zadecydowali już ostatecznie: przesunąć termin uruchomienia pierwszej ściany na lipiec. Na 22 lipca. Niech „Wesoła-2" jako pierwsza ze wszystkich nowych kopalń-gigantów ruszy ze startu. Ale „Wesołej-2" potrzeba natychmiast 180 przodowych rębaczy: która to kopalnia odstąpi im swoich ludzi? „Wesołej-2" potrzeba człowieka, który by swoją znajomością węgla i fachu gwarantował, że przytotowanie pola do eksploatacji będzie bez zarzutu.

Wszyscy zamyślili się na moment, szperając w pamięci wśród nazwisk znajomych inspektorów górniczych i sztygarów. Usłyszeli za drzwiami podniesiony głos sekretarki; sprzeczała się z kimś. Czarnecki poszedł zobaczyć, nacisnął klamkę, wychylił głowę i tak zamarł w tej pozie. Potem odwrócił się i krzyknął: Mamy!".

Wszyscy spojrzeli w jego stronę. Wtedy na progu niezamkniętych drzwi stanął niski, krępy mężczyzna w ośnieżonym płaszczu, czerwony od mrozu. Prawie jednocześnie wszyscy krzyknęli:

— Apryas!

Tamten opuścił kołnierz, zatupał nogami strzepując śnieg i powiedział:

— Ale też droga tutaj, pierunie! A ja do was, na robotę.

Przydział miał od kwietnia. Powiedziano mu: „w lipcu chcemy ruszyć, wiecie". „To zostanę" — powiedział Apryas. I został.

Tak największej swojej kopalni dawała Polska najlepszego swego górnika.

ROZMOWY PRZY MARYNOWANYCH GRZYBKACH

Tak więc ostatecznie na święto lipcowe ruszyć miała Wesoła. Nie tylko Apryas dołączył do załogi nowej kopalni. Przybywało wielu nowych ludzi. Przybył między innymi Adam Hoffmann.

Hoffmann skończył Akademię Górniczą w Krakowie. Był niski, czarny, ruchliwy, brwi miał krzaczaste i duże jak dwie szczotki. Na praktykę przyjechał na „Wesołą". Mieszkał w hotelu górniczym razem z kierownikiem robót górniczych — Żurkiem; pokój ich sąsiadował z pokojem Świeżego. Przyjechał tu w czerwcu ubiegłego roku; było gorąco, upalnie. Wszyscy tu dostawali wilczego apetytu: Hoffmann wyjeżdżał z dołu o dziesiątej, jedenastej w nocy. Od śniadania nie miał nic w ustach; zaraz po łaźni telefonował do siebie, do domu: „Żurek, jest tam coś do jedzenia?" Tamten już spał, był zły, rozespany i odburkiwał: „Nie wiem, nie rozmawiałem jeszcze z kelnerami". I kładł słuchawkę. Chwilę leżał jeszcze pod kocem, potem spuszczał nogi na ziemię, włączał elektryczną maszynkę, kładł patelnię i odsmażał kotlety z obiadu. Nie chciał stracić renomy najlepszego kucharza, którą posiadł już dawno, przyrządzając wyśmienite jedzenie z pachnącymi grzybami, przysmażonymi kartofelkami i czego tam jeszcze nie było. Koledzy mówili: „Chce ci się tak po nocy pitrasić". Odpowiadał: „Hoffmannowi chce się po nocy chodzić po kopalni, ja się mniej namęczę". Dyrektor Świeży zawsze przychodził do nich na pogawędkę; ku rozpaczy Żurka objadał ich przy tej okazji ze wszystkich prowiantów. Mówił o planie, o projektach, nagle zaciągał nosem — „co to, grzybki marynowane?" — pytał. Potem zjadał pół słoika.

Żurek wiecznie zrzędził; mówił do Hoffmanna: „Adaś, marynarka pękła ci na łokciu, Adaś, ile stron dzisiaj przeczytałeś do pracy dyplomowej, Adaś, zgaś już lampę, bo jutro rano się nie obudzisz". Potem, kiedy Hoffmann usypiał nad książką, cerował jego marynarkę rozprutą na łokciu, a rano budził towarzysza; gotował dla niego herbatę.

Pracę dyplomową pisał Hoffmann na temat: „Opracowanie cyklogramów do robót przygotowawczych". W grudniu wyjechał do Krakowa; Żurek dzwonił do niego wieczorem. Potem zapukał do Świeżego, uchylił drzwi i szepnął: „Adaś jest już inżynierem".

Tak rodziła się przyjaźń na wielkiej budowie.

...Świeży, kiedy zachodził do nich, siadał na brzeżku łóżka, uchylał róg prześcieradła, aby go nie zabrudzić i siedział tak długo, dopóki Żurek nie zaczął chrapać. Do późnej nocy delektowali się tym, jaka to będzie ich kopalnia.

Zaprowadzą na niej system sygnalizacji, centralizacji i blokowania, tak zwane „SCB" — według najnowocześniejszych metod radzieckich. Cały ruch podziemny będzie dzięki temu kontrolowany z jednego miejsca przy pomocy specjalnej sieci sygnalizacyjnej. W dyspozytorni jeden tylko człowiek wpatrywać się będzie w ekran, a na ekranie przejeżdżać będzie każdy pociąg, każdy ciągnik. Nikt się z nikim nie zderzy, ekran gwarantuje maksimum bezpieczeństwa. Zaprowadzą pełną mechanizację: wrębiarki, kombajny, kacze dzioby, ładowarki.

Ściana, która ruszyła w lipcu, daje pierwszych 1.050 ton na dobę. W końcu sześciolatki „Wesoła-2" dawać będzie akurat dziesięć razy więcej. To dopiero kopalnia-gigant!

W tym samym czasie, na powierzchni, powstanie gigantyczna łaźnia, budynki administracyjne; sortownię już widać gotową z daleka — czerwieni się kilkoma piętrami, dumna, nadęta, wypukła dolną halą.

...Żurkowi zaczynają się kleić oczy. Coś jeszcze pomrukuje: Świeży spogląda na zegarek — jest druga trzydzieści: nie mogą się nacieszyć swoją kopalnią.

PROJEKT FIGURANTA HIEROMINA

Właściwie wszystko już było na lipiec przygotowane. Ściana, z której wyrwać mieli pierwszy tysiąc ton węgla, osiągnęła długość 140 metrów. Teraz pozostawała jeszcze sprawa doprowadzenia do niej powietrza. Bez powietrza pracować nie można.

To była połowa kwietnia 1952. Zakochani tracą wtedy głowy z powodu wiosny. Na „Wesołej-2" potracono raptem głowy z powodu powietrza. Skąd go wziąć? Roboty górnicze były zaawansowane i wydawało się, że trzeba będzie je przerwać: nie było drogi doprowadzającej powietrze.

Pierwszy projekt był taki: przyspieszyć roboty i dobrnąć chodnikiem do szybu wentylacyjnego. Ale upadł od razu; za długo by to trwało. Przecież to już kwiecień. Ileż to zostało do lipca? Do 22 lipca? Niecałe trzy miesiące.

Drugi projekt był realniejszy. Świeży spytał Hoffmanna: „podjęlibyście się poprowadzić te roboty?" „Owszem — odparł młody inżynier — ale potrzebne mi są dwa dni".

Po dwóch dniach przyniósł gotowy projekt. Rozwinął go na biurku przed Świeżym i Majką. Suwał palcem po fioletowych liniach i objaśniał: „zaczniemy. To będzie szło prawie zupełnie prostopadle".

Tego samego dnia rozpoczęli przebijać. Ujechali sześć metrów i wrócili jak po morskiej kąpieli: woda lała się na nich strumieniami. Pompy pracowały bez ustanku — nie pomagało. Po miesiącu ujechali wszystkiego 18 metrów. I tu ludziom opadły ręce. Dalsze przebicie stało się niewykonalne.

— Trudno — powiedział Majka — a więc trzeba próbować od drugiej strony.

— Od drugiej? — dwóch inżynierów uniosło ze zdziwieniem brwi — Ależ to cały czas prawie pionowo! I jak utrafić teraz z dołu do tych osiemnastu metrów?

— W kamieniu? — dorzucił ktoś znowu — nie utrafimy.

Plany, obliczenia, pomiary nie dawały gwarancji, że przebijając duklę trafi się akurat na ten osiemnastometrowy przekop.

Sytuacja, która dotychczas była niewyraźna — stała się rozpaczliwa. Całe zobowiązanie załogi okazywało się nierealne. Świeży łapał się za głowę: „ależ to plan, plan!". Majka dorzucił: „czyżby więc w lipcu...?" Nie dokończył, bo ciężko było dokończyć myśl, że na Święto Wyzwolenia nie uruchomią ściany.

Przez dwa czy trzy dni przeklinali wodę. Wiadomość dobrnęła do załogi: niedobrze. Niedobrze i wstyd.

Trzeciego dnia zapukał ktoś do drzwi pokoju Majki. Zawiadowca spojrzał niezadowolony w tamtym kierunku: czegóż ten znowu chce? Na progu stał figurant Hieromin. „Można?" „No — proszę" — odparł Majka. Brzmiało to niezbyt zachęcająco, ale Hieromina to nie ubodło.

— Ja... — zaczął i zabębnił palcami po biurku.

(Dokończenie na str. 11-ej)

OD WIELKICH DZWONÓW

Życie kulturalne narodu, budującego ustrój socjalistyczny, charakteryzuje się rosnącą powszechnością udziału mas ludowych w twórczym procesie kulturalnych przemian. Stąd olbrzymie znaczenie, jakie Partia i Rząd w naszym państwie przywiązują do rozwoju ruchu amatorskiego, do codziennej wielkiej pracy kulturalno-oświatowej tysięcy naszych świetlic robotniczych i chłopskich, dziesiątków tysięcy ochotniczych zespołów artystycznych.

Lenin pisał:

„Talentów wśród robotników i chłopów jest moc; kapitał tysiące tych talentów dławił, niszczył, wyrzucał, my zaś nie umiemy ich jeszcze odszukać, dodać im otuchy, postawić na nogi, wysunąć".

A jakże u nas wygląda to odszukiwanie talentów wśród robotników i chłopów? Jak wygląda popularyzacja ruchu amatorskiego?

Jeżeli nawet niektóre nasze dzienniki poświęcają część swoich szpalt na aktualną informację o wydarzeniach i problemach kulturalnych, „poświęcenie" to nie obejmuje wydarzeń i problemów z zakresu ruchu i twórczości amatorsko - artystycznej.

Z tej pozycji rezerwy czy obojętności dla ruchu amatorskiego wychodzą nasze dzienniki dopiero wtedy, gdy występuje on z jakąś wielką, ogólnokrajową akcją kulturalną (konkursy, festiwale).

Ukazują się wtedy na łamach pism artykuły, reportaże, recenzje, korespondencje. Są to najczęściej publikacje spóźnione i dlatego w bardzo niewielkim stopniu przyczyniają się do popularyzacji ruchu amatorskiego. A znów brak ciągłego, codziennego kontaktu ze świetlicami, klubami fabrycznymi, z Domami Kultury zmusza piszących do zachowania ostrożności, do pisania w sposób ogólnikowy, często — bardzo powierzchowny.

W okresie wielu miesięcy przygotowań ponad 3,5 tysięcy zespołów amatorskich do Festiwalu, w okresie eliminacji powiatowych i wojewódzkich, w czasie których kilka milionów robotników i chłopów przeżywało teatr (często po raz pierwszy w życiu), w naszej prasie centralnej głucho było o Festiwalu. Skromne informacyjne notatki o przebiegu i wynikach eliminacji ukazywały się w owym czasie niemal wyłącznie w dziennikach terenowych.

Prasa centralna wystartowała do ogólnikowej akcji sprawozdawczej, gdy festiwal przeszedł już w stadium końcowe, gdy najlepsze zespoły robotnicze przyjechały na pokazy centralne do stolicy.

Głównie w oparciu o materiał informacyjny, uzyskany na konferencji prasowej w CRZZ, autorzy prasowych komentarzy i recenzji z Festiwalu (który już się był zakończył) dostrzegali na ogół całą bogatą problematykę Festiwalu: pisano o milionach widzów, które oglądały przedstawienia festiwalowe, pisano o pracy samokształceniowej, którą przeprowadziły zespoły w okresie przygotowywania spektaklów festiwawalowych, pisano o osiągnięciach artystycznych najlepszych zespołów.

Ale znowu wskutek braku codziennego kontaktu naszych dziennikarzy z życiem kulturalno-oświatowym naszych świetlic i domów kultury, gubiono proporcje, budowano niefortunną hierarchię zagadnień szczegółowych. Aż w końcu „na placu boju" został problem, którego „nie ma.

Czy reżyseria „Zwykłej sprawy" A. Tarna w zespole czechowickim kolejarzy nie była lepsza od pracy reżyserów zawodowych, którzy tę sztukę opracowywali, czy Baduszkowa z tego zespołu amatorskiego nie była w roli miss Hotchkiss — lepsza od Kossobudzkiej ze stołecznego Teatru Współczesnego, czy Carter — amatora Goldsteina nie był bardziej przekonywający niż Carter Jaronia?

A tymczasem chodziło i idzie o co innego.

MIECZYSŁAW ZIEMSKI

TO NIE BYŁA ZWYKŁA SPRAWA

Przeczytano dwukrotnie egzemplarz, przystąpiono do analizy tekstu, rozpoczęto gorącą dyskusję. W czasie dyskusji wychwytywano wszystkie problemy polityczne sztuki. Po pierwszej fali entuzjazmu dla sztuki zaczęto podawać w wątpliwość prawdę niektórych postaci, wysuwano zarzuty i pretensje. Janicki, grający Schneidera, szukał u towarzyszy odpowiedzi na pytanie: dlaczego postać Johnsona, o którym z tekstu



Instruktorka artystyczna i reżyser „Zwykłej sprawy" Tarna w zespole świetlicowym ZZ Kolejarzy w Czechowicach — Danuta Baduszkowa

wiadomo, że jest komunistą, nie jest postacią w stu procentach pozytywną? Dlaczego Johnson, gdy obrona w porozumieniu z prokuratorem zataiła, że jest on komunistą, dlaczego Johnson sam nie powiedział prawdy? Przecież Johnsona zawstydza w sztuce swoją odwagą bezpartyjny szofer Malley.

WĄTPLIWOŚCI

Inna wątpliwość. Jeżeli Lewis przyszedł na obrady ławy przysięgłych z nagromadzonym materiałem „obciążającym" Cartera, miss Hotchkiss i Malleya, to oznacza, że FBI musiała liczyć się z opozycją. W takim razie dlaczego dopuszczono do takiego składu ławy przysięgłych. Przecież nie takie są obyczaje osławionej FBI...

Gorąca dyskusja trwa już kilka dni. Przysłuchuje się jej członek brygady technicznej ob. Dzida. Któregoś dnia nie wytrzymuje w sytuacji słuchacza, włącza się do dyskusji i formułuje postulaty:

„Wzbudzicie zainteresowanie u widzów tylko wtedy, jeżeli stworzycie postacie prawdziwe. Tylko wtedy problemy poruszone w sztuce staną się prawdziwe i interesujące, a sama sztuka będzie ludzi mobilizować".

Role zostały obsadzone. Nie ma tylko wrednej, głupiej miss Roberts. Dyskusje trwają, charakterystyka postaci staje się coraz pełniejsza i głębsza.

„Wszyscy doszli do przekonania, że im bardziej wgłębiamy się w tekst, tym jaśniej widzimy, że podjęliśmy się bardzo trudnej pracy. Trzeba naprawdę zgłębić problemy poruszane w sztuce, aby sztukę zagrać dobrze, aby widz zrozumiał jej sens i jej cel. Tekst jest zawikłany. Doszliśmy do przekonania, że w akcie I dwóch ludzi orientuje się dokładnie w sytuacji. A to Lewis i Carter. Dopiero w akcie II Malley dochodzi do sedna sprawy. Z drugiej strony Lewis zmuszony przez Rogersa odsłania karty."

Zespół zabiera się do studiowania lektury uzupełniającej. Czytają zespołowo I. Erenburga „Wróciłem z USA". Porównują obraz Ameryki i Amerykanów u Erenburga i u Tarna. Wynajdują w „Teatrze" artykuł A. Tarna „Na warsztacie pracy teatralnej". Porównują ze swoją pracą, analizują wskazówki.

Miss Roberts ciągle jeszcze nie ma. Carter zaczyna niepokoić cały zespół. Brandt, który ma grać tę rolę, nie może jej zupełnie opanować pamięciowo.

„Mamy już komplet książek wchodzących w skład lektury pomocniczej. Rozdałam wszystkie między grających, aby kolejno przeczytali. Przeglądając książkę A. Wasiliewa „Ameryka od schodów kuchennych" dowiedzieliśmy się, że dziennik P. M., o którym mówi Bill, to postępowy dziennik nowojorski zlikwidowany w 1948 r. Na tej podstawie ustaliliśmy wreszcie, że akcja rozgrywa się w 1950 r. w Nowym Yorku, przy końcu lata (na podstawie powiedzenia miss Hotchkiss, że Wadowska została zamordowana 18 czerwca). Akt II jest, jak dotąd, najlepiej interpretowany przez czytających. Wszyscy chcieliby już przejść do prób sytuacyjnych".

TO NIE TEN SAM ZESPÓŁ

Praca nad sztuką wciąga towarzyszy z zespołu coraz mocniej.

„Członkowie zespołu swym entuzjazmem rozszerzają ramy pracy, które nakreśliłam. To nie ten sam zespół. Nikt nie mówi o lekkim repertuarze, o tym, że go sztuka nudzi. Każdy, kiedykolwiek spotkany, ma przy sobie egzemplarz, aby mając wolną chwilę studiować swoją rolę. Czasem ogarnia mnie lęk, czy podołam temu wielkiemu zadaniu?

Niektóre postacie już żyją, ale inne są jeszcze b. słabe. Zdawało się, że to będzie proste, a jednak nie. Aby uplastycznić słowa, trzeba odpowiednio ułożyć sytuacje. Tymczasem I akt, jeżeli chodzi o sytuacje, jest b. ubogi. Każdą sytuację ustalamy kolektywnie, podając motywy działania poszczególnych osób. Pracujemy dokładnie. Teraz zrozumieliśmy, jak powinna wyglądać właściwa praca nad sztuką. Śmiesznie po 5 latach pracy w zespole mówić, że właściwa praca rozpoczęła się dopiero. A jednak tak jest. Do tego trzeba było „Zwykłej Sprawy" A. Tarna i festiwalu."

Pod datą 16.XI zapisano w dzienniku jedno zdanie, świadczące, że zespół nie zapomina o innych swych obowiązkach:

„Próba nie odbyła się w związku z występem w PGR".

Mijają dni intensywnej pracy. Analiza projektów dekoracji. Miss Roberts wciąż jeszcze — nie obsadzona. Carter wyraźnie nie nadąża za resztą zespołu.

„Opracowywaliśmy również moment końcowy sztuki — wejście wszystkich przysięgłych i ustaliliśmy, że chcemy dać sztuce specjalne rozwiązanie. W momencie gdy Malley powie „...i ja mam teraz głos" — zrezygnowani dotychczas przysięgli podnoszą głowy i wpatrują się w niego jakby z nadzieją, że coś się tu zmieni. Widzowie czują, iż Malley powtórzy przy wszystkich swoje oskarżenie, które rzucił w rozmowę z Lewisem i Rogersem. A wtedy podniesiona na duchu i porwana jego postawą ława przysięgłych uniewinni Johnsona."

I znowu dyskusje wzbogacone nową lekturą: zespół przeczytał Majakowskiego „O Ameryce". Wszystkich uderzyła trafność poetyckiego sformułowania:

„Gnałem
siedem tysięcy wiorst naprzód
a zajechałem
siedem lat wstecz".

DYSKUSJE, DYSKUSJE

Minęło już sześć tygodni od pierwszego czytania sztuki. Próby sytuacyjne zaczynają „wychodzić". Lecz dyskusja pogłębiana coraz to nową lekturą trwa nieprzerwanie:

„Samorzutnie dodaliśmy sobie lekturę pomocniczą. Zbieramy wycinki z prasy, dotyczące środowiska i życia amerykańskiego. Ukazał się w „Nowej Kulturze" artykuł A. Słonimskiego pt. „Fata morgana pana Morgana". Przyniosłam go na dzisiejszą próbę. Po przeczytaniu wywiązała się ożywiona dyskusja. Kol. Koprzywa w oparciu o ten artykuł wysnuł pewną analogię między Priestleyem a Carterem. Priestley — postępowiec zmienia się na piewcę imperializmu. Czyż może jak i Carter nie chciał zrezygnować z czystej koszuli i wygodnego mieszkania? Kol. Janicki przeczytał nam artykuł zamieszczony w „Problemach" — „Moskwa zmienia swoją sylwetę". Mówi on o nowym budownictwie w Moskwie, o powstawaniu wieżowców. Porównywaliśmy je z nowojorskimi drapaczami chmur. Szalona różnica. Moskiewskie wieżowce o wyglądzie estetycznym mimo swego ogromu nie kradną mieszkańcom Moskwy słońca i zieleni. Drapacze chmur odbierają mieszkańcom Nowego Yorku słońce i zieleń, przytłaczają ich swoim ogromem, są jakby wzbijającym się w niebo krzykiem ludzi, przytłoczonych ciężarem dolara. I jeszcze jeden artykuł z „Przyjaźni". W tych dniach gości w Katowicach Zespół Teatru Leningradzkiego im. Puszkina. Między innymi grają „Głos Ameryki" Ławreniewa. Chcieliśmy jechać, ale niestety próby nie pozwoliły nam na to. Artykuł zaznajomił nas z wymienioną sztuką, a fotografie aktorów ukazały nam, jakie stworzyli typy. „Głos Ameryki" ukazuje nam to samo środowisko co Tarn, porusza ten sam temat. Przeprowadziliśmy na podstawie artykułu dyskusję porównawczą. Znowu jesteśmy bogatsi o parę cennych obserwacji".

Rezygnacja Cartera stworzyła nową trudność. Trzeba kogoś szukać dla obsadzenia roli. W dzienniku czytamy:

„Tak jest już w zespołach ochotniczych, że muszą przezwyciężać ciągle wyłaniające się trudności. Trudności cementują jednak zespół, który nie da się zrazić przeszkodami".

Przysłuchujący się wciąż z boku ob. Dzida awansuje z brygady technicznej na odtwórcę roli Pomettiego. Jest i Carter. Wreszcie znajduje się i miss Roberts.

„POPRAWIAJĄ" TARNA

Członkowie zespołu mają ambicje nie tylko odtwórcze:

„Wyłoniły się pewne różnice zdań co do interpretacji i ułożenia sytuacji w III akcie (scena końcowa: Rogers — Lewis — Malley). Koledzy grający Lewisa i Rogersa twierdzą, iż konieczne jest wprowadzenie z ich strony przy długim monologu Malleya choćby jednego słowa, które wyrazi ostrzeżenie dla otwarcie występującego szofera. Po dyskusji na ten temat, biorąc pod uwagę sytuację, ustaliliśmy, że dodamy okrzyk „Malley!". Wykrzyknie Lewis.

Wprowadziliśmy na próby prasówki. Omawiamy aktualności poruszane w prasie i w radiu. Prócz tego czytamy dokładnie wszelkie recenzje ze sztuk, umieszczone w prasie".

Przyjechali na kontrolę pracy zespołu delegaci z zarządu głównego Kolejarzy. Ambitni aktorzy-amatorzy w gorącej dyskusji z przedstawicielami zarządu wybronili swoją koncepcję przedstawienia, chociaż tamci kwestionowali jej trafność w kilku punktach.

Z kartek dziennika zaczyna wyzierać niepokój i zdenerwowanie. Zbliża się premiera. Aktorzy-przodownicy pracy i racjonalizatorzy — martwią się, czy włożyli dostatecznie dużo pracy w tę „naszą niezwykłą sprawę", jak nazywają sztukę. I czy jej „nie położą". Bo „to będzie równoznaczne z położeniem najważniejszych dla nas obecnie zagadnień politycznych".

Jeszcze w ostatniej chwili członkowie zespołu szukają materiałów informacyjnych, które by ich upewniły, że ich metoda pracy jest słuszna.

„Przeczytaliśmy w miesięczniku „Teatr" artykuł Jana Kreczmara „Realistyczny warsztat aktora". Znaleźliśmy w nim bogaty temat do dyskusji. Dowiedzieliśmy się o wielu rzeczach, które pokazały nam, że samorzutnie, własną pracą nad sztuką i nad sobą szliśmy dobrą drogą. Trudno mi opisywać szczegóły dyskusji. W każdym razie dochodziło do burzliwych starć, gdy zaczęto sobie wyrzucać (jeżeli chodzi o wykonanie sztuk poprzedzających „Zwykłą Sprawę") improwizatorstwo, natchnieniowość, intuicjonizm itp. Gdy doszliśmy do momentu, kiedy Kreczmar mówi, że zespołowość jest nieodzownym warunkiem realistycznego aktorstwa, dyskusja doszła do punktu kulminacyjnego. Przekrzykiwano się wzajemnie: „To właśnie my, „to my", „On pisze jakby uczestniczył na naszych próbach!"

NARODZIŁ SIĘ KOLEKTYW

Wreszcie próba generalna.

„Po próbie, która szła bez uwag, zupełnie jak przedstawienie — naturalnie dyskusja. Było sporo kolegów, wypowiadali się, że pierwszy akt słaby, że małe tempo, inni znowu, że właśnie przeciwnie, że dobry itp. Kol. Koprzywa w pewnej chwili zapytał ich — „Dobrze, ale ja chciałbym usłyszeć, co wyście z tej sztuki wynieśli. Powiedzcie mi na przykład, jaki jest cel sztuki i problemy w niej poruszane, wtedy będę wiedział, czy gramy dobrze, czy też nie". Po kolejnych wypowiedziach widzów, doszliśmy do przekonania, że cel, jaki postawiliśmy sobie, został osiągnięty. Odetchnęliśmy. Jakoś nikt (a dotąd tak zwykle bywało) nie pytał „ty słuchaj, a kto był najlepszy?" Jeżeli padały pytania, to innego rodzaju. „A jak całość zespołu? Dobra? Dobrze graliśmy?". To wszystko świadczyło o kolektywności pracy zespołu, o tym, że nie ma już w nim ambicji „gwiazdorskich". Koledzy opowiadali tym, którzy nie uczestniczyli w naszych próbach, o nowym sposobie opracowywania sztuk, o lekturze, prasówce itp."



Scena ze „Zwykłej sprawy" w wykonaniu zespołu kolejarzy z Czechowic. Od lewej Malley (Baduszek) i Lewis (Mentel)

Sukces premiery, przedstawienie dla przodowników pracy — połączone z dyskusją i występy, występy. 500 osób, 300, 600, 500, 400... I tak rosną tysiące robotniczych widzów, którym robotniczy teatr amatorski umożliwia zobaczenie politycznej sztuki, których zmusza do przemyślenia ważnych aktualnych problemów polityki światowej. I którym daje głębokie przeżycia estetyczne.

Zespół nie spoczywa na laurach. W dalszym ciągu odbywają się próby, trwają także ożywione dyskusje. Dwa razy w tygodniu zespół wyjeżdża z przedstawieniem w teren. Nie są to wygodne wycieczki turystyczne:

„Dużą przeszkodą są dla nas śniegi. W zakładzie A-15 byliśmy zmuszeni grać bez Papy i Miss Roberts, ponieważ wspomniani doszli dopiero po drugim akcie. Było duże spóźnienie pociągu, więc szli 9 km piechotą, brodząc w zaspach śnieżnych. Równocześnie przygotowujemy program na 34 rocznicę powstania Armii Czerwonej".

ROZMOWA Z AUTOREM

Zespół zwycięsko przechodzi przez eliminacje powiatowe i wojewódzkie. Pojedzie na centralne — do Warszawy. A przed wyjazdem do stolicy przeżywa jeszcze jedno głębokie wzruszenie:

„Aż nadszedł dzień, który przeszedł wszelkie oczekiwania zespołu. Adam Tarn przyjeżdża obejrzeć swoją sztukę w naszym wykonaniu! Radość, a równocześnie obawa, nurtowały zespół. Przemogła radość i chęć poznania człowieka, który tyle dobrego zdziałał za pośrednictwem swojej sztuki dla naszego zespołu.

Po przedstawieniu rozpoczyna się długa (dla nas krótka) rozmowa z autorem. Zespół początkowo jest zażenowany, zaczyna dopiero pytać i dyskutować, zachęcony bezpośredniością i życzliwością autora. A. Tarn mówi o każdej postaci w sztuce i daje cenne informacje co do przeprowadzenia pewnych poprawek. Twierdzi, że zespół grał dobrze, a myśmy uważali, że zagrać dla autora tylko poprawnie, to już będzie ogromne osiągnięcie. Widzę, że w duchu wszyscy bez wyjątku postanawiają jeszcze intensywniej pracować, jeszcze lepiej. Niestety czas upływa, a musimy jechać, dopiero o 3 rano będziemy na miejscu, a o 5-tej 90 proc. członków zespołu idzie do pracy. Malley wypowiada głośno to, co myślą wszyscy. „To najpiękniejszy dzień w moim życiu".

Warto poznać również obserwacje i przeżycia, jakie to spotkanie przyniosło autorowi sztuki. A. Tarn w rozmowie z przedstawicielką „Głosu Pracy" powiedział po przedstawieniu:

„Pisząc moją sztukę, myślałem także o scenach świetlicowych. Dlatego m. in. umieściłem ją na tle jednej tylko prostej dekoracji, aby zagrać ją można było nawet w najbardziej prymitywnych warunkach. Myślałem o zespołach świetlicowych, bo chciałem, aby za ich pośrednictwem dotarła do jak najszerszych rzesz widzów, do widzów we wsiach i małych osiedlach, wiedza o Ameryce, o tym jak wygląda życie tego kraju. Dziś moje szczere pragnienie spełniło się; zespoły świetlicowe grają „Zwykłą sprawę" i jak przekonałem się na przykładzie zespołu ZZK Czechowice — grają ją dobrze, z pełnym zrozumieniem jej politycznego sensu, grają ją tak, że każde jej słowo dociera do widza, porusza go i zmusza do myślenia. A przecież o to właśnie mi chodziło".

„Warto zresztą dodać, że niektóre teatry zawodowe cofnęły się przed wystawieniem „Zwykłej sprawy", twierdząc, że wymaga ona znakomitej obsady aktorskiej, że stwarza duże trudności dla aktorów. Przykład zespołu z Czechowic, który składa się przecież z robotników — ślusarzy, techników, maszynistów i urzędników, przekonał mnie, że sztukę tę można zagrać dobrze, jeśli tylko przemyśli się ją i zrozumie, jeśli włoży się w nią zapał i zrozumienie. Niektórzy z aktorów-amatorów zrobili na mnie szczególnie duże wrażenie.

„Pierwsze — jakie widziałem — przedstawienie świetlicowe mojej sztuki, wzruszyło mnie do głębi, przekonało mnie, że moja sztuka spełniła swoje zadanie, że wychowuje i każe myśleć. I dlatego, jeśli jeden z odtwórców „Zwykłej sprawy" w czechowickim zespole powiedział mi po naszej dyskusji, że był to jeden z najpiękniejszych dni w jego życiu — i ja chciałbym powiedzieć to samo..."

UPARTA PRACA

Zespół nie oczekuje na wyjazd do Warszawy z założonymi rękami. Kontynuują dyskusję, czytają z zachwytem Fasta. W związku z rocznicami studiują materiały o Gogolu i Hugo. Myślą o wystawieniu „Rewizora".

A w Warszawie? O warszawskim sukcesie — to już prasa szeroko pisała, nie ma potrzeby powtarzać. Nie o to zresztą chodzi.

Wykorzystaliśmy tak obszernie zapiski z dziennika po to, żeby pokazać ogrom pracy, jaka poprzedziła nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz nagrodę CRZZ.

Ta wielka, uparta, systematyczna praca samokształceniowa, polityczna jest jedyną drogą wiodącą ochotniczy zespół teatralny do prawdziwych sukcesów artystycznych. Zrozumieli to dobrze kolejarze z Czechowic, zrozumiały to — często po raz pierwszy z okazji Festiwalu — setki innych, wyróżnionych w eliminacjach zespołów.

Mieczysław Ziemski

PRAWDA Z DZIENNIKA PRACY

Leży przed nami czarny, szkolny brulion z napisem „Dziennik pracy zespołu teatralnego ZZK Czechowice-Miasto. A. Tarn „Zwykła sprawa".

Do zeszytu tego, którego prowadzenie było jednym z warunków konkursowych w Festiwalu, reżyser zespołu czechowickich kolejarzy, Danuta Baduszkowa, wpisywała dzień po dniu krótkie sprawozdania z przebiegu pracy zespołu. Prawdziwość tych zapisków została poświadczona przez towarzyszy z zespołu i przez członka prezydium RN w Czechowicach.

„26.10. 1951 r.

Dzisiaj czytaliśmy „Zwykłą Sprawę" A. Tarna. Zespół przed czytaniem tej sztuki oceniał dość pesymistycznie możliwości jej wystawienia przez nasz zespół. Po przeczytaniu I aktu nastrój ten jeszcze trwał. W drugim akcie stworzyła się atmosfera ciekawości, po trzecim akcie zespół jednogłośnie oświadczył, że sztuka jest bardzo dobra, że jest mocna, że bierze. Kol. Br. Mentel (zapalony zwolennik Wodewilu) zapytał: Dlaczego właściwie nie gramy „Zwykłej Sprawy"? Reszta przytaknęła. „Dlaczego? Przecież damy radę. Pokażemy na co nas stać". A kol. Koprzywa oświadczył: „Naszą powinnością jest grać tę sztukę, jeżeli mamy możliwości. Naszym obowiązkiem jest wychowywać nie tylko zespół, ale i widza, a my wiemy jakie jest zadanie zespołu. Dlatego decydujemy — tak".

Rozdałam teksty, aby każdy mógł przeczytać w domu i pomyśleć nad zagadnieniami poruszonymi w sztuce",

---

ZOFIA NAŁKOWSKA

PO UCHWALENIU NOWEGO PRAWA AUTORSKIEGO

Parę słów o prawie autorskim

Jako pisarz od niepamiętnych lat zawodowy pragnę wyznać, co mnie najbardziej ujmuje w przyjętym przez Sejm na posiedzeniu dnia 10-go lipca Projekcie Ustawy o Prawie Autorskim.

Biorąc udział w obradach połączonych Komisji — Kultury i Sztuki, Prawniczej i Regulaminowej oraz wyłonionej przez nie Podkomisji — nad projektem tej Ustawy, nie po raz pierwszy zetknęłam się z samym zagadnieniem. Zdarzyło mi się to już lat temu równo trzydzieści dwa, to jest — dokładnie — w dniach 17-tym, 19-tym i 22-gim maja roku 1920-go.

Posiedzenia odbyły się w owoczesnym Ministerstwie Sztuki i Kultury. W obradach nad projektem „Zasad prawa autorskiego" członka Komisji Kodyfikacyjnej, rektora Fryderyka Zolla, z ramienia twórców udział wzięli pisarze: Stefan Żeromski i Zenon Przesmycki, z muzyków: Ludomir Różycki i Stanisław Niewiadomski, ponadto zaś Stanisław Wyrzykowski i Emil Zegadłowicz — w charakterze urzędników ministerialnych.

Co do mnie, to jak teraz, tak i wówczas, zależało mi na uwzględnieniu tak zwanego „dualizmu" praw autorskich — to znaczy: prawa majątkowego i prawa indywidualnego. Jak teraz, tak i wówczas pragnęłam, by kwestie, wynikające pomiędzy autorami i wydawcami w zakresie owego prawa indywidualnego, rozstrzygane były nie przez instancje urzędowe, ale raczej przez rzeczoznawców, wyznaczanych z ramienia związków artystycznych i literackich.

Otóż w przedstawionym nam projekcie obecnej Ustawy oba te punkty były już uwzględnione.

Mianowicie w zakresie autorskiego prawa materialnego artykuł 38 w punkcie czwartym brzmi: **„Przed odstąpieniem od wydania utworu"** (to znaczy przed jego odrzuceniem) **„wydawca obowiązany jest zasięgnąć opinii stowarzyszenia twórców tego rodzaju twórczości, do jakiej należy wydawany utwór".**

W zakresie zaś indywidualnego prawa autorskiego Ustawa w paragrafie pierwszym artykułu 21-go mówi: **„Rozpowszechnienie lub przytaczanie cudzych utworów jest dozwolone tylko pod warunkiem wyraźnego wymienienia źródła oraz bez wprowadzania zmian w utworze".**

W owe dawne czasy zachodziła potrzeba obrony interesów majątkowych pisarza przed wydawcą prywatnym. Nie znaczy to, by każdy z nich był naprawdę — wedle znanego terminu Żeromskiego — „wydławcą". Zdarzało się jednak dość często, że młodzi pisarze — zamiast otrzymania zwykłego honorarium autorskiego — musieli sami dopłacać firmie wydawniczej do wydania pierwszej swej książki,

Dziś instytucje wydawnicze są organem polityki kulturalnej Państwa Ludowego, reprezentują wobec pisarza interes społeczny. Za pomocą dużego aparatu redakcyjnego (tak zwanych przez nas „czytaczy") czuwają one nad ideologiczną i literacką wartością utworów. Dbają o ich przydatność jako czynnika, kształtującego i utrwalającego w świadomości zbiorowej nowych zastępów czytelniczych cenne zdobycze zaszłej przemiany. Czynnika, pogłębiającego wiedzę człowieka o sobie i swym udziale w dziejącym się życiu. Zagrzewającego do walki o całkowite zwycięstwo tych nowych sił i wartości.

Wątpliwość może więc zachodzić tylko w poszczególnych wypadkach sprawowania przez wydawnictwa tej funkcji — co do interpretacji jej motywów, zakresu uprawnień, co do kompetencji poszczególnych redaktorów.

I tutaj właśnie zastrzeżenie niewprowadzania zmian bez wiedzy autora, zarówno jak zasięgania w sprawach spornych opinii Związku stanowi tę istotną gwarancję indywidualnych praw autorskich.

Zapewniając pisarzom możność doskonalenia i pogłębiania swej twórczości, Ustawa obecna pomaga im w pełnieniu trudnego i odpowiedzialnego zadania, które wkłada na nich dzień dzisiejszy.

Zofia Nałkowska

JAN BŁOŃSKI

„BIBLIOTEKA SZPILEK"

czytelnikom dla przyjemności, satyrykom dla nauki, krytykom do namysłu wydana

Co to jest „Biblioteka Szpilek"? Jest to jak gdyby centralne wydawnictwo satyryczne. Redagowana przy współudziale naszych czołowych satyryków, składa się w zasadzie z trzech odrębnych cykli, nie rozgraniczonych zresztą bynajmniej oficjalnie od siebie. Pierwszy — to wybór najcenniejszych, postępowych i bliskich nam pozycji satyrycznych naszej literatury. Drugi — to wybrane dzieła — najczęściej arcydzieła — literatury światowej podobnego typu. Trzeci wreszcie — to tomy współczesnych, polskich pisarzy, bieżący dorobek twórczy naszych satyryków.

Zrecenzowanie „Biblioteki Szpilek" jest właściwie niemożliwością. Mamy do odnotowania kilka pozycji, od Goreckiego do Tuwima, od Heinego do Demiana Biednego, od Marianowicza do Wiecha. Znajdzie się Czapek i Grodzieńska, Bałucki i Czechow, France i Minkiewicz. Omówienie każdej pozycji zamieniłoby się siłą rzeczy w nic nie mówiącą, banalną cenzurkę, w dodatku często śmieszną, bo jak tu można w paru zdaniach załatwić się z Gogolem. Nie o to nam chodzi. Ważne jest dla nas co innego: skonstatowanie, co nowego wnosi wydanie i skomentowanie danej książki do obrazu naszej literatury po pierwsze; próba wyciągnięcia z naszej i obcej literatury satyrycznej wniosków dla współczesnych pisarzy, po drugie; po trzecie wreszcie — próba rzucenia paru uwag o sytuacji satyry dzisiejszej.

Przede wszystkim jednak skłońmy się przed twórcami „Biblioteki". Nie ma w niej ani jednej pozycji niepotrzebnej; jest kilka pozycji bardzo interesujących; jest rzetelna praca uzbrojonego w nowoczesne metody badawcze szperacza, wyszukującego w starych bibliotekach to co zostało żywe; jest troska o ciągłość kulturalną, troska upowszechnienia prawdziwych osiągnięć satyrycznego pisarstwa; jest chwalebna odwaga krytyczna, jest wreszcie — rzadka w gruncie rzeczy — umiejętność stworzenia wydawnictwa równie interesującego co pożytecznego.

OD GORECKIEGO DO TUWIMA

Od Goreckiego do Tuwima — zestawienie dość karkołomne. Te dwa nazwiska jednak zamykają w dotychczas wydanych tomach „Biblioteki Szpilek" naszą tradycję satyryczną.

Problem polskiej tradycji satyrycznej XIX wieku to głównie problem literackiej rozprawy z szlachetczyzną. Atak ów ocalał dla naszej pamięci w dziełach twórców najwybitniejszych; ale cenzurze społecznej, ówczesnej i późniejszej, udało się zepchnięcie w niepamięć literatury drugiej linii (nie — drugiej klasy!), która się walką ze szlachtą parała. Zadanie miała owa cenzura ułatwione: rozproszenie wysiłków twórczych, „felietonowość", mniejsza jakość artystyczna, dawały łatwy pretekst do rozciągnięcia wokół niejednego zmowy milczenia. A przecież różnorodność i napięcie ataku na szlachetczyznę zadziwiają. Oto najostrzejszy, najbezwzględniejszy, najcelniejszy też chyba paszkwil na jaśnie panów wychodzi spod pióra Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Paszkwil pisany dosłownie z pianą na ustach. Krótki szkic: „Wrażenia słuchowe nauczyciela z wielkiego domu z dodatkami". Stenogram pańskich rozmów, nic więcej. A jest w nim wszystko: i społeczna geneza magnackiego władztwa, i dokładny opis metody trzymania się przy władzy, i rzeczywista podszewka szlacheckiej moralności. Oto „Pan burmistrz z Pipidówki", powieść o terrorze obyczajowym, którego ofiarą pada galicyjskie drobnomieszczaństwo, dokładny i ironiczny opis „promieniowania" szlacheckiej mentalności na nieszczęsnych pipidówczan, których też zresztą Bałucki potężnie wyśmiał. — Oto wreszcie „Żywot i myśli Podfilipskiego", książka jedyna w swoim rodzaju, bo demaskująca zarazem i arystokrację i plutokrację w osobniku, który uosabia stapianie się szlachty z burżuazją.

Podobnie radykalną wymowę posiadają pozycje historycznie wcześniejsze. Rzekomo poczciwe, dobrotliwe „Ramotki" Wilkońskiego okazują się surowymi aktami oskarżenia; Kraszewski w „Pamiętniku panicza" podejmuje z powodzeniem schemat dziejów utracjusza, tak w naszej powieści częsty; wilk, baran i dudek odgrywają u Goreckiego społeczne dramaty; Rodoć pisze:

„Gdy tłum w społecznej walce
[morduje i pali
Cnota się od zbrodniczej odwraca
[swawoli,
Ale sumienie wstaje i kładzie
[na szali:
Godziny pijanej orgii i wieki
[niedoli".

Tak więc wędrówka po satyrykach zapomnianych — albo satyrykach, którym sens ich satyry zakłamano — staje się odkrywaniem naszej literatury na nowo, staje się powtórnym odczytywaniem naszego dorobku, wypełnianiem luk w naszej jakże jeszcze fragmentarycznej wiedzy o bogatej prozie XIX wieku. Niezbędne przy tym są różne operacje krytyczne: raz trzeba dzieło po prostu odnaleźć, jak w przypadku Kraszewskiego, którego „Pamiętnik panicza" zniknął wśród kilkuset tomów dorobku pisarza, albo Bałuckiego, którego proza stała niesłusznie w cieniu komedii. Innym razem niezbędne jest nowe spojrzenie na dzieło, spojrzenie, które może być powrotem do pierwotnego celu autora (Wilkoński), albo też odczytaniem wbrew zamysłom twórczym pisarza, tak jak dziś odczytujemy Balzaka (Weyssenhoff). Streszczeniem tych operacji są wstępy, głównie pióra Szeląga; zdarza się w nich komentatorowi zbyt daleko zapędzić (bo przecie Bałucki Balzakiem, nawet na Galicję i Lodomerię, nie był), na ogół jednak są one poprawnym (może zbyt pozującym na naukowość) wprowadzeniem w dzieło.

A teraz — jakie płyną dla współczesnego satyryka nauki z owych — choćby tylko kilku — nowowydanych utworów? Satyryk i prozaik współczesny boi się wychylić poza wąskie ramy felietonu. Dobrze by było, gdyby dostrzegł, że nie tylko tędy droga. Formy fikcyjnego pamiętnika i pozornie naiwnej biografii otwierają możliwości satyry „od wewnątrz", demaskowanie przeciwnika w sposób o wiele subtelniejszy i dotkliwszy niż się to zwykle dotychczas robi. Można przejmować formę żartobliwej gawędy — nie jest ona bynajmniej szlacheckim przywilejem — dotychczas, jak gdyby na wpół nieświadomie, czynił to tylko Wiech, którego felietony nie są często niczym innym, jak właśnie krótkimi gawędami czy przypowieściami. Nie mówię już o powieści i noweli satyrycznej; dopominamy się o nie od dawna. A dialog i monolog? Tak nieprawdopodobnie wiele odłogów pozostawiono na satyrycznym kontynencie!

Druga nauka, równie ważna, to konieczność zróżnicowania tonu satyry. Ileż gatunków ironii czeka na ponowne odkrycie! Relacja „z głupia frant", persyflaż, parodia, reductio ad absurdum, konsekwentna groteska czekają na wykorzystanie. Opowiadanie fantastyczne, żartobliwa „utopia", fikcyjny reportaż — wszystko to są chwyty i sposoby, które urozmaicają satyrę nie tylko zewnętrznie, ale które niosą za sobą także odkrycia istotne, treściowe, pogłębienie widzenia świata. Chwyty i sposoby, których się można właśnie na tradycji nauczyć.

OD HEINEGO DO DEMIANA BIEDNEGO

Czy warto wydawać klasyków literatury, znakomitych, sławnych i znanych pisarzy w tego rodzaju serii? Bezwzględnie tak. Choćby dlatego, że to ich niesłychanie odświeża, odmładza niejako. Poza tym rzuca na nich nowe, „boczne" światło: weźcie np. młodego czytelnika, który obejrzał sobie „Trzy siostry" Czechowa na scenie, a potem przeczytał tom humoresek. Zobaczy dwa razy to samo: ten sam świat, te same właściwie problemy, a widziane jakże różnie, choć oczywiście jednorodne! Szczególnie właśnie dla czytelników z małą erudycją (a tacy przecie są właściwymi czytelnikami) takie konfrontacje niezwykle dużo dają.

Ale książki służą nie tylko czytelnikom; czasem — także pisarzom. Jako warsztat pracy, jako wzór, jako punkt wyjścia twórczej dyskusji. I nie od rzeczy będzie zastanowić się: co „Biblioteka Szpilek" daje samym jej twórcom-satyrykom? Każda pozycja to jakiś wkład, to jakaś drobna czy ważniejsza wskazówka; nie wolno obok nich przechodzić z zamkniętymi oczyma.

Heine np. uczy, w jaki sposób ironia, drwina, groteska stają się elementami najczystszej liryki. Jak wtopić dowcip w ogólny ton wiersza, bez błazeństw, bez dziennikarzenia, bez nachalnych point, bez ciągniętych za włosy porównań. Jak wpływa do liryki nurt ironii. Heine jest mistrzem trudnym, najtrudniejszym: uczy równowagi. Jest najbardziej opanowanym z kpiarzy. Bo zawsze czuje wymogi muzy, wymogi poezji, która żąda panowania nad sobą, bez którego muzyka zamienia się w kakofonię.

Znowu inna sprawa. Narzekamy na owe „felietonowelki" satyryczne: banalne, papierowe, nudne, obciążone jeszcze tysiącem grzechów, z których podobno jeden by wystarczył, aby wygnać autora nie tylko z literatury, ale nawet z wydawnictw. Poprawcie się! — wołają krytycy. Ale kto oskarżonym pomoże? Świetnie pomoże np. uważnie przeczytany Czechow. Przeczytany w taki sposób, aby móc z niego wychwytać wszystkie — nie, choćby ćwierć — sposobów i sposobików, które z jego — felietonowelek właśnie! — robią arcydziełka. Przepatrzeć, wynotować, zanalizować metody łapania obyczajowej rzeczywistości.

Inny przykład: „Znajome twarze" Demiana Biednego, Tom bardzo na czasie, bardzo cenny: socjalistyczna satyra. Zasługuje na dokładniejsze omówienie, niż w takim przeglądzie można sobie pozwolić. Ale trzeba podkreślić zasadniczą właściwość tonu, na którym cały jest utrzymany. Ton celnej bezwzględności. Bezwzględność jest współczesnemu satyrykowi niezbędna. Byleby była celna! Właśnie Demian Biedny uczy tej celności, tej bojowości. I jeszcze jednego, w czym nasi satyrycy niezbyt celują: dobrego czytania gazet. Nie ma tu czepiania się bzdury, drobiazgu, zasługującego na śmiech czy wzruszenie ramion. Nie, Biedny widzi od razu o co chodzi, gdzie sprawa najważniejsza, najbardziej aktualna. I wtedy bije ostro, bez wahania.

A MY?

„Biblioteka Szpilek" zadebiutowała tomem „Zgrzebłem po kołtunie", który miał być czymś w rodzaju antologii antymieszczańskiej. Spotkał się on z ostrą krytyką. Oskarżano go o „bezpłciową" humorystyczność; te zaś, które rzeczywiście miały sens antykołtuński, antymieszczański, nie wykraczały w swej krytyce poza krąg tradycyjny, spotykany choćby w satyrze przedwojennej.

Następną pozycją była „Satyra polska w walce o pokój". Znowu antologia, tyle, że znacznie bardziej udana, odpowiedzialniejsza ideowo, bardziej wyrównana formalnie. W niej jednak widać już było wyraźnie błąd, który poważnie obciąża do dziś dnia naszą satyrę, podobnie jak do dziś dnia obciąża ją jeden z błędów „Zgrzebłem po kołtunie".

Podział utworów satyrycznych na „zagraniczne" i „wewnętrzne" jest oczywiście podziałem śmiesznym. Ale tak się właśnie składa, że inne są trudności satyryka przy poznaniu jednego czy drugiego terenu tematycznego. Wadą antologii antykołtuńskiej „Szpilek" było posiłkowanie się w ataku na drobnomieszczaństwo bronią satyry — czy satyrki mieszczańskiej. Wadą antologii pokojowej, nastawionej siłą rzeczy na tematykę antyimperialistyczną, zagraniczną, była deklaratywność.

Te dwie wady — przejawiające się raz jako zupełne wypaczenia, raz jako niebezpieczeństwa zaledwie przewijają się przez wszystkie współczesne formy nie tylko „Biblioteki", ale przez całą współczesną satyrę.

Co to znaczy „deklaratywność"? Myślę, że tym terminem należałoby w dziedzinie satyry antyimperialistycznej nazwać skłonność do nieuzasadnianego (nie: nieuzasadnionego!) potępienia, do źle, banalnie, ordynarnie ustawionego ataku na wroga, przy jednoczesnym zdawkowym „hurrapatriotyzmie" i „hurraoptymizmie", jeśli chodzi o naszą postawę i sytuację. Można by też sporządzić prawdziwy rejestr banału satyrycznego, zużytych, ogranych chwytów, mających kompromitować. Satyrycy też mają swoje „schematy" i to w sporej ilości.

Kiedy możemy mówić w satyrze o schematyzmie? Kiedy używa się fałszywych lub nieistotnych argumentów satyrycznych, licząc na „pewność" ich efektu; kiedy banalizuje się i wroga, i przyjaciela, odbierając tym w gruncie rzeczy pierwszemu szkodliwość, a drugiemu powód do szacunku; kiedy wywołuje się śmiech środkami konwencjonalnymi, prymitywnymi lub wulgarnymi. Czy znaczy to, że satyryk nie ma prawa do przesady, dowcipu i groteski? Prawo to nie tylko ma, ale ma także i obowiązek wykorzystywania go, z tą różnicą, że hiperbola musi być budowana z rzeczywistych elementów, a groteska nie jest równoznaczna z uproszczeniem. Satyryk ma nawet prawo do wymyślania, ale musi ono być tak pomyślane, aby głównym argumentem był nie fakt wymyślania, a coś znacznie ważniejszego; aby obraźliwe, drastyczne słowa czy zwroty nie były racją i celem samym dla siebie.

Przejdźmy do spraw satyry „wewnętrznej". I tu mogą się zdarzać płytkie deklaratywne pochwały współczesności, powierzchowne słowa sympatii dla budowniczych nowej Polski, banalne w wykonaniu przeciwstawienia dwu walczących z sobą światów. Ale podstawowa trudność leży chyba gdzie indziej i wiąże się z problemem adresata, do którego skierowują swe utwory satyrycy.

Otóż adresatem jest tu w dużej mierze czytelnik, związany wieloma przyzwyczajeniami i narowami z drobnomieszczaństwem. Co tu dużo mówić — jego się głównie przekonuje, jego wyśmiewa, jego stara na swoją stronę przeciągnąć. Ale, bijąc się z nim o sprawę najważniejszą, ustępuje się mu na mniej ważnych polach bitwy.

Na czym rzecz polega? Istnieje pewien typ satyry, do którego bardzo jest ów czytelnik przywiązany i na który łatwo reaguje. Posiada dwie cechy charakterystyczne: musi być „śmieszny" i musi być mocno osadzony w realiach codzienności, realiach najzwyklejszych, codziennych, regionalnych etc, „Śmieszny", ale niekoniecznie dowcipny. To różnica. Wrażliwy na codzienność — ale codzienność nie najważniejszą. Nie na szybkościowiec, a na kłopoty z przepalonym garnkiem.

Błędy ideologiczne naszych satyryków polegają właśnie najczęściej na zbytnich ustępstwach w jedną czy drugą stronę. W stronę śmieszności za wszelką cenę, często niepoważnej i drażniącej, rzadko już, na szczęście, wulgarnej; albo w stronę zbytniego „urealniania" satyry elementami (raczej elemencikami) drobnomieszczańskiej codzienności.

A jakie są osiągnięcia naszej satyry? Sukces pierwszy jest już historyczny: przestawienie się na nowe tory ideologiczne. Można o nim mówić już jako o fakcie dokonanym, choć złe obciążenia pozostały. Nie chciałbym tu zresztą deprecjonować osiągnięć satyry lat bezpośrednio powojennych; ma ona pierwszorzędne osiągnięcia, osiągnięcia o dużym rezonansie społecznym. Ale to, co wtedy robiono „po partyzancku", dorywczo, dziś stało się zasadą, polityką satyryczną.

Po zdobyciu pewnego politycznego poziomu w satyrze przychodzi czas na osiągnięcia innego typu. Na doskonalenie w ramach raz osiągniętej zasady twórczej.

Jan Błoński

BOGUSŁAW KOGUT

ELEKTRYFIKACJA

Mrok się sączy w gałęzie topól,
w liściach ścichły odgłosy kroków,
wiatr do ziemi przypadł na wznak —

zmierzch się milczkiem czołga pod progi.
Jeszcze bieleje smuga drogi
i na moście — bielony pniak.

Sen — myślałem — przyszedł do ludzi,
ale miesiąc gwiazdy pobudził;
jak pisklęta — obsiadły dach.

Z okien padła rzęsista salwa —
strumień blasku przebiegł po malwach
i za płotem upadł na piach.

I zawiało taką muzyką,
jakby serca wpięto głośnikom,
jakby nie prąd — a człowiek grał...

I świeciły zbudzone okna,
i w gwiazd deszczu muzyka mokła
i pniak na moście w takt się chwiał.

Rozbudziły się w liściach topól
dawne echa przebrzmiałych kroków,
zapomniane na skrajach dróg.

O pracy nad

W przedziale drugiej klasy międzynarodowego expresu „Warszawa — Roma" siedziały tylko 2 osoby. Pociąg przejechał niedawno przez granicę i przebiegał teraz równinę Północnych Włoch — krajobraz podobny do Polski. Dwaj towarzysze podróży niewiele rozmawiali ze sobą. Jeden — cudzoziemiec, obserwował szybko migające za szybami pola i małe prowincjonalne stacyjki, drugi — Włoch — zaszył się w kąt przedziału i drzemał.

Na jednej z węzłowych stacji w korytarzu stłoczyły się mundury, do przedziału wtargnął gwar zmieszanych podniesionych głosów: żołnierze. Włoch czuł się w obowiązku wyjaśnić cudzoziemcowi po francusku:

— To na urlop, dlatego się cieszą.

Drzwi otwarły się raptownie. Młody żołnierz o ciemnej, spalonej słońcem twarzy zajrzał do przedziału i opierając się popękanymi rękami robotnika o błyszczącą mosiężną klamkę zapytał krótko o coś zwracając się do cudzoziemca siedzącego najbliżej drzwi. Ten nie znając języka uciekł się do pomocy tłumacza.

— O co mu chodzi? — zapytał po francusku Włocha drzemiącego znów w kącie.

— Pyta o godzinę.

Cudzoziemiec wyciągnął do żołnierza rękę z dużym zegarkiem na przegubie dłoni. Żołnierz spojrzał i pokręcił przecząco głową.

— Jak to — zwrócił się cudzoziemiec do przypadkowego tłumacza — pan powiedział, że on pyta o godzinę, gdy tymczasem widać, o coś innego chodzi...

— O nie, on po prostu *nie umie odczytać godziny.*

W czasie dalszej rozmowy cudzoziemiec dowiedział się, że żołnierze jadący na urlop to chłopi z Kalabrii, jednej z najbardziej zacofanych zarówno pod względem gospodarczym jak i społecznym prowincji Włoch Południowych. Cudzoziemcem był — Julian Stryjkowski.



Robotnicy włoscy niosą trumnę swogo towarzysza

KONSTRUKCJA POWIEŚCI A SYTUACJA SPOŁECZNA WSI WŁOSKIEJ

Historię spotkania z żołnierzami podczas swojej pierwszej podróży do Włoch opowiedział Julian Stryjkowski dziennikarzowi pytającemu z zawodowym natręctwem o genezę „Biegu do Fragalà" i o to — skąd u mieszkającego stale w Rzymie autora wzięła się myśl napisania powieści *właśnie o wsi?*

Wtedy rozmowa nieuchronnie wkroczyła na wiążący się z tym bezpośrednio temat sytuacji politycznej we Włoszech. Właśnie jeden z rozmówców wyrażając swoje zdanie o „Biegu do Fragalà" zwrócił uwagę na istniejącą w tej powieści wielką ilość równoległych wątków i różnorakich konfliktów, porównując tego rodzaju konstrukcję do podobnej maniery literackiej z okresu tak zwanego dwudziestolecia, aby na koniec stwierdzić, że choć w powieści Stryjkowskiego jest tak wiele wątków i konfliktów to w sumie wszystkie elementy wiąże klamra walki klasowej, politycznej. Czy — patrząc od strony tzw. warsztatu pisarza, konstrukcja taka była założona z góry?

— *To proste. Konstrukcja „Biegu do Fragalà" odpowiada właściwie sytuacji społecznej i politycznej Włoch* — mówi Stryjkowski. — *W każdej sytuacji życiowej — wydawać by się mogło, nawet najbardziej osobistej — czy to chłop, czy robotnik włoski, musi powiedzieć sobie w pewnej chwili: „tak jak jest, dłużej być nie może!" Nawet w miłości — gdy spotyka się dwoje kochanków, są oni głodni nie tylko miłości, są również głodni w sensie dosłownym — i chleba, i pracy. Wieś włoska woła: „tak dłużej być nie może!" — tak narasta rewolucyjna walka o ziemię.*

Z rewolucyjną walką włoskich chłopów o ziemię autor „Biegu do Fragalà" zetknął się osobiście, kiedy z wycieczką dziennikarzy zwiedzał tereny objęte pamiętnymi wydarzeniami 1949 roku w Kalabrii.

— *Wyobraźcie sobie* — mówi Stryjkowski — *kilkudziesięciu mieszkańców małego osiedla Melissa, gdzie zginęło w walce z karabinierami trzech robotników rolnych, a wielu odniosło rany (pamiętam, jeden z nich miał jeszcze głowę owiniętą białą szarfą opatrunku). Sprowadzono ich do gabinetu burmistrza, zarzuceni zostali pytaniami zadawanymi przez zespół dziennikarzy reprezentujących m. in. dzienniki chadeckie i prawicowo - socjalistyczne. Podchodzące okrężną drogą lub wręcz pachnące policyjnym śledztwem pytania nie wyprowadziły robotników z równowagi. Ci ludzie, wśród których z pewnością znajdowali się nie umiejący odczytywać godziny na zegarku, odpowiadali na dziennikarskie pytania tak mocno i pewnie, tak wiedzieli, czego chcą, że wydawało się jakby to nie było kilkudziesięciu ludzi, ale cała włoska klasa robotnicza.*

Oczywiście znajomości wsi włoskiej tak odrębnej od naszej wsi (gdyby przeprowadzić niezależne od warunków klimatycznych czy etapu historycznego porównanie, wieś kalabryjska przypomina raczej polskie miasteczko prowincjonalne) nie zdobywa się na jednej wycieczce dziennikarzy. Stryjkowski wędrował długo po Kalabrii, wędrówka ta przypominała nieco badania etnografa:

— *Spostrzegłem, że każda wieś tamtejsza ma swoje odrębne tradycje, zwyczaje czy charakterystyczne tylko dla niej typy ludzkie...*

W tym miejscu jeden z rozmówców przerywa pisarzowi powołując się na zdanie Ryszarda Matuszewskiego wyrażone w recenzji z „Biegu do Fragalà": „W naszym odczuciu wygląda ona (wieś włoska) w szczegółach bardzo włosko", i dowiaduje się, że:

W obawie przed zbytnim przeładowaniem obrazu życia wsi włoskiej szczegółami natury etnograficznej — starałem się dokonać jak gdyby syntezy. Wziąłem mianowicie spośród zaobserwowanych szczegółów dotyczących wyglądu wsi, jej uorganizowania społecznego i charakterystycznych typów ludzkich te, które wydały mi się typowe dla większości wsi przeze mnie widzianych. Obraz Rocca di Zolfo — to obraz całych południowych Włoch, problem Rocca di Zolfo — to problem agrarny całych Włoch.

JAK WYDARZENIA POLITYCZNE STAJĄ SIĘ SPRAWDZIANEM WYOBRAŹNI PISARZA?

Ze swych wędrówek po Kalabrii prócz innych spostrzeżeń i notatek przywiózł Julian Stryjkowski również sylwetkę Salvattore, bohatera powieści. W wyniku tradycyjnego pytania skierowanego do Stryjkowskiego: czy bohaterzy „Biegu do Fragalà" posiadają prototypy w życiu, czy też są fikcją literacką — autor „Biegu do Fragalà" stwierdza, że sylwetka Salvattore, byłego żołnierza, który powrócił z niewoli w Australii, sylwetka przechodzącego wszystkie koleje życia bezrobotnego, wzorowana jest na postaci robotnika oprowadzającego Stryjkowskiego po Melissie i jej okolicach. A więc — postać prawdziwa, „wzięta z życia". Zresztą prawdziwa tylko w połowie. Przemiana świadomości bohatera, jego udział w walce Partii Komunistycznej — to już sprawa literackiej wyobraźni. Ale z literacką fikcją rzecz ma się w „Biegu do Fragalà" szczególnie. Fikcja literacka uzupełnia, ciągnie dalej i rozszerza obserwacje autora i zebrane przez niego fakty. A jednocześnie fakty, wydarzenia i ludzie,

HENRYK BEREZA

MOBILIZUJĄCY DOKUMENT WALKI

Komuna miasta Łomży"*), powieść Leona Pasternaka o sanacyjnym więzieniu politycznym, nie jest autobiografią, choć autorowi, znanemu poecie proletariackiemu więzienne kulisy walki sanacji z ruchem robotniczym nie były nieznane, choć w więziennych kazamatach rodziły się jego wzruszająco proste wiersze o cierpieniu i walce, o teraźniejszości i przyszłości ludu pracującego Polski. Autor wierszy z tomików „Naprzeciw" (1935) i „Dzień pochmurny" (1936) znał cenę cierpień, którymi lud opłacał władzę twórców Berezy.

W „Komunie miasta Łomży" nie postawił sobie Pasternak tak rozległych jak Newerly zadań. Newerly dzieje proletariatu w dwudziestoleciu zamknął w rozległym epickim malowidle. U Pasternaka znajduje odbicie zaledwie skromny wycinek więziennego życia w kilku miesiącach 35 roku w więzieniu politycznym w Łomży. Ale pod piórem wytrawnego pisarza ponura łomżyńska rzeczywistość nabiera właściwego znaczenia, staje się symbolem życia tamtych dni, odkrywa okrutną prawdę o ustroju.

Na fabułę powieściową „Komuny miasta Łomży" złożyły się najzwyklejsze, jak gdyby z kroniki więziennej zaczerpnięte wydarzenia, więzienny tryb życia, przyjazdy i odjazdy transportów, posiłki i spacery, kąpiel i „kiblowanie", zwolnienia i protesty. Jakże łatwo przy takiej fabule ulec egzotyce drobnych spraw, zagubić się w niewyselekcjonowanym materiale codzienności. Jednak nie egzotyka więziennego bytowania, choć autor celnie wykorzystuje znajomość realiów, ale walka — jaką toczy proletariat w nawet najbardziej niesprzyjających warunkach — koncentruje uwagę pisarską, bowiem w walce tej proletariat zdobywa hart, uczy się solidarności, utwierdza się w nienawiści, zdobywa doświadczenia.

Pasternak sięgnął do burzliwego okresu historii dwudziestolecia, gdy burżuazyjny rząd, urzeczony faszystowskim porządkiem we Włoszech i Niemczech, przystąpił do generalnej ofensywy przeciwko resztkom demokratycznych swobód. Wprowadzenie surowego regulaminu dla więźniów politycznych było jedynie refleksem ataku faszystowskiego we wszystkich dziedzinach życia. Ofensywa ta towarzyszyła wprowadzeniu faszystowskiej konstytucji. Pasternak odtworzył wycinek walki, jaką klasa robotnicza odpowiedziała na atak burżuazji. Dla tych, którzy socjalizm dziś budują, dla młodzieży, której nieznane są doświadczenia starszego pokolenia rewolucyjnego, książka Pasternaka jest mobilizującym dokumentem walki.

W walce łomżyńskiej komuny więziennej przeciwko wprowadzeniu w życie regulaminu, odbierającego resztki swobód więziennych, prawa do książek i paczek, widzeń i spacerów zademonstrował Pasternak bogactwo postaw ludzkich, siłę i zwartość więziennego kolektywu. Szczupłość ram przyjętej konstrukcji powieściowej, zamknięcie fabuły w ramach fragmentu dziejów łomżyńskiego więzienia uniemożliwiły epickie rzutowanie losów ludzkich. W „Komunie miasta Łomży" brak w ogóle bohaterów, których koleje życiowe byłyby przedmiotem powieściowej narracji. Ta specyficzna koncepcja książki ograniczyła wydatnie pisarskie możliwości, pozwalając zaledwie zarysować sylwetki ludzkie. Na szczęście Pasternak posiada umiejętność prezentowania człowieka bodajby jedynym zachowaniem się, bodajby zerknięciem tylko do jego wnętrza. Z olbrzymiej masy członków łomżyńskiej komuny więziennej, o której jako o całości wiemy wszystko, jak żyje, jak wspólnie działa, o co walczy, w jakich warunkach śpi, je, w jaki sposób się porozumiewa, czego i w jaki sposób się uczy, z imienia i nazwiska znamy zaledwie kilku a i to nasza wiedza o nich nie jest nadzwyczaj bogata.

Starostę komuny Bratkowskiego, o którym wszyscy mówią z takim uznaniem, z którym liczy się nawet dyrekcja więzienna, prezentuje autor zaledwie trzykrotnie w działaniu, w czasie rozmowy z renegatem Żychwą, w pertraktacjach z dyrektorem Szumskim po zwycięskim proteście komuny i w masakrze, jaką oprawcy urządzają przy kąpieli a raz jeden tylko odsłania przed nami jego świat wewnętrzny. Wstrząsająca jest ta lakoniczna, pisana prostym, a jakże przemyślanym językiem relacja o osobistych sprawach człowieka, który raz na dzień na spacer wychodząc z celi zna sprawy kilkuset ludzi, kieruje całym jakże bujnym podskórnym życiem więzienia, decyduje o postawie więziennej komuny.

Jak gdyby techniką filmowych zbliżeń ukazuje Pasternak bohaterów więziennej komuny, zamordowanego Górniaka ze Śląska, akademika Antka, jego wspaniałego przyjaciela Witka, który bardziej niż zapałem w studiowaniu historii ruchu robotniczego wbija się w pamięć opowiadaniem, jak to na Piotrkowskiej w biały dzień na tramwajowych drutach wieszał robotnicze transparenty, choć miał czternaście lat i tylko dzięki protekcji, bo „stary na Gdańskiej wyrok odsiadywał", mógł należeć do KZM-u. Pasternak nie analizuje losów ludzkich, nie śledzi dróg, którymi kroczył bałucki urwis, by stać się wspaniałym typem dojrzałego rewolucjonisty, Pasternak kreśli po prostu sylwetki dawnych towarzyszy więziennych.

Okrucieństwo tamtych czasów ukazuje historia prostego chłopa Sosny i sparaliżowanego żydowskiego samouka Werby. Wdzięczny za otworzenie oczu na świat Sosna darzył ułomnego Werbę najidealniejszą przyjaźnią, tak że nawet administracja więzienna nie odważa się rozdzielić obydwu. Gdy rozwścieczony niesłychaną w dziejach łomżyńskiego więzienia demonstracją więźniów strażnik nie zawahał się skrzywdzić Werby, nie panujący nad sobą Sosna, wbrew ustalonej taktyce komuny, rzuca się na oprawcę. I czyn ten wybaczy mu komuna.

O ile postacie Bratkowskiego, Górniaka, Antka, Witka, Sosny i Wrony służą uwypukleniu bohaterstwa, poświęcenia, świadomości ideowej walczących komunistów, o tyle losy Żychwy ukazują pośrednio siłę i zwartość więziennej społeczności. Wyczerpany i schorowany inteligent gruźlik dał się złapać na obiecanki administracji i zdradził skład władz komuny. Nie pomogła skrucha i przyznanie się do winy. Pomimo że złamany Żychwa wzbudzał litość, został wykluczony z komuny i odtąd ścigała go okrutna dola renegata, wzgarda jednych i drugich.

Potężną wymowę ma ten fragment książki, gdy Bratkowski, który jeszcze przed chwilą był gotów do udzielenia wszelkiej pomocy cierpiącemu towarzyszowi, dowiedziawszy się o zdradzie, opanowuje wszelkie odruchy litości i każe wykluczonemu z komuny żądać od władz przesadzenia, bo przy nikim z komunistów nie ma dla niego miejsca.

Nie bez kozery książka Pasternaka nosi tytuł „Komuna miasta Łomży". Sanacyjne więzienia i obozy miały służyć izolacji walczącego aktywu od mas. Obejmując powieściową narracją walkę całego łomżyńskiego proletariatu Pasternak pokazał, że postawa komunistów jednako obowiązywała w więzieniu, jak i na wolności, że zawodny był system izolowania najlepszych ludzi Partii. Zamknięto Bratkowskiego i Goldsteina, został Kandyba, zamknięto Kandybę, dojrzał telegrafista Ludwik, w szeregi walczących włączyła się matka Goldsteina Ajga, właścicielka nędzarskiego sklepiku. Morderstwo Górniaka nie dało się ukryć w murach więzienia, jego pogrzeb stał się manifestacją całego łomżyńskiego proletariatu, akcja pomocy więźniom, kierowana przez KPP, aktywizowała najszersze masy.

Pasternakowi udało się wskrzesić atmosferę prowincjonalnego miasta z lat trzydziestych. Bojownikom proletariackiej sprawy przeciwstawił kilka świetnie uchwyconych sylwetek prowincjonalnych dygnitarzy sanacji. Szczególnie skrupulatnej analizie poddana została postać naczelnika więzienia, Szumskiego. Pasternak uchwycił najistotniejszą sprawę, źródeł zła dopatrując się nie w indywidualnym charakterze Szumskiego. Szumski służył wrogiej interesom mas ludowych władzy i jego indywidualne wady czy zalety miały podrzędne znaczenie.

W związku z postacią Szumskiego wypada poruszyć zasadnicze dla książki Pasternaka zagadnienie. Bohaterowie powieści o łomżyńskiej komunie, co zresztą sygnalizowałem kilkakrotnie, nie są właściwymi epice powieściowej bohaterami, których działanie rozpatruje się w powiązaniu przyczynowo-skutkowym. Pasternak ma do swoich kreacji stosunek liryka nie epika. Pisarza interesuje przede wszystkim piękno lub szpetota przedstawianej postawy bohatera i tylko tym wartościom bohater może zawdzięczać swą egzystencję na kartkach książki, swe imię i nazwisko.

Autora urzekła siła i samozaparcie starosty komuny Bratkowskiego, robociarskie szlachectwo Witka, bohaterstwo zamordowanego Górniaka, poświęcenie matki Ajgi, moralne piękno towarzyszy Sosny i Werby, czy wreszcie groteskowość piłsudczykowskiego pułkownika Klina-Zaklickiego. Pomijając marginesowego Żychwę, bohaterem epickim, ponoszącym konsekwencje swego postępowania, umiejscowionym w czasie czyli traktowanym dynamicznie, ulegającym przeobrażeniom w związku z przedstawionymi w utworze zdarzeniami, jest tylko naczelnik Szumski. Szumski ma nie tylko swoją przeszłość, przedstawioną retrospektywnie jak Witek czy Bratkowski, ale ma swoje dzieje w ramach powieściowych zdarzeń.

Pozytywnego bohatera, którego droga rozwojowa byłaby równie precyzyjnie ukazana, w książce nie ma. Szumskiego pod tym względem nie zrównoważą ani Ludwik ani Ajga, w przypadku których widać zaledwie zarysowane ślady dynamiki przemian wewnętrznych, dojrzewania ideowego. Natomiast zrównoważy Szumskiego komuna jako całość, bo ona jest przecież głównym bohaterem powieści, bo ona się rozwija, zdobywa hart, uczy się zwyciężać. Komunie jako całości poświęca Pasternak całe partie tekstu odautorskiego, pisane stylem trochę pamiętnikarskim, w których znajdują wyraz pełne liryzmu refleksje autorskie.

Przy specjalnym charakterze książki partie komentatorskie nie wydają się świadczyć o nieumiejętności przetworzenia w kształty artystyczne tworzywa literackiego. W partiach takich daje o sobie znać Pasternak — pamiętnikarz, uczestnik więziennej walki.

„Komuna miasta Łomży" jest przy swojej koncepcyjnej odrębności i chyba niepowtarzalności książką dobrą. Na jej jakość składa się ożywiająca każdą kartę książki żarliwość pisarza, pragnącego dać wyraz sprawom najbardziej mu bliskim, przez siebie przeżytym, składa się piękno i prostota jezyka, w którym uwypukliła się ludowa konkretność, swoista dosadność i przysłowiowego pochodzenia refleksyjność.

Henryk Bereza

*) Leon Pasternak: „Komuna miasta Łomży". Wyd. Min. Obrony Narodowej. 1952 r., str. 224.

ROZMOWA Z JULIANEM STRYJKOWSKIM

„Biegiem do Fragalá"

działający w rzeczywistości „pozaksiążkowej" uzupełniają powieść stanowiąc sprawdzian realizmu fikcji literackiej, stanowiąc sprawdzian słusznej kierunkowości fabuły. Stryjkowski mówi o tym konkretnym wspomnieniem:

— Wówczas, kiedy kończyłem książkę aktualna sytuacja polityczna była trudna. Fragalá nie zostało przez najemników zdobyte. Walka nie była wygrana. Czy ofiary padły na darmo? W powieści wybiegłem naprzód. Wyprzedziłem wydarzenia współczesne z jej powstawaniem. W „Biegu do Fragalá" chłopi i robotnicy rolni okupujący obszarnicze ziemie odnoszą zwycięstwo. Starałem się, aby mimo śmierci bohatera śmierć ta nie była tragiczna, aby ukazały się perspektywy rozwoju aż do ostatecznego zwycięstwa ludu włoskiego w jego walce przeciw burżuazji. Toteż kiedy byłem obecny na XXXI Kongresie Włoskiej Partii Komunistycznej, kiedy delegacja chłopów wręczyła Togliattiemu symboliczny [illegible] ziarno wymłócone z pierwszego własnego plonu zebranego na zdobytej jednak, choć w 2 lata później, od obszarników ziemi — właśnie we Fragalá — przeżyłem moment prawdziwego wzruszenia...

JAK „BIEG DO FRAGALA" ZOSTAŁ PRZYJĘTY WE WŁOSZECH?

Dzieła literackie mające za temat i tło kraj obcy można by podzielić umownie na dwa rodzaje: z jednej strony ustawić te powieści i sztuki, które przełożone na język kraju, o jakim mówią, zdobywają tam powodzenie, z drugiej strony ustawić te powieści i sztuki, co do których rzecz taka byłaby raczej wątpliwa. Jak należy w tym kontekście zakwalifikować „Bieg do Fragalá"? Wydaje się, że można go włączyć do pierwszego z wyżej wymienionych rodzajów.

Właściwie wystarczającym byłoby powołać się na fakt przekładu „Biegu do Fragalá" na język włoski (przy czym inicjatywa wyszła ze środowisk kierujących organizacją postępowego ruchu kulturalnego we Włoszech).

— Jak krytyka włoska przyjęła „Bieg do Fragalá"? — pytanie to zadane Stryjkowskiemu nie wymagało właściwie odpowiedzi pisarza.

Na wieczorze autorskim Stryjkowskiego urządzonym staraniem Towarzystwa Przyjaźni Włosko-Polskiej w dniu 26 ub. miesiąca w Rzymie, a poświęconym omówieniu i niejako zaprezentowaniu szerszej publiczności powieści polskiego pisarza, zjawiła się według informacji podanych w dziennikach włoskich znaczna część t.zw. świata literackiego Rzymu reprezentująca wszystkie kierunki w sztuce. To świadczy o stopniu zainteresowania opinii włoskiej tym wydarzeniem.

Prasa reakcyjna przemilczała i książkę, i wieczór autorski Stryjkowskiego zupełnie. Ocenę krytyczną polecono przeprowadzić nie prasie — lecz policji. Ta od razu zabrała się do pracy. W dwa dni po wieczorze autorskim Stryjkowski otrzymał nakaz natychmiastowej ekspulsji (termin opuszczenia Włoch — czas odejścia najbliższego pociągu). Zestawienie daty wieczoru autorskiego i daty ekspulsji nasuwa przypuszczenie, że „Bieg do Fragalá" oceniono w tych „sferach" sumiennie. Chodziło prawdopodobnie nie tyle o zwykłą formalną ocenę. Powieść rozpatrywano głównie od strony jej społecznego oddziaływania. Nie Stryjkowski był dla rządu włoskiego niewygodny. Niewygodny był *autor „Biegu do Fragalá"*, pisarz, który spostrzegł więcej niż turysta, poznał dokładnie życie Włoch, włączył się do niego i sformułowawszy oskarżenie pod adresem burżuazji włoskiej, stał się „niepożądanym cudzoziemcem".

Kwestor De Fiori szef wydziału zagranicznego policji rzymskiej wręczając Stryjkowskiemu nakaz ekspulsji, był grzeczny — grzecznością wytworną, salonową. Młody byczek z czarnym wąsikiem, łatwy do rozpoznania na całym świecie typ policyjnego szpicla, był również nadzwyczaj troskliwy, przyszedł aż na dworzec sprawdzić, czy ekspulsowanemu czego nie potrzeba...

JAK ZBIERANY BYŁ MATERIAŁ I DOKUMENTACJA DO POWIEŚCI?

Przez trzy lata pobytu we Włoszech Stryjkowski przebywał głównie w Rzymie, z miastem tym wiązało go miejsce pracy.

Jak pisarz zbierał dokumentację do powieści?

— Trzeba tylko umieć patrzeć, słuchać, podsłuchiwać. Podsłuchiwałem rozmowy w autobusie, metro, kinie i restauracji. Na wiecach i manifestacjach nie wysuwałem się na eksponowane miejsca, stawałem wśród tłumu przeciętnych uczestników. Starałem się nawiązywać wiele znajomości przypadkowych, migawkowych, rzadko kiedy przedstawiałem się pełnym tytułem pracownika Polskiej Agencji Prasowej. Nawiązanie znajomości z nieznajomym jest we Włoszech łatwą rzeczą. Dysputy polityczne w kawiarniach czy w przedziałach pociągu obejmują wszystkich obecnych, niewłączenie się do takiej dyskusji jest rzeczą wprost niemożliwą.

Poza zwiedzaniem Kalabrii, akcją z góry przdsięwziętą i zaplanowaną z myślą o powieści — nie zbierałem specjalnie żadnych materiałów. Wystarczyła codzienna znajomość spraw i ludzi. Wiele pomogła mi moja praca dziennikarska w rzymskim oddziale PAP-u. Każdy dzień Włoch we wszystkich swoich przejawach przechodził przez moje ręce przy redagowaniu codziennego serwisu informacyjnego.

— Uważam, że przede wszystkim mojej pracy dziennikarskiej zawdzięczam napisanie „Biegu do Fragalá". Dziennikarstwo daje możność stałego obcowania z faktami będącymi świetnym materiałem dla literata, a jednocześnie pozwala na obserwowanie nie tylko jednego wycinka życia, bezpośredniego tła powieści, lecz również życia całego kraju.

Widać — związek między twórczością literacką a pracą dziennikarską pasjonuje autora „Biegu do Fragalá". W ferworze rozmowy na ten temat dochodzi do przekreślenia tych teorii krytyków literackich, którzy doszukiwali się źródeł oryginalności formy „Biegu do Fragalá" (oszczędność komentarza odautorskiego, brak elementów opisowych, zwięzłość) w „klimacie literatury włoskiej".

— Tej rzekomo „włoskiej" techniki pisarskiej — jak również odpowiedzialności za słowo — nauczyły mnie najzwyklejsze, zwięzłe, poprzestające na opisie działania i podające nagie fakty komunikaty PAP-u.

JAKIE PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ MA AUTOR „BIEGU DO FRAGALA"?

Każda redakcja odrzuciłaby wywiad z pisarzem nie kończący się pytaniem o plany na przyszłość. A więc, utartą drogą: — Czy możecie powiedzieć coś o swoich planach, o tym co macie na warsztacie?

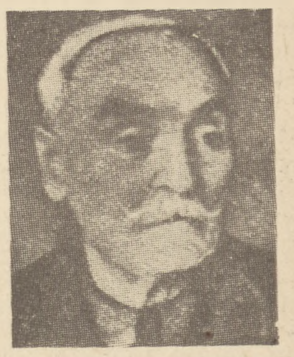
— Żadnych planów nie mam dzisiaj sprecyzowanych. Moje „planowanie" sprowadza się na razie do dwóch pewnych elementów na „nie": ani Włochy, ani powieść! Chcę wziąć temat współczesny, polski. Forma — dramat. Nie będę wiele mówił. Przez trzy lata nieobecności oderwałem się nieco od stosunków w kraju. Przez pierwszy okres pobytu pragnę „nasiąknąć" współczesnymi problemami życia w Polsce. Chcę wędrować po Polsce. Zobaczyć wszystko z bliska. Dobrze poznać. Bez tego — nie można wypełnić postulatu obowiązującego realistycznego pisarza — pisać prawdy.

s. k.

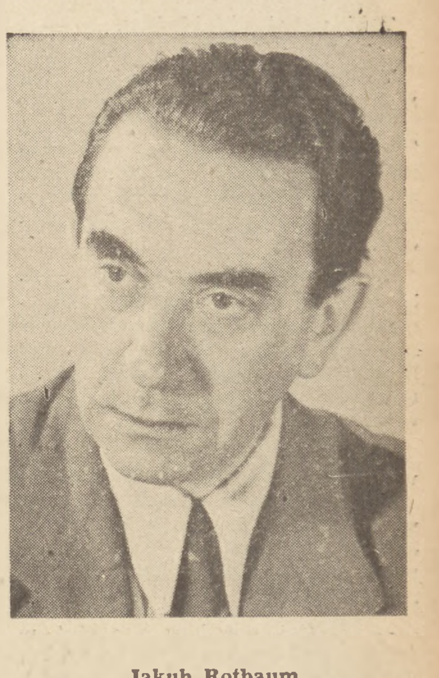


Pierwszomajowa manifestacja w roku 1905.
Nagroda III stopnia w dziale plastyki: Krystyna Łada-Studnicka; Teresa Pągowska; Juliusz Studnicki; Stanisław Teysseyre; Józefa Wnukowa; Jan Wodyński; Helena Żuławska; Jacek Żuławski.

LAUREACI PAŃSTWOWYCH NAGRÓD ARTYSTYCZNYCH



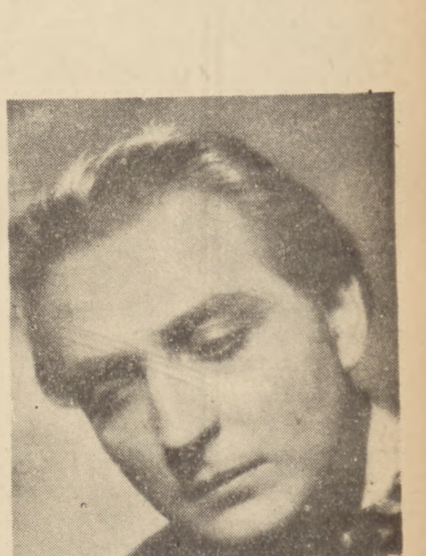
Karol Frycz
Nagroda I stopnia w dziale teatru



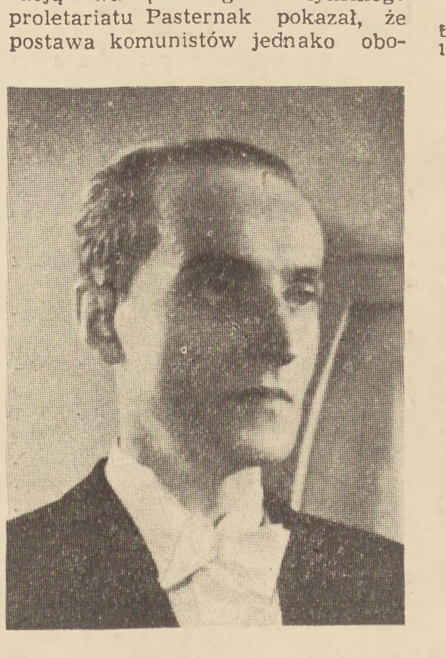
Jakub Rotbaum
Nagroda II stopnia w dziale teatru



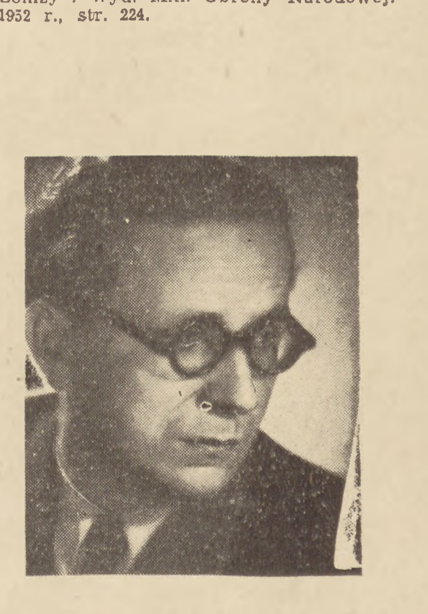
Zygmunt Kosiński
Nagroda II stopnia w dziale plastyki



Czesław Wołłejko
Nagroda II stopnia w dziale filmu



Kazimierz Rudzki
Nagroda III stopnia w dziale teatru



Mieczysław Mierzejewski
Nagroda III stopnia w dziale muzyki



Zygmunt Latoszewski
Nagroda II stopnia w dziale muzyki

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

MÓJ PRZYJA

A więc jestem znowu na swych starych śmieciach — po pierwszym roku studiów, na które wysłała mnie fabryka. To tu bawiłem się w piasku, przebiegałem przez tor i jakoś nie zginąłem pod pociągiem, choć na torze tym ginęło po parę osób rocznie. To tu ukradłem pierwszy raz w życiu — czereśnie ze stragana — za co zostałem zbity przez handlarkę.

Moje trudne dzieciństwo! Chłopak przyłapywany na kradzieżach w szkole, w sklepach, na ulicy, w pociągu. Chłopak bity przez matkę. Cóż ja, byłem dla niej za nieszczęście! Biedna, nie umiała wychowywać inaczej niż biciem. Więc biła, krzykiem strasznym wprawiając się w gniew. Biła okropnie i dziw, że mi nie zrobiła krzywdy.

— Wybiję z ciebie diabła, łobuza, złodzieja! — krzyczała. — Na śmierć zabiję! Na śmierć! Łeb, nie łeb!

Taki wstyd dla biednej.

To tu w tej szkole mówili tak niedawno, że trzeba mnie oddać do jakiejś instytucji wychowawczej. Tu doktor ujmował się za mną mówiąc, że byłoby to zrzuceniem z siebie obowiązku. Zacne człowieczysko! Aż się zapienił, rozkrzyczał.

— Ile mamy tych instytucji, żeby je zapychać chłopakami? Chcecie mieć samych pierwszych uczni? Ani jednego trudniejszego chłopca? Mamy wychowywać, proszę państwa, nie tylko uczyć. To jest nasz obowiązek.

I żeby pokazać innym, jak się wychowuje, brał mnie do siebie.

Dziwność życia. Strach, że mnie matka naprawdę zabije, bo ma oczy aż czerwone ze złości! Strach przed tymi słowami, które doktor mówił matce:

— Łatwiej mu będzie zostać w życiu złodziejem niż uczciwym człowiekiem. I to z waszej winy!

Strach przed doktorem! Czego on chce?

— Zostawia mnie z pieniędzmi. Czy po to, żebym ukradł? — myślałem. — Żeby mógł mnie za to bić?

— Tu leżą pieniądze, a tu pierścionek mojej żony. Niewiele wart, ale ładny — mówił wychodząc z mieszkania. — Zamykam drzwi na klucz, ale drugi klucz leży przy pieniądzach. Chcesz, to możesz ukraść. Ja ci nic nie zrobię.

— Ukraść? Nie głupim — myślałem. — Nie nabierzesz!

I siedziałem cicho, cichutko, słuchając, czy co gdzie nie stuknie. A bałem się! Myślałem sobie:

— Złapali mnie! Już się nie wykręcę. Jak zaczną wszyscy bić, to ze mnie naprawdę duszę wybiją.

A tu doktor jednego dnia daje mi nawet pieniądze do ręki i mówi:

— Włóż do kieszeni i idź się bawić. Przyjdź jutro, z tymi pieniędzmi, a nie powiedz mi, żeś zgubił.

Siedzę sobie na torze kolejowym, trzymam pieniądze w ręce, żeby mi nie wypadły z kieszeni, bo jak wypadną, to już ze mną koniec. Tym razem doktor mnie zabije. Matka zawoła dozorczynię, żeby mnie trzymała. Nie będę mógł gryźć i doktor zabije.

Aż tu idzie ojciec, jak zawsze w owych czasach — pijany.

— Skąd masz te pieniądze? Ukradłeś doktorowi? — mówi.

Zabrał pieniądze i poszedł. I jeszcze krzyknął zza toru:

— A nie pokazuj się matce. Bo jej powiem i matka cię zabije.

O, już nie miałem gdzie pójść. Doktor zabije, matka zabije.

— Chyba się pod ten pociąg rzucę — pomyślałem.

Ale nic, przeleciał pociąg jeden i drugi, przeleciał trzeci, a ja się ciągle boję.

— Pójdę na Glinki, tam się utopię — pomyślałem.

Poszedłem na Glinki, usiadłem nad stawem, popłakałem sobie, zacząłem nogi moczyć, potem się wykąpałem, łowiłem ryby. A tu idzie doktor.

Idzie doktor i śmieje się z daleka, więc i ja zacząłem śmiać się, jakby nigdy nic.

— Gdzie masz pieniądze? — spytał doktor, a ja zacząłem szukać po kieszeniach.

— O tu — mówię. — Musiały gdzieś wypaść.

I szukam w trawie.

Doktor śmieje się i mówi:

— Już nie bujaj. Twój ojciec przyniósł. Ale po drodze połowę przepił. Oj, Józek, Józek, wierz mi, nie bój się mnie, bo chcę twojego dobra. Ja miałem trudniejsze dzieciństwo niż ty, a dałem sobie rady. Tylko trzeba wziąć się w ręce.

Ale ja mu wcale nie wierzyłem. Tylko patrzyłem, kiedy mnie złapie za kark. I do tej pory nie wiem, jak to się stało, że go nie skompromitowałem. Może ze wstydu za ojca, który mu do tej pory nie oddał pieniędzy? Może z powodu jego dobroci? Może z powodu tych razów, którymi matka obsypywała mnie zamiast pieszczotami? Nie wiem. Ale zdaje się, że to już wtedy zacząłem „przyczajać się", jak mówiła matka.

— Panie doktorze, on się tylko przyczaja, ale znienacka ugryzie rękę, która go głaszcze.

To były jej słowa. Ale jakoś nie ugryzłem tej ręki.

To w tym tak zwanym hotelu robotniczym w pokoiku nad spółdzielnią zamieszkałem po skończeniu szkoły. I wiem, że to wyglądało tak, jakbym się wstydził rodziców.

— Doktor ma rację — mówiłem sobie. — Więcej im pomogę zzewnątrz, niż tkwiąc między nimi.

I marzyłem, że ojciec zacznie się leczyć, że będzie takim człowiekiem jak kiedyś. Och, jakże byłbym z tego dumny!

Szkoda tylko, że ktoś powiedział, jak to naprawdę było:

— Doktor umieścił Józka w hotelu, żeby go wyrwać spod wpływu rodziców.

I słowa te rozniosły się po osadzie.

Rzecz oczywista, że ani ojcu, ani matce nie mogła podobać się taka opinia. Matka nie potrafiła tego darować mnie, doktorowi, fabryce, wszystkim.

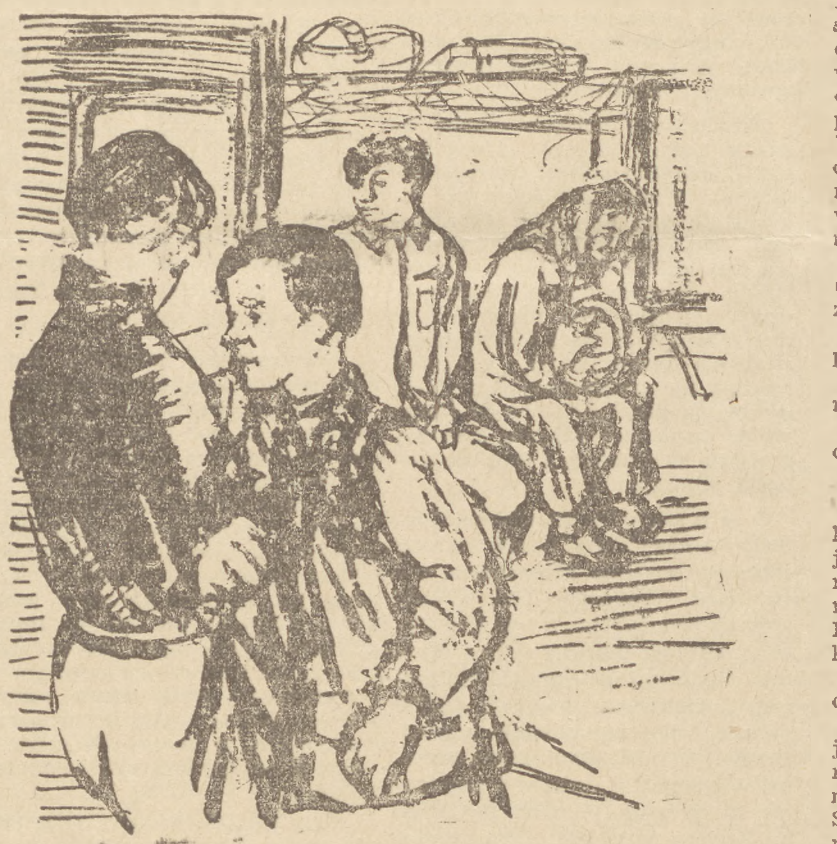
— Jak to? — mówiła. — Spod wpływu rodziców?

Zła była.

— A w hotelu to co? — zapytywała doktora. — Lepszy wpływ, niż matki, ojca? Rozpusta tylko i obraza boska. Milicja stamtąd nie wychodzi.

Inne kobiety przyznawały jej rację. Bo hotel rzeczywiście nie miał dobrej opinii. Ludzie mówili to, co było. Że nazbierało się tam różnych z całego kraju. Ale czy to porządny człowiek nie może sobie znaleźć zajęcia blisko domu? Czego jak czego, mówili, ale pracy jest dość. Ale kogo ciągnie swoboda, kto chce od żony uciec, od dzieci, od obowiązków, albo chłopak od rodziców, to się tu ukryje i kto go znajdzie? Jeżeli nawet może sobie wejść każdym oknem wprost z pola? Ilu tam złodziei!

A w hotelu, pośród starszych, dużo było takich, którym można by to i owo zarzucić z punktu wi-



dzenia moralności rodzinnej. Byli tacy, owszem. Pokłóceni z życiem, bardzo nieraz nieszczęśliwi ludzie, za którymi szedł czyjś płacz, złorzeczenie, przekleństwa. Ludzie, którzy pragną uciec, ukryć się, gdzieś tu jakoś z życiem na nowo się pogodzić, na nowo je zacząć, nie zawsze potrafiąc nie popełniać swych błędów od początku.

Bardzo się cieszyłem, że doktor umieścił mnie w hotelu. Przyznam się, że chciałem popróbować swoich sił. Byłem przecież dopiero od niedawna nawrócony do jakiegoś porządniejszego ludzkiego życia.

I wyzywając los chciałem sam siebie jak gdyby próbować. Dlatego wziąłem pracę w montowni, gdzie najłatwiej o nadużycie, oszustwo, kradzież cennych części. Doświadczałem swej uczciwości i chciałem też widzieć uczciwość i nieuczciwość innych. Jak inni z tego wyrastają? Bardzo mnie to interesowało.

A po drugie, jak każdy świeżo nawrócony, chciałem na tę swoją wiarę przeciągać innych. Hotel był do tego doskonałym terenem.

Matka obawiała się rozpusty. Ta interesowała mnie i moich przyjaciół tylko jako rzecz do wytępienia.

Ale to, co mówili o dziewczynach w hotelu, to była prawda. Matka mogła mieć o nich złą opinię, bo czy nie widzieli inni, i czy nie widziała ona sama, jak rano chyłkiem wychodziły nieraz z hotelu?

— Więc co? — mówiła. — Rozbierały się i spały przy obcych? Czy może ze wszystkimi? Bo przecież w każdym pokoju jest ich po czterech albo sześciu.

Raz matka spotkała się nawet oko w oko z taką dziewczyną, kiedy ta szła przez pole od hotelu.

— A to nie wstyd? — spytała.

Dziewczyna nic nie odpowiadając chciała iść dalej, ale matka zastąpiła jej drogę.

— Nie wstyd? Nie wstyd? — powtórzyła.

— Za u męża byłam.

Bo mama jak zwykle nie bardzo dobrze trafiła.

— Żona? — powiedziała mama z ironią. — Na jedną noc dla sześciu!

— Niechże mnie pani nie obraża — odpowiedziała tamta. — Żona jestem i to nawet całkiem ślubna. Ale co ja poradzę, kiedy mąż pracuje tutaj, a ja o całe dwieście kilometrów stąd i też tam mieszkam w hotelu? A dziecko w drodze. Więc tak u niego nieraz zostaję, jak u kochanka.

Matka odstąpiła od niej. Z oczu patrzyło jej dobrze, a na brzuszku rzeczywiście coś się tam rysowało.

— No i co? Rozbiera się pani przy obcych?

— Trudno. Zgaszą światło. Ale to są dobrzy ludzie. Bo mąż wie, z kim się znać.

Więc jeszcze tylko porozmawiały o tym i owym, jak to trudno z mieszkaniami. I dowiedziała się, że przy najbliższym rozdziale mieszkań już tu będą oboje. Dostaną coś w nowym bloku.

Jednak doktor miał rację mówiąc, że do hotelu trzeba dać paru miejscowych ludzi. Bo ich rodziny i znajomi interesowali się przez to życiem mieszkańców hotelu, jak moja matka. Och, ona potrafiła i po dziesięć kobiet zebrać i iść z nimi do kierownika.

— Jeżeli mój syn tu mieszka, to muszę się interesować, jak u was jest — mówiła.

I zaraz o tym samym w kółko:

— Przecież co raz milicjanci przychodzą zabierać stąd jakieś dziewczyny.

— Sam posyłam za milicjantami.

— A jak to było z tą dziewczyną, o którą się biły całe baraki?

Co się tu wtedy działo? Złodziejstwo, pijaństwo, rozpusta, obraza boska!

Kierownik rozkładał ręce i cierpliwie tłumaczył:

— Bo proszę moich pań, życie w różny sposób wychowywało u nas ludzi. Różnie. Bardzo różnie. Paniom łatwo powiedzieć: zbieranina. Ale niechże panie łaskawie pomyślą: skąd myśmy ich wszystkich zebrali? Z naszego własnego kraju, proszę państwa! Są, są między nimi różni na te prawie tysiąc ludzi, ale od czego wy tu jesteście? I ja, i my wszyscy tutaj? Żeby wychowywać ludzi teraz, kiedy nareszcie od każdego człowieka żąda się, żeby zaczął być naprawdę człowiekiem. Proszę przychodzić na zebrania! Co miesiąc!

Kobiety odchodziły, matka między nimi, mówiąc:

— Starzy ich psują. Starzy. Rozwodniki rozmaite. Wolności im się zachciewa! Idzie do roboty pijany, wraca pijany. Co zarobi, to przepije, jak mój stary. Oj, świecie, świecie.

I nieraz tam musiała pomyśleć z niepokojem:

— Z kim się mój Józek stowarzyszy? Czy z najgorszymi?

A ja rzeczywiście stowarzyszyłem się z tymi, których na pewno uważała za najgorszych, chociaż gdyby poznała ich bliżej, to by tak nie myślała. Ciągle zresztą nie miała do mnie zaufania. Jeszcze i wtedy, jak dawniej, mawiała do doktora:

— Nie wierzę Józkowi, nie wierzę. On się tylko przyczaił.

Ale wiem, że zastanawiała się nieraz patrząc za mną, jak szedłem z kolegami:

— Po co on chodzi z takimi chłopakami? Jeżeli nawet nie pije?

I w wielu sprawach, które były dla mnie decydujące, mieliśmy różne zdania. Nic dziwnego, że matka nieraz się na mnie skarżyła. Czuła, że traktuję ją jak ktoś obcy. Tak jej się wydawało, tak też i mówiła.

— Dobry jest, dobry, ale obcy. Uśmiechnąć się, pożartować, powiedzieć dobre słowo, tego nie potrafi. Da pieniądze i w rękę pocałuje, owszem, ale potem tylko popatrzy i pójdzie, i nieraz nawet nie powie jednego słowa. Obcy i obcy. A matce żal, smutno.

— Usiądź, bądź jak syn — mówi do mnie nieraz, a ja czuję, i nie wiem, dlaczego tak jest: matka boi się mnie, tego syna tak innego od niej. I wiem, że nieraz mówi do ojca:



— Aby tylko z tego nie było nieszczęścia.

W ojcu jednak miałem wielkiego obrońcę.

— Tylko na niego nie gadaj — odpowiadał. Miał bowiem o mnie swoje własne wyobrażenie, dość bliskie prawdy, bo z nim, owszem, mówiłem dużo i często, starałem się mu wiele z siebie wyjaśnić, choć mi się to udało tylko częściowo. Zawsze byłem dla niego orzechem trudnym do rozgryzienia i pozostałem zagadką. A prócz tego byłem dla niego także powodem ciągłego kłopotu i udręki. Bo czyż nie mówili mu ludzie, że jeżeli kto wyleczy go, to tylko ja? I ojciec myślał o tym z goryczą:

— Skąd szczeniakowi przyszło na myśl, żeby męczyć ojca? Mówić, żeby się leczył?

I wiem, że skarżył się na mnie, powtarzając moje słowa:

— Przeciw czyjejś woli też można zamknąć do szpitala.

— No, no — mówił — tom się doczekał.

Jeżeli chodzi o kolegów, to matka miała rację. Nieraz widziałem, jak kobiety stojąc przed spółdzielnią patrzyły z niepokojem na któregoś z chłopców, idących do mnie. Nieraz zaś słyszałem, jak stojąc w kolejce mówiły:

— Co za dziwni chłopcy przychodzą do tego Józka.

A ja jakbym specjalnie na przyjaciół dobierał samych chłopców niepewnych. Niby miało być utrzymane w tajemnicy, że Majek i Szop przyszli tu z poprawczego domu na okres próbny. Ale wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi i tajemnica stała się rzeczą powszechnie wiadomą. Nieraz dziewczęta pokazywały ich sobie palcami szepcząc:

— To ten. To ten.

— Który? Który?

— Ten wysoki blondyn i ten szczupły brunecik. Przystojny jeden i drugi.

— Wolę wyższego. Ale z takimi strach nawet rozmawiać. Albo złodziej, albo nożownik. Za co oni siedzieli?

Ale tego nikt nie wiedział, nawet przełożeni. Bo chłopiec czy dziewczyna, którzy wychodzą z domu poprawy, mają wyraźnie powiedziane, że nie wolno im tego zdradzić.

To z takimi przyjaźniłem się stale, to takich sobie wybierałem. Przesiadywali u mnie całe wieczory. Nieraz świeciło się u mnie późno nocą i słychać było nasze rozmowy. A kierowniczka bufetu, coś niecoś z tych rozmów rozumiejąc, patrzyła w moje okienko z niepokojem, zwłaszcza kiedy o czwartej zamykała i szła do domu, a tu akurat do mnie idą ci, na których już dobrze zwróciła uwagę. Na przykład ten z rozwianą czupryną. To Majek, szczupły brunecik. Nieraz starał się kartkę obiadową wsunąć jej zamiast kartki na suchy prowiant. A suchy prowiant jest prawie dwa razy droższy, bo to chleb, masło, cukier, wędlina.

Idzie i ten, który serem pozaklejał dziurki od zamków. To Remuda, niezdara. Gorzej. Co nazbierał od kolegów chleba i marmolady, i tym murek przed bufetem podwyższył, kładąc warstwę marmolady, a na niej bochenki chleba jak cegły.

— Wstyd, ile chleba zmarnował — mówiła. — Czy to już jesteśmy tacy bogaci?

Nie wiedziała, że prócz wielkiej awantury od kierownictwa Remuda miał także sprawę z nami.

Biedna kobieta! Ogląda się jeszcze z drogi. Myśli o papierosach, które zostały w bufecie. Kupowali ich chłopcy około tysiąca sztuk dziennie, więc zawsze miała tego parę tysięcy w zapasie. Niech któremu z tych wyrzędków, jak nas nazywała, przyjdzie do głowy niedobra myśl, żeby dobrać się do zamków! O, właśnie idzie to długie chłopaczysko, które namawiało innych, żeby sprzedawali hotelowe rzeczy. Pijak, złodziej, demoralizator. To ten, który łamał parkan.

— Ja bym mu kości połamała — mówiła nieraz kierowniczka. A nie wie, że ja i Szop od dawna pracowaliśmy nąd nim z ramienia związku.

Ale jeśli idzie o bufet, to miała rację, że się niepokoiła, bo rzeczywiście którejś nocy były tu próby włamania. Nie do bufetu zresztą, lecz do spółdzielni. Dozorca nocny spłoszył jakiś szczupły cień, w zamku znalazł wytrych, a rano okazało się, że złodziej zdążył ukraść tylko jedną butelkę wódki. Dozorca chodził dumny, że go spłoszył na czas. Ktoś jednak mówił w osadzie — i okazało się, że mówił to mój ojciec — że złodziejowi o więcej nie chodziło. Z tego, i ze słów dozorcy: „szczupły brunet", mogłem się był wszystkiego domyśleć. Ja jednak nie domyślałem się jeszcze niczego.

Choć mogłem, mogłem! Bo po pierwsze przyszedł do mnie kierownik spółdzielni, człowiek, który mi ufał, i spytał znacząco:

— Nie wiesz, co to się działo nocą przy drzwiach spółdzielni?

— Nie wiem — odpowiedziałem, wcale nie zastanawiając się ani nad tym pytaniem, ani nad tym, dlaczego to mnie właśnie zostało zadane.

A później przyszedł mój ojciec pochwalić się, że jednak ma przyjaciół!

— Ty o mnie nie dbasz, ty mi nie pomożesz, ale inni pomagają.

I mówiąc to potrząsnął niedopitą butelką.

Jeszcze i wtedy niczego się nie domyśliłem, choć niejasne podejrzenie przemknęło mi przez głowę. Bo nie ze wszystkimi moimi kolegami było tak dobrze, jak na przykład z poważnym Szopem, o którym tylko najzłośliwsi mówili, że jeszcze pokaże, co potrafi. Tylko oni szeptali:

— To dobry numer! Miał czternaście lat, kiedy zorganizował uzbrojoną szajkę.

To była zresztą prawda. Szop w chłopięctwie miał za sobą sporo ciemnych sprawek. Z pewnym starszym od niego chłopakiem, którego kochał jak brata, jeździł po kraju i kradł, specjalizując się na kolejowego złodzieja. Iluż to chłopców marnowało się podobnie w owe lata! Wreszcie jacyś spekulanci złapali ich obu na gorącym uczynku. Starszego puścili z pociągu związanego, głową w dół, Szop wyrwał się i wyskoczył. Zawędrował do miasteczka, rano kupił nóż, żeby na przyszłość mieć się czym bronić, a w parę dni później miał już rewolwer i własną szajkę. To przy rozbiciu tej szajki został ranny, złapany, skuty i odwieziony do domu poprawy.

— Wyrwać się stąd, wyrwać! — postanowił patrząc na kolczaste druty, mur, ponure sale. Za widno było, za czysto, za porządnie. Za nudno przede wszystkim. Przepytał kolegów o sposoby wyrwania się na wolność i nagle zdecydował: Najlepsza droga do wolności to uczciwość.

— Ale skąd ją wziąć kiedy jej nie mam? — pytał.

— Udawać — odpowiedział mu jeden z kolegów. — Oni to lubią.

— Lubią?

Kolega rozłożył ręce.

— Właśnie, lubią — odpowiedział. I Szop postanowił oszukać kierownictwo, wychowawców, nauczycieli. Tyle tylko, że ta najłatwiejsza droga okazała się i najtrudniejsza. Stać się pierwszym uczniem! Wejść do koła młodzieżowego! Ale ileż to wymagało codziennego przełamywania siebie! I najważniejsze: nie zdradzić się rodzajem uśmiechu! Spowodować, żeby uśmiech ironiczny, kpiący, cwaniacki czy porozumiewawczy zamienił się w serdeczny, szczery, dobry! To była ciężka praca, wreszcie jednak Szop stał się ulubieńcem i chlubą kierownika, który mówił:

— Bierzcie z niego przykład. Jeżeli staniecie się tacy jak Szop, to będę musiał zwolnić wszystkich.

— Czy on jest taki naiwny? — zastanawiał się Szop. — Czy udaje? Co myśli? Nie rozumie, że go oszukuję?

Dowiedział się o tym w chwili, kiedy go zwalniali. I to wtedy Szop, sam nie rozumiejąc, że stał się uczciwym człowiekiem, nie wytrzymał i powiedział:

— Nie, panie kierowniku. Ja tylko udawałem, żem się zmienił.

I mówiąc to pomyślał, że z powodu tych słów zostanie tu jeszcze na rok. Tymczasem okazało się, że wcale nie.

— Chciałeś nas oszukać, a oszukałeś samego siebie. Czy nie czujesz, żeś się naprawdę zmienił? — spytał kierownik.

— No, tak — odpowiedział Szop niepewnie.

A kierownik uśmiechnął się i dodał:

— Żebyś był tego pewniejszy, daję ci opiekę nad Majkiem. Będziesz lepiej pracował nad sobą, mając taką odpowiedzialność.

Kiedy Szop przyjechał tu z Majkiem, ja już mieszkałem w hotelu. Któregoś dnia kierownik mówi:

— Chciałbym, żebyś zaprzyjaźnił się z dwoma chłopcami. Nowi. Trzeba ich tu trochę wprowadzić.

Poznał mnie z nimi. Rozgadałem się najpierw z Szopem, od razu przyznając się do trudności, które jeszcze miałem z sobą samym.

— Chciałbym być wolnym, prawym, uczciwym człowiekiem — po-

ARTUR MIĘDZYRZECKI

TREPTOW

Miecz, który w dłoni trzymam, jest bronią moją i wiosłem;
Płynąłem przez rzeki ognia, biegłem polem mozołu;
Doszedłem bardzo daleko i wolność wam przyniosłem.
Dzisiaj spiżowy i czujny patrzę na was z cokołu.

Oto są dzieje bitew: natarcie mężne i pościg;
Są i odwroty — nad nimi złowróżbne ptaki lecą.
Radość ostatnich szturmów nie jest najprostszą z radości;
Wolność, co rzeczą jest żywych, jest też poległych rzeczą.

Do dzisiaj, w ciszy nad Treptow, dziecko tuli się do mnie;
Wyniosłem je na ramieniu z miasta dymu i grozy;
Zostałem w ludzkiej pamięci, w prostej mowie wzruszonej
Matki, co zniosła rozłąkę, i ojca, który dożył.

Niski jest księżyc majowy, ciężka ostatnia ziemia;
Kwietne w niej rosną drzewa do szumów wiosennych skore.
Bije tu serce moje. Z mojego wstaje marzenia
Szczęście, o którem walczył, i życie, za którem poległ.

Ilustrowała IRENA KUCZBORSKA

C I E L M A J E K

wiedziałem. — Interesuje mnie świat, interesuje niezmiernie, a jest on znacznie ciekawszy dla ludzi mądrych niż głupich. Cóż, kiedy ciągle się „ześlizguję". Uczciwość to nie jest łatwa droga.

— Nie jest łatwa? — spytał Szop z uśmiechem. — Chłopie! Nie ma nic łatwiejszego! Ja ci pomogę!

Nie zrozumiał, że słowa swoje powiedziałem celowo. Potem przyznałem mu się do tego podstępu. Opowiedzieliśmy sobie wszystko o sobie i Szop, który nigdy nikomu nie pokazywał swoich pociągowych sztuczek, mnie pokazał. Było zadziwiające, jak potrafił — rozmawiając z najserdeczniejszym uśmiechem i wyrazem twarzy — manipulować mistrzowsko rękami i palcami. Właśnie po nim nikt by się nie był tego spodziewał. I z powodu poczciwego wyglądu, i z powodu ospałości czy ciężkości jego ciała. Był to bowiem człowiek pozornie bardzo powolny, a w rzeczywistości — jak błyskawica. Teraz przenosił swój talent na maszyny i na ludzi. Już miał kwalifikacje, zdobyte za czasów poprawczych. Niedawno fabryka wysłała go na kurs treserski i Szop po swym powrocie zrozumiał, czym jest nauka: był przecież w tym samym miejscu co dawniej — innym człowiekiem niż dawniej.

— Cóż to, chcesz być mądrzejszy od nas? — mówili starsi, z którymi pracował.

A potem, sami nie wiedząc jak to się stało, zaczęli mówić:

— Chodźmy do Szopa, on nam wytłumaczy.

I Szop zapragnął uczyć się dalej.

A ześliznął się tylko raz, koło kina w sąsiedniej osadzie, kiedy tamtejsi chłopcy zaatakowali ich jako obcych.

— Bronić kolegów! — krzyknęło coś nagle w jego duszy i Szop rzucił się w wir walki. Dzięki temu poznał w pół godziny później pielęgniarkę Marysię. Dostał bowiem parę razy obcasami po żebrach, poszedł do ambulatorium, gdzie Marysia przemywając mu rany mówiła:

— Wstyd! Takie duże chłopisko, a nie ma rozumu! Ile to niepotrzebnej pracy dla doktora i dla mnie! Ile straty dla fabryki! Bo ze trzy dni nie pójdziesz do pracy.

Te słowa: „ile to niepotrzebnej pracy dla innych ludzi, ile straty w produkcji" — pierwszy raz wtedy zrozumiał. I często zastanawiając się nad nimi już wiedział, że prędko, a będzie majstrem, potem inżynierem.

— Czy nie za prędko żyję? — powiedział mi kiedyś, podnosząc oczy znad książki. Już mnie chcą wysyłać na studia.

— Żyj jeszcze prędzej — odpowiedziałem, bo umówiliśmy się prawie od początku, tylko w tym widząc ratunek przed sobą, że będziemy wzajemnie namawiali się do nauki i dobrego postępowania. Ja robiłem maturę, on dokształcał się ciągle.

— Czy myślisz kiedy o tym przyjacielu z dawnych lat? — spytałem. Bo przyjaźń była dla mnie czymś, co powinnoby wytrzymać wszystkie próby.

— On chyba żyje — odpowiedział. — Bo kiedy wyskoczyłem z pociągu, to wracałem torem. Ale go nie znalazłem. Dopytywałem się tamtejszych ludzi, czy nie było jakiego wypadku. Mówili, że nie było. Zresztą, to był przecież mistrz od skoku z pociągu. Nawet związanemu nic się nie mogło stać, jeśli nie trafił na słup.

— Czy chciałbyś go spotkać?

— Owszem. Chętnie bym z nim porozmawiał. Może mógłbym coś dla niego zrobić.

— Czy nie byłoby to dla ciebie niebezpieczne?

Szop uśmiechnął się leciutko i smutnie.

— Nie — powiedział. — Teraz już nie.

Zdarzyło się w kilka dni później, że kiedyśmy jechali do miasta, pokazał mi człowieka siedzącego w drugim końcu wagonu.

— To on — szepnął.

Zdumiałem się tym niezmiernie, bo znałem tego człowieka. Znałem tę nędzną pokrakę, kuternogę i pijaczynę, drobnego złodzieja, który jakiś czas ukrywał się w naszym hotelu i przyjaźnił z dawnym kierownikiem, wyrzuconym za obrzydliwe machlojki kasowe. Z daleka można było poznać w nim człowieka, który żyje psim swędem. Jego obecne zajęcie to gra w trzy karty z naiwnymi, to oszustwa z biletami na zabawy, kombinacje z bufetowymi, machlojki z kartkami na obiad. Takie były, poza kradzieżami, jego grzeszki u nas w osadzie, z której zniknął razem z dawnym kierownikiem. Zduńczyk się nazywał.

— Znam go — powiedziałem i wyliczyłem jego grzeszki.

Szop uśmiechnął się na to.

— Z moich opowiadań myślałeś, że poznasz jakiegoś niezwykłego bohatera od wielkich włamań, rozgrabiania banków. Co?

— Tak — przyznałem.

Szop śmiał się ciągle.

— No cóż, zwykły koniec takich ludzi: śmierć w obławie, kryminał, albo rozpijaczenie się i żebraczenie.

Tamten zobaczył nas i zerwał się z ławki. Poznał Szopa i podszedł do nas mimo to, że mnie bardzo nie lubił.

— Szop, bracie, ty żyjesz? — cieszył się niezwykle, jakby rzeczywiście spotkał brata. Ale zaraz dowiedzieliśmy się powodu jego radości. Odciągnąwszy trochę Szopa szeptał:

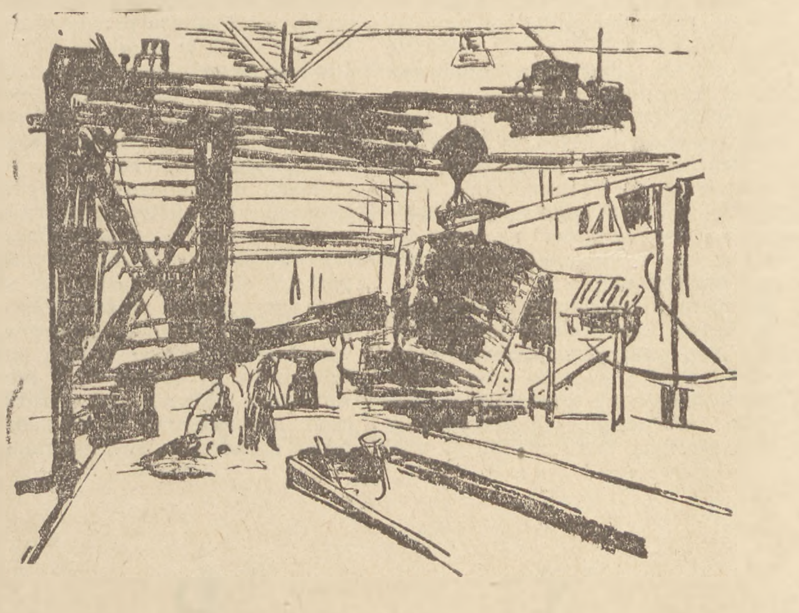
— Tydzień temu wyszedłem. Nie masz trochę forsy? Pożycz, bracie. Oddam. Na pewno oddam.

Oczy mu biegały gorączkowo. Spoglądał z ukosa na mnie, bo wolałby, żebym tego nie słyszał. Odstąpiłem trochę dalej, żeby go nie krępować, a Szop śmiał się ciągle i szukał po kieszeniach. Wyciągnął jedne pieniądze, to były te, za które miał sobie kupić futbolowe buty. Po to jechaliśmy do miasta. Wyciągnął drugie, to były te, które wziął na drobne wydatki, bo mieliśmy pójść do kina. Podszedł do mnie i powiedział:

— Pożycz sto złotych.

Dałem, a Szop śmiał się ciągle.

— Ty tu pracujesz? — dopytywał Zduńczyk. — Och, żebym wiedział, to dawno byłbym przyjechał. A może nie chcesz?



— Dlaczego nie miałbym chcieć?

— To ja przyjadę do ciebie. Przyjadę. Tylko się trochę urządzę.

— Przyjedź, dlaczego nie! Ja ci pomogę.

— A ty co? Sporządniałeś?

— Pewnie.

— Tak na fest?

— Pewnie — odpowiedział Szop i śmiał się ciągle. Widać było, że jeżeli kiedykolwiek myślał jeszcze o tamtym życiu, to obecne spotkanie uleczyło go od tych myśli na zawsze.

Pociąg zatrzymał się na jednym z przystanków.

— Przyjadę — powtórzył Zduńczyk i powoli wyszedł na peron.

— Ciekawym, co z niego zrobimy? — powiedziałem, kiedy pociąg ruszył.

Rad byłem temu spotkaniu. Myślałem: oto będzie próba sił. Zrobię ze Zduńczyka innego człowieka. Naprawię jego przyjaźń z Szopem.

Ale Szop zasępił się, kiedy mu o tym powiedziałem.

— Nie chciałbym, żeby Majek wpadł pod jego wpływy — mruknął. — Szkoda, żem go tu zaprosił.

Z Majkiem, o którego Szop tak się zaniepokoił, mieliśmy różne kłopoty. Pokochaliśmy go bardzo. Kto by go zresztą nie kochał? Ale jego na wolności, poza przywiązaniem do nas, trzymał tylko jakiś zwierzęcy strach przed więzieniem. Potniał na myśl, że może dostać się za kraty. Nie wyobrażał sobie życia w zamknięciu. Kochał oddech szeroki, powietrze, wolność, świat, życie towarzyskie, a mimo to „zjeżdżał" ciągle, „ześlizgiwał się" jakby na przekór samemu sobie.

Najpierw mieliśmy z nim trudności z powodu gry w karty. Umiał grać, bo umiał! W oko był mistrzem. Raz tracąc całą swą wypłatę spił kolegów świeżo przybyłych ze wsi, dumnych z tego, że już pracują przy maszynach, już zarabiają jak dorośli. Obecnie przecież tacy właśnie chłopcy wiejscy stają do maszyn, już po zaledwie dwutygodniowym przeszkoleniu, a nieraz i bez specjalnego przeszkolenia.

Temu majster pokazał parę czynności i postawił go przy maszynie. Nieprędko będzie ciekawy drugiej, szczęśliwy, że przy tej maszynie może spędzić te parę miesięcy i dobrze zarobić. To tacy są najtrudniejsi do prowadzenia dla kierownictwa hotelu. Tacy są najlepszym żerem dla Zduńczyków, najczęstszymi klientami komisariatów, utrapieniem majstrów, trudnym zagadnieniem dla miejscowych chłopców. Wybuchowi, nieopanowani a obraźliwi, zaraz chcą się brać do bicia, bo im tak ich młody honor nakazuje. Kiedy im ustępować, mówią, że człowiek tchórzy. Kiedy im nie odpowiadać na zaczepki, powiedzą, że się nie ma honoru.

— Franek, ale się zabawim! — krzyczy jasnowłosy chłopak wymachując pieniędzmi pierwszy raz w życiu otrzymanymi w takiej ilości.

Fabryka korzysta z jego pracy, póki jasnowłosy chce zostać, ale stara się tą pracą bardziej go zainteresować.

— Idź teraz na drugą maszynę — mówią do niego, kiedy już na pierwszej dobrze przeskoczył normę.

— Dlaczego? Tu się już nauczyłem! Tam mniej zarobię!

— Co ci szkodzi? Nie masz żony, dzieci, ucz się bracie!

I tak chłopak idąc od maszyny do maszyny zaczyna się wyrabiać na fachowca.

— Przydałoby się więcej szkoły — mówi po paru miesiącach.

— To wstąp do wieczorówki — odpowiada majster.



Tymczasem jednak jasnowłosy jeszcze krzyczy:

— Franek, cały litr wypijemy!

A wokół fabryki i hotelu snują się jak cienie różni ludzie. Raz Majek postanowił być jednym z nich. Chłopcy przyszli z hałasem, już po drodze ten i ów wypił, ten i ów przyniósł z sobą ćwiartkę.

Majkowi w to graj. Spił ich do reszty, potem zaczął z nimi grać. Gdzieś koło północy miał w kieszeni ich pieniądze. Nie oszukiwał. Po prostu umiał grać i był trzeźwy. Prócz pieniędzy wygrał harmonię, skrzypce i zegarek. Jeszcze grali, kiedy przyszła milicja sprowadzona przez kierownika. Odebraliśmy Majkowi pieniądze, karty i wygrane rzeczy.

Ale łatwiej nam było przekonać Majka, że nie powinien grać, niż tamtych, że nie powinni płacić tych „honorowych długów".

— Przegrałem, oddaję, swój honor mam — mówił to jeden to drugi, przynosząc mu pieniądze. A Majek brał pieniądze i hulał.

— Dlaczego miałbym nie brać? — mówił. I zdumiewał się moimi i Szopa słowami, gdyśmy mu tłumaczyli, że okrada kolegów. Ale grać przestał, mówiąc zresztą:

— Robię to tylko dla was. Alem też wpadł, żeby wybrać sobie takich przyjaciół. Niech was gęś kopnie.

Ledwie trochę uspokoiło się z kartami, Majek wpadł z brązem. Odłożył sobie ten kawałek brązu i ukrył, żeby wynieść którego dnia, bo obiecał właśnie tamtym chłopakom porobić pierścionki. Ale ktoś ze straży zauważył ten brąz i zaczekał w pobliżu. Aż tu zdarza się taka rzecz: idzie Majek ulicą koło Mechanicznego Oddziału, widzi — leży koperta z wypłaty. Podniósł, w kopercie znalazł pięćset złotych. Przybiegł do mnie.

— Patrz, znalazłem. Dam ci połowę, kupisz sobie książki, a ja się za resztę pobawię.

— Zanieś to na portiernię! — krzyknąłem.

Majek spojrzał na mnie z rozpaczą, że ma aż tak głupiego przyjaciela i poszedł. Wyjrzałem za nim przez okno. Szedł powolutku, ale prosto, prosto na portiernię. I może dziesięć minut później już słyszę, jak w głośnikach krzyczą na całą fabrykę, hotele, osadę:

— Pięćset złotych zgubione przez kolegę z modelarni znalazł uczeń Majek z Mechanicznego!

— Uczeń Majek! Uczeń Majek — powtarzają.

— Stało się — pomyślał Majek słysząc jak o nim wykrzykują. I przypomniał sobie brąz. Bo przecież miał zrobić te pierścionki! Niby tylko trzy, a brązu było więcej niż na trzysta. Ale co to szkodzi mieć więcej? Idzie do schowka, bierze brąz, a tu go biorą za rękę i prowadzą na portiernię. Tam zgłupieli widząc Majka. Bo radio ciągle krzyczy:

— Uczeń Majek. Uczeń Majek.

W fabryce zasadniczo dużo kradzieży nie ma. Gdy kogoś przyłapią pierwszy raz, zwrócą mu tylko uwagę. Portier mówi takiemu:

— Moglibyście mi to pokazać. Przecież i tak by wam pozwolili zabrać.

Oczywista jeżeli idzie o rzecz nie ważną dla produkcji. I najczęściej jest tak, że człowiek, któremu raz zwrócą uwagę, już więcej w portierni nie zjawia się jako „przestępca". Ale bywają wypadki cięższe, i ludzie na portierni wiedzą z praktyki, jak kogo traktować.

„Na jednego trzeba krzyczeć basem, to znaczy z góry" mówią. „Z innym usiąść i pogadać szczerze, po prostu. Jeszcze innego trzeba wprost oddać milicji".

Ale co zrobić z takim?

— Ej Majek! Wariacie! — powiedział komendant opuszczając ręce. — Jeszcze krzyczą o tych pięciuset złotych! Sławny jesteś! A ty wynosisz kawałek brązu!

Potem z żarówkami. Przykra to była sprawa. Majek wykręcał je z gotowych traktorów i wynosił w rękawach wiatrówki. Długi czas mi o tym nie mówił, wreszcie jednak powiedział. Sumienie go gryzło, bośmy przecież przyrzekli sobie mówić zawsze o wszystkim.

Szop usłyszawszy to zaczerwienił się gwałtownie. Myślałem, że go krew zaleje. Nie mógł wymówić słowa.

— E?

Tyle tylko zdołał z siebie wykrztusić.

Żarówka z gotowego traktora! Bo proszę spojrzeć na tę sprawę od miejsca, w którym pracuje Szop, aż do końca, to znaczy do kolejowej platformy, na którą ładuje się gotowe traktory. Długa to droga, choć w fabryce ciągnie się na niewielkiej przestrzeni.

A więc najpierw kreślarnie, gdzie gromady ludzi pracują nad rysunkami i wyliczeniem wszystkich szczegółów. Potem modelarnia — najdokładniejsza praca. Tam Szop uważny, systematyczny, przenosi rysunek każdej części na drewniany model, który pójdzie do odlewni.

Ciemna, wielka odlewnia. Po bokach piece, topi się żelastwo, topi się na żeliwo, wylewa do tygli, dźwig zabiera tygle, niesie, niesie, tygle jak dzbany wędrują w powietrzu po sali, wreszcie przechylają się i żeliwo spływa do piaskowych form, ubitych według modeli Szopa.

Tu pracuje mój ojciec. Idzie za tyglem, przechyla. Bo to on rozlewa żeliwo do form. I ledwo żeliwo ostygnie, zaraz jedzie na mechaniczny, właśnie do Majka. Tam spotyka się z innymi częściami, które przychodzą z naszej wielkiej kuźni. Bo w kuźni znowu wyrabia się te części, które nie mają być lane, lecz kute. Tam elektryczne piły tną żelazo na słupki, kowale kładą słupki do pieca, potem pod młot. Ten naciśnie i ze słupka robi się placek. Wezmą go szczypcami, jeszcze ciągle gorący, czerwony „z pieca", przesuną pod drugi wielki młot. I młot, już mając właściwą formę, postuka w niego z góry, spiesznie: bum, bum, bum! Potem jeszcze raz to samo. Jeszcze raz, i jeszcze. I tak co pół minuty nowa część traktora wylatuje spod młota, żeby jechać na mechaniczny. Tam ją dotną, doszlifują, przewiercą, przeborują, zaopatrzą w gwinty i wyślą do nas, na montaż, gdzie wsadzamy skrzynkę biegów na jeden wózek, silnik na drugi, i zaczynamy do nich montować części. Jedna i druga rzecz rośnie i posuwa się naprzód — rośnie po drodze coraz bardziej, i bardziej. Wreszcie już można je połączyć. Powstaje jakiś niekształtny garb bez garbusa. Do tego garbu doczepiamy osie, koła, resory, kominek, blachy, razem parę tysięcy części, licząc wszystkie śrubki i te żarówki, które Majek wynosił wtedy, kiedy traktory — już wypróbowane i dotarte, już o własnych siłach — wyjechały na dziedziniec i stały tam, prychając zadartymi kominkami, gotowe do drogi, do pomagania ludziom w pracy.

— Taki wstyd! Taki wstyd! — powtarzał Szop, przychodząc do siebie. — Są różne kradzieże, ale ta to jedna z najgorszych. Majek, ja zaraz napiszę do kierownika, żeby cię zabrał.

Tak mówił Szop. A ja:

— Majek, jeżeli mi nie dasz słowa honoru, że więcej nic nigdy nie ruszysz, to będziemy cię rewidowali przy każdym wychodzeniu z fabryki. Dajesz słowo?

A słowu Majka można było wierzyć. Zawsze dotrzymywał, tylko nie dawał słowa „w ogóle", lecz wykrętnie na poszczególne rzeczy.

Tym razem jednak był przerażony naprawdę. Nie pogróżkami Szopa, nie moimi, tylko zrozumieniem tego co zrobił. Bo rzeczywiście pomyśleć: traktor, duma fabryki, w gorączce tutaj produkowany, już gotowy, błyszczący, już stojąc na platformie kolejowej gotowy do drogi, już jadąc na miejsce przeznaczenia — ma wyłupane oczy, po co? Po to, żeby taki chłopak poszedł z kolegami na wódkę!

— Słowo honoru, słowo honoru — powtarzał Majek. — Słowo honoru. Już więcej nie założę wiatrówki. To ona mnie namawiała.

Szop roześmiał się na te słowa, w których był cały Majek.

— Też dowcip — mruknął, uspokajając się powoli.

— Wytrzymasz, czy nie wytrzymasz? — pytałem go nie mając na myśli samych żarówek i wiatrówki, lecz w ogóle życie.

A Majek się męczył, Majek nie wiedział, co z nim będzie. Jakież to było smutne, tym bardziej, że stracił przyjaciela w Szopie. Ten mówił:

— Już mu więcej nie wierzę i nie uwierzę.

A Majek tymczasem starał się pomagać innym, choć Szop mówił z nieukrywaną złością:

— Nie myśl o innych. Wystarczy, żebyś myślał o sobie.

Majek jednak potrafił zrobić dużo dobrego. Na przykład cała sprawa z Remudą to była wyłącznie jego zasługa. Nie rozumieliśmy wszyscy, że Remudzie wystarczy okazać trochę serca, żeby go zmienić. A Majek wiedział.

Remuda był najgorszym chłopcem w hotelu, choć nieuczciwego nic za sobą nie miał. O rodzicach nie pamiętał nic poza tym tylko, że im się urodził w Międzyrzecu, z którego wyjechali, tam go zostawiając na ulicy kiedy miał parę lat. A że był brudny, w hotelu poszło powiedzenie:

— Brudas z Międzyrzeca.

Nie uczył się, nie pracował, opuszczał się coraz bardziej, wreszcie koledzy wyrzucili jego rzeczy z pokoju, bo wszystko aż cuchnęło. A fabryka akurat tego samego dnia zwolniła go z pracy.

— Dlaczegoście mnie wyrzucili z pokoju? — spytał Remuda żałosny, smutny, aż chory z jakiegoś jakby obrzydzenia do siebie samego. — Czy nie mam prawa żyć, jak mi się podoba?

— Nie masz prawa do jednego: głupoty — któryś mu odpowiedział.

A Remuda zaczął się skarżyć z uśmiechem i ze łzami:

— Nie mam pieniędzy. Co ja zrobię? Chyba pojadę do Międzyrzeca i powieszę się na pierwszym drzewie. Ale za co pojadę? Będę kradł, to mnie zamkną, i nawet do Międzyrzeca nie dojadę. Och, skończyło się moje życie!

Majek słuchał tego, słuchał, wreszcie zaczął pchać jego łóżko do swego pokoju.

— Nigdzie nie pojedziesz — powiedział. — Nie pomoże ci brat, swat, bo go nie masz, ale pomoże ci kolega. Kraść nie pójdziesz. Ja cię będę mył, ja ci upiorę bieliznę, będziesz u mnie spał. A jak dostaniemy zaliczkę, to wtedy zdecydujesz, co chcesz robić.

W ten sposób nie tylko pomógł fabryce ocalić Remudę. Cofnęli mu karne wydalenie. Remuda zaczął czyścieć, mniej cuchnąć, pracować, a Majek robić błyskawiczne postępy. Znalazł przyjaciela, którym mógł kierować! To spowodowało zwrot w jego życiu. Myśmy obaj z Szopem poszli w kąt. Już go nie interesowały nasze sprawy, słyszałem, jak mówił Remudzie:

— Poczekaj, my im pokażemy, jacy jesteśmy! My im pokażemy, co potrafimy!

Bogusław Kuczyński

BOGDAN OSTROMĘCKI

NAD TURGENIEWEM

Kiedy do kraju tego powrócić
uśpionej ziemi,
na kartki listek wiśniowy padnie
gorzkiej jesieni.

Wiatr brząka nocą gdzieś po ogrodach,
jak ciemny strumień,
w okno otwarte uderzy nagle,
opłynie płomień lampy zielonej,
przepadnie z szumem.

Wiatr targa kobiet włosy wilgotne,
sypie gwiazdami w oczy
i blaski kałuż zrywa pod niebo
skrzydłem szerokim.

Z kraju takiego nie łatwo wrócić,
nie łatwo strząsnąć milczenie —

Oto przewodów siatką świecącą
lśnią horyzonty,
ktoś po papierze rękę prowadzi
dziecka, co w piąstce obsadkę trzyma
i dymią góry koksu jak wieków
płonące lonty.

I dymią piece, hałdy gorące,
dłonie na drzewcach łopat,
kiedy ogromne żarzą się słońca
w bezsennych nocach.

A gdzieś tam tylko wiatr po ogrodach,
róża zaschnięta w książce
i kilka kropel świeci za oknem
na martwej wiśni gałązce.

Wiatr targa włosy kobiet z powieści
dzwonią imiona zagasłe,
światło połyska na medalionach
matowym blaskiem

MARIA JANION

OPOWIEŚĆ O PIERWSZYCH DNIACH

Gdyby w możliwościach recenzenta leżało wymierzenie autorowi sprawiedliwości absolutnej, nowo wydaną książkę Józefa Mortona*), opowiadającą o pierwszych dniach istnienia władzy ludowej w Polsce, należałoby właściwie rozpatrywać na tle osiągnięć i braków literatury naszej sprzed dwóch lat. W metryce „Wielkich dni" istnieją bowiem następujące daty: pisane w latach 1947—48, złożone w wydawnictwie w r. 1949. Wtedy więc książka rozpoczęła tak dobrze nam znaną z wypadów współczesnej satyry ciernistą drogę po otchłaniach biurek redakcyjnych. W toku „pracy z autorem" uległy korekcie lub skreśleniu pewne sytuacje, zmieniła się nieco postać stylistyczna książki — ale nie zmieniła się zasadnicza jej koncepcja, nie mogła ulec poważnemu wzbogaceniu suma ideowych i artystycznych doświadczeń, jakie bezpośrednio legły u podłoża utworu. W rezultacie „Wielkie dni" są książką lat 1947—49. Wobec niezmiernie szybkiego tempa przekształcania się naszej literatury, książka sprzed r. 1949, reprezentująca bardzo zaczątkowy etap formowania się realizmu socjalistycznego w Polsce, nie może być dzisiaj uznana za w pełni dojrzały wkład w historię najnowszej prozy. Na tle pierwszych objawów przełomu literackiego „Wielkie dni" wyróżniałyby się bojowym nowatorstwem tematyki, właściwym doborem literackich bohaterów nowej historii, świadomością doniosłych przemian politycznych i społecznych, klasowym ujęciem problematyki. Dzisiaj — w okresie zwiększonych wymagań artystycznych i ideowych, w roku zdecydowanego podniesienia się poziomu naszej prozy — powieść Mortona takiej roli odegrać nie może.

Nawet jednak z punktu widzenia cennych osiągnięć i zwiększonych wymagań nowego etapu rozwoju naszej literatury, który przecież w dalszym ciągu posługuje się kryterium „walki o temat", powieść Mortona posiada istotną zaletę: stanowi ją próba epickiego zobrazowania bohaterskich „pierwszych dni" demokracji ludowej. Jest to temat niezmiernie istotny ze względu na bezpośrednie rodowody naszej współczesności, a dotąd wciąż jeszcze niewyczerpany, czekający na swego Szołochowa i Panfierowa. Krytyka nasza notuje w tym zasięgu tematycznym próby obszerniejszych ujęć poetyckich (Jastruna, Brauna), a także prozatorskich (Hamery, Brandysa, Brezy, Jackiewicza), przedstawiających głównie proces formowania się nowych stosunków na terenie miasta, przede wszystkim w obrębie zabezpieczanych przed zniszczeniem fabryk. Wydane dotychczas dwa tomy cyklu Mortona obrazują natomiast — losy wsi Robowice miedzy sierpniem 1944 a lutym 1945, próbują zatem zebrać i opracować artystycznie obfity materiał poznawczy, dotyczący przebiegu „pierwszych dni" na wsi, likwidacji dworu obszarniczego, przygotowania reformy rolnej. Morton ma więc w tym zakresie niewielu poprzedników — kilka dobrych reportaży (najlepsze z nich chyba pióra F. Gila), kilka migawkowych obrazów w poszczególnych powieściach (ostatnio trochę obszerniej w pamiętniku W. Machejka). Poza Mortonem żaden z pisarzy nie podjął dotąd próby takiego uformowania osi tematycznej powieści — próby szerokiego zobrazowania pierwszego etapu kształtowania się demokracji ludowej na wsi. Zadanie to wymaga od pisarza nie tylko ogólnej znajomości praw rządzących historią, dobrego opanowania drobnych realiów okresu, obfitego materiału obserwacji i spostrzeżeń. Wymaga także głębokiej wiedzy teoretycznej, biegłego opanowania zasad marksizmu-leninizmu, doskonałej orientacji w skomplikowanej problematyce „form, środków, sposobów przewrotu" (Lenin), metod i etapów przejścia od kapitalizmu do socjalizmu, procesu przerastania rewolucji burżuazyjno-demokratycznej w socjalistyczną. Bez tej wiedzy teoretycznej (którą ostatnio szczególnie wzbogaciły poświęcone zagadnieniom demokracji ludowej prace uczonych radzieckich: Aleksandrowa, Judina, Sobolewa) nie podobna dzisiaj napisać dobrej powieści o początkach nowej Polski. Opóźniona przez wydawnictwo książka Mortona współczesnym wymaganiom sprostać nie jest w stanie, nie udźwignęła bowiem pełnego ciężaru odpowiedzialności za przedstawienie niepomniejszonego obrazu „wielkich dni". Brak pogłębionego rozumienia historycznego zjawiska, jakim było ugruntowanie istnienia Polski Ludowej, zepchnął niestety pisarza w wielu momentach na pozycje naturalistycznej obserwacji, powierzchownego rejestrowania drobnych, anegdotycznych faktów.

Właściwy temat opublikowanych dwóch tomów, które dopiero przygotowują podłoże do pełnego obrazu reformy rolnej, stanowi proces organizowania władzy ludowej, początków jej funkcjonowania, opanowywania trudnej sztuki rządzenia. W toku kształtowania się demokracji ludowej jako państwowej formy dyktatury proletariatu ujawniła się siła prawdziwych gospodarzy kraju — mas ludowych, rozkwitły talenty nowych organizatorów i kierowników wyrastających spośród robotników i chłopów. Jednym z najpiękniejszych zadań pisarza może być właśnie ukazanie wielkiego procesu dojrzewania politycznej i „gospodarskiej" świadomości ludu, zobrazowanie jego heroicznego wysiłku włożonego w dzieło ugruntowania nowej władzy i obrony jej zdobyczy. Niestety Morton — przynajmniej w centralnych partiach książki — poszedł drogą najłatwiejszą: drogą sumowania migawkowych obrazków o charakterze obyczajowo-anegdotycznym, zdradzających rysy naturalistycznego rozumienia historii. Jeden z dwóch głównych bohaterów „Wielkich dni", fikcyjny autor akceptowanego w pełni przez Mortona pamiętnika — obejmowanie władzy na terenie miasta obserwuje od strony zagubionego, przypadkowo zaplątanego „w wir wypadków" osobnika. Bohater ów — wraz z kilkoma podobnymi do niego, zupełnie osamotnionymi „przedstawicielami ludu" — rozpoczyna organizowanie nowej władzy od poszukiwań wygodnej kwatery, od utyskiwań na chytrość dewotki, która przyszłym dostojnikom państwowym kazała spać na niewygodnych wyrkach i nie dała śniadania. Niestety, w tych prawdopodobnych, ale na ogół mało interesujących przygodach, uogólnia Morton całą swoją wiedzę o początkach władzy ludowej na terenie niejakiego Psitowa. Trafnie na ogół zarysowana została w powieści historia oportunistycznego „ludowca"—starosty Pajdy. Ale problem szui u żłobu przesłonił autorowi właśnie ten najbardziej pasjonujący proces wyrastania gospodarzy kraju. W ten sposób zatraciła się zupełnie perspektywa wielkich sił społecznych, które kierowały procesem organizowania władzy; grupka osamotnionych inteligentów-uzurpatorów zawisła w powietrzu: wydaje się, że u Mortona nikogo ona nie reprezentuje, przez nikogo nie jest popierana.

W podobny sposób obrazuje Morton etapy organizowania władzy ludowej na wsi. Tutaj można zanotować zdecydowane osiągnięcie pisarza, który umiał zarysować dosyć zróżnicowany, chociaż z pewnością zbyt powierzchowny i zewnętrznie uchwycony obraz społeczny wsi, nakreślić sylwetkę starego działacza komunistycznego, Marcela, obecnie organizatora nowego życia w Robowicach. Ale i tutaj, w centralnym dla powieści punkcie, obejmowania i sprawowania rządów, Morton nie umiał się wyzwolić od przypadkowych drobnostek, od obfitości anegdotycznych, nieistotnych wypadeczków; nie potrafił narysować konkretnej i wyrazistej linii wzrostu samego Marcela jako działacza i kierownika, oraz wzrostu autorytetu nowej władzy na wsi (wyłączam tu wszystkie zawarte w powieści deklaracje na ten temat, które przemawiają oczywiście na niekorzyść pisarza).

Drugim poważnym błędem ideowym cyklu Mortona, wypływającym z niedostatecznego pogłębienia wiedzy teoretycznej, jest niezrozumienie skomplikowanego procesu przerastania konsekwentnej rewolucji burżuazyjno-demokratycznej w socjalistyczną, jednoczesnego powstawania i przeplatania się socjalistycznych i niesocjalistycznych elementów demokracji ludowej. Niezrozumienie tych procesów popchnęło autora aż do poważnej niekonsekwencji w ukształtowaniu politycznej sylwetki głównego bohatera powieści. Marcel, pracujący nad przygotowaniem reformy rolnej, przekazaniem chłopom ziemi obszarników robowickich, przejawia na początku I tomu znajomość socjalistycznej perspektywy dalszego rozwoju naszej wsi. Ale dalszy tok jego postępowania najwyraźniej zaprzecza tej deklaratywnie zaznaczonej świadomości. Kiedy bowiem do Marcela przychodzą powodowani najzupełniej realnymi, materialnymi problemami byli fornale z żądaniem wstrzymania parcelacji ziemi dworskiej, oddania całego majątku na własność państwu i zaangażowania ich w charakterze pracowników, Marcel nie jest w ogóle w stanie zrozumieć tej inicjatywy i odprawia z niczym jej rzeczników. Autor zatem, który przedtem przypisał Marcelowi pełną i jasną świadomość perspektywy przemian o charakterze socjalistycznym, albo zupełnie o tym zapomniał, albo też nie potraktował inicjatywy fornalskiej jako przejawu nowego socjalistycznego stosunku do własności, nie dającego się przecież wtłoczyć w ramy burżuazyjno - demokratycznych elementów pierwszego etapu demokracji ludowej. Trzeba tu z żalem podkreślić, że w ten sposób — nie uświadamiając sobie teoretycznej głębi zagadnienia — Morton nie wykorzystał w pełni w swoim cyklu jednego z najbardziej niebanalnych konfliktów, sygnalizującego złożoność etapu historycznego i zarazem kierunek rozwoju nowej formy władzy proletariatu. Natomiast do bezbłędnie zarysowanych i wycieniowanych w powieści bardzo interesujących konfliktów trzeba zaliczyć sprawę rabunku i zniszczenia dworu obszarniczego przez chłopów, potem zaś jego zabezpieczenia przez część bardziej uświadomionych fornali i wreszcie odbierania uprowadzonych koni i krów. Trafnie uchwycił też Morton dramatyczność konfliktów, wypływających ze zderzenia się dawnych partyzanckich nawyków z zasadą praworządności ludowego państwa. Sprawa dziewczyny-partyzantki, która dopuściła się samosądu zabijając NSZ-towca, mordercę swej siostry, dziewczyny łamiącej się z trudnością zrozumienia własnej winy, to dowód, że Morton jest czujnym obserwatorem, że stara się on uchronić przed skłonnością do lakierowania i retuszowania konfliktów rzeczywistości. Szkoda jedynie, że autor nie wszedł na drogę artystycznego i ideowego pogłębienia tych umiejętności.

Elementy naturalizmu przesyciły nie tylko interpretację historii w „Wielkich dniach", nacechowały one także technikę pisarską autora. Zamanifestowało się to szczególnie dobitnie w obrębie nadużywanego przez Mortona tzw. „monologu wewnętrznego", tj. specyficznej formy przedstawienia rozmyślań poszczególnych postaci literackich. „Monolog wewnętrzny" jest oczywiście ogólnie stosowanym, niemal niezbędnym, normalnym zabiegiem powieściowym. W zależności od jego treściowego ukształtowania, od jego nadużycia pisarz może doprowadzić zarówno do ekspresjonistycznego zaciemnienia i rozwichrzenia narracji jak i do naturalistycznego plotkarstwa. W „Wielkich dniach" mamy do czynienia z drugą konsekwencją — nagminnego przedstawiania pomieszanych, chaotycznych, przypadkowych refleksji przeróżnych postaci; niemal każdą, spośród występujących na kartach powieści, autor wyposażył w snujący się za nią jak cień „monolog wewnętrzny". Morton usiłował tu w jednej z wielu, bynajmniej nie centralnej formie narracji prozatorskiej zmieścić to co powinno się manifestować przede wszystkim w toku akcji, w działaniu — w konfliktach powieściowych; to znaczy — doświadczenie bohaterów, motywy ich postępowania, typ ich reakcji psychicznych, ich wielkość czy małość! Nadużycie tego środka narracyjnego, nasyconego w realizacji Mortona naturalistycznymi treściami, pociągnęło tym szkodliwsze dla wartości całej powieści skutki, że autor nie postarał się o chociażby jak najpowierzchowniejsze zróżnicowanie toku, formy i sensu „monologów wewnętrznych" poszczególnych postaci. Bohaterów „Wielkich dni" możemy wyróżniać głównie na podstawie cech zewnętrznych — wyglądu, ubioru, zachowania się; natomiast ich najbardziej intymne przemyślenia i przeżycia są identycznie takie same.

Naturalistyczne rozumienie rzeczywistości uniemożliwiło także autorowi „Wielkich dni" stworzenie jakichkolwiek przekonywających uogólnień, szczególnie niezbędnych w cyklu o zakroju epickim; próbę symbolicznego uogólnienia przy końcu II tomu (mała, lecz rosnąca szybko „chmurka" na horyzoncie, zapowiadająca burzliwą „zamieć" w Robowicach) należy uznać za wyjątkowo już naiwną i banalną. Fragmentaryczność kompozycji, nieumiejętność ukształtowania spoistego i zarazem szerokiego obrazu epickiego to dalsze mankamenty techniki pisarskiej Mortona.

Autor zapowiada dalsze tomy swojej epopei „Wielkich dni". Należy postulować, aby znalazły w nich pogłębienie najlepsze osiągnięcia „Drogi otwartej" i „Złego wiatru": bystrość obserwacji społecznej, niecofanie się przed najdrastyczniejszymi konfliktami epoki, tendencja do ostrego, odważnego rysowania przeciwieństw i starć klasowych. Przede wszystkim jednak musi autor pogłębić swą wiedzę teoretyczną o rzeczywistości, posiąść umiejętność pełnego obrazowania głębokich zależności i związków międzyludzkich, opanować sztukę bogatej indywidualizacji swych bohaterów literackich. Tylko na drodze przezwyciężenia naturalistycznych ograniczeń metody twórczej leżą możliwości sukcesów następnych powieści Józefa Mortona.

Maria Janion

*) Józef Morton, Wielkie dni, tom I: Droga otwarta, str. 130 ,tom II: Zły wiatr, str. 198, „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

B U R S Z

I

O bursztynie wiele pisano i mówiono. Tajemniczy „elektron" przyciągający przez długie wieki kupieckie karawany Fenicji, Grecji i Rzymu, na piaszczyste wydmy nadbałtyckie pobudzał ludzką fantazję. Grecy przypisując mu własności amuletu, łączyli jego powstanie z mitem o Heliosie. Tales z Miletu przypuszczał nawet, że niezwykłe właściwości tej skamieniałej żywicy dowodzą, iż posiada ona „duszę". Podziwiali bursztyn i tworzyli o nim legendy dawni Celtowie, Litwini zaś uważali go za skamieniałe łzy królowej Bałtyku — Juraty.

Była ona podobno niegdyś kapłanką strzegącą świętego ognia palonego ku czci boga gromów — Perkunasa. Pewnego razu zakochał się w niej żeglarz Kastitis. Perkun za karę poraził go gromem. Jurata nie chciała przeżyć ukochanego. Pobiegła nad morze i rzuciła się w głębinę. Łzy jej złote, połyskliwe zakrzepły w grudy bursztynu, który po dziś dzień w wierzeniach ludu litewskiego uchodzi za znak przyjaźni i wierności.

Litwini nazywają go też „błogosławieństwem morza". Zresztą podobnego zdania był chyba nawet mądry Marcin Luter. Żywił on bowiem nadzieję, że ten „dobry kamień", który nadsyłał mu z Prus siostrzeniec Zygmunta Starego książe Albrecht, wypędzi żółciowe kamienie, nękające twórcę protestantyzmu...

Ale dość tych historii bursztynowych z dawnej przeszłości. Powróćmy w teraźniejszość. Bo i dziś wiele ciekawych rzeczy można opowiedzieć o skamieniałych łzach Juraty.

Raźniej! — co chwila wołał jeden z czterech przewoźników, którzy ciągnąc stalową linę drewnianymi pałączkami, przeprawiali nas na drugi brzeg Leniwki.

Na dużym, żelaznym promie, oprócz gromadki ludzi stały 2 samochody, nie była więc to łatwa praca. Przez szeroko rozlaną wodę, nad którą krążyły z niepokojącym świrem czarno-białe jaskołki, zbliżaliśmy się powoli do drugiego brzegu porosłego gęstwiną trzcin. Coraz wyraźniej było widać stary kościołek z tzw. „pruskiego muru", ukryty w zieleni drzew, wyniosły drewniany krzyż i czerwone dachy domków rozsianych pod wydmami i przerzedzonym przez wojnę sosnowym lasem. Te wydmy i mewy drzemiące na czarnych palach sterczących z wody świadczyły o bliskości morza, znad którego pędził wiatr ociężałe stada brunatnych chmur.

— Żeby nas tylko deszcz nie złapał — zauważył mój towarzysz. Bałtyk gotów się zemścić w ten sposób za plotkowanie o jego tajemnicach.

Zwiedzając przed paru dniami wykopaliska gdańskie dowiedzieliśmy się o niezwykłym odkryciu. Anatol Gupieniec, młody naukowiec w sportowej wiatrówce, pokazując nam drewniane ulice, szczątki chat i palisad dawnego Gdańska — osady piastowskich rybaków i łowców bursztynu istniejące już w X bodaj wieku — zaprowadził nas w końcu do drewnianego baraku ekspedycji i powiedział:

— Co najciekawsze to fakt, że morze wyrzuca po sztormach tu przy Wisłoujściu bursztynowe wyroby i półfabrykaty zupełnie podobne do tych, jakie znajdujemy w gdańskich wykopaliskach. Dowiedzieliśmy się o tym zupełnie przypadkowo. Przed wojną studiowałem geologię, którą zresztą interesuję się nadal. Szukając po gdańskich antykwariatach pewnych książek z tej dziedziny, dowiedziałem się, że jest ktoś na Wybrzeżu, kto je systematycznie wykupuje. Kiedy któryś z księgarzy wymienił mi nazwisko „Domaradzki", byłem już w domu. Antoniego Domaradzkiego znałem jeszcze z Wilna, gdzie był prezesem Tow. Numizmatycznego. To naprawdę bardzo ciekawy człowiek. Nie ma chyba monety europejskiej, której by nie potrafił „odczytać". Dowiedziawszy się, że od pięciu lat mieszka w Sobieszewie, odwiedziłem go czym prędzej, no i usłyszałem rewelacyjną nowinę: Bałtyk zdradził naszemu numizmatykowi tajemnicę swego dna, na którym znajdują się do dziś zalane przed wiekami osady i cmentarzyska. Odkrycie to zainteresowało również prof. Jażdżewskiego, który prawdopodobnie opracuje naukowo te znaleziska.

Oczywiście, że tak interesująca wiadomość poruszyła nas. Razem z kolegą postanowiliśmy odwiedzić „czarodzieja z Sobieszewa" — tak bowiem mieszkańcy wyspy bąsackiej, oddzielonej od lądu ramionami Wisły, nazywają Domaradzkiego.

Po kilku minutach staliśmy już u furtki przed ceglanym domkiem. Otworzył nam sam gospodarz. Gościnnie zaprosił nas do pokoju. Wśród stosów książek zalegających wszystkie kąty jasnej pracowni zobaczyliśmy wiele starych cennych dzieł. Na skórzanych grzbietach złociły się litery tytułów: „Gabinet medali polskich" Raczyńskiego, „Pieniądze Piastów" Strączyńskiego, jakieś osiemnastowieczne tomy angielskich dzieł... wszystko poświęcone numizmatyce.

— To chyba najkompletniejsza biblioteka numizmatyczna na Wybrzeżu? — pytam — Od jak dawna interesuje się pan tą dziedziną? Trzeba było chyba dużo czasu, by zebrać tak poważny księgozbiór.

— Numizmatykiem zostałem czterdzieści lat temu — odpowiada gospodarz — jeszcze za czasów szkolnych. Przed wojną miałem bardzo poważne zbiory, ale niestety zarówno książki jak i monety przepadły mi bez śladu. Numizmatyka jedynie śmierć może uleczyć. Całą wojnę spędziłem w Oflagach, ale nawet tam, niech pan sobie wyobrazi, udało mi się zdobyć parę monet. Kiedy po wyzwoleniu wróciłem do kraju, musiałem zaczynać dosłownie od niczego. Od razu jednak nawiązałem kontakty z wszystkimi złotnikami Wybrzeża i z Państwową Wytwórnią Wyrobów Bursztynowych we Wrzeszczu. Chodziło mi o to, aby ratować cenne monety od tygla. O, proszę popatrzeć, ta klipa na przykład z portretem Jana Kazimierza została jedynie dzięki temu w ostatniej dosłownie chwili uratowana od przetopienia.

Zaczynamy oglądać cenne zbiory. Są naprawdę imponujące. Kolega mój zapała się powoli. Oczy błyszczą mu, gdy widzi takie unikaty jak gdański talar z czasów Jana Kazimierza z błędnym napisem „civitis" zamiast „civitas", czy też pierwsze pieniądze wybite przez miasto Gdańsk za czasów Kazimierza Jagiellończyka. Ale na pobieżne choćby obejrzenie tysiąca okazów kolekcji nie mamy niestety już czasu.

— Może powie nam pan teraz o swych bursztynowych odkryciach? — proponuję.

Domaradzki pochyla się ku nam, kładzie rękę na leżących na stole monetach, układa je w pudełka i odpowiada:

— Ależ chętnie. Widzi pan, zawsze interesowała mnie geologia. Stąd moja znajomość z Gupieńcem. Kiedy znalazłem się nad morzem, postanowiłem poznać bliżej pradzieje Bałtyku i w „Archeologii Polskiej" prof. Antoniewicza, w rozdziale traktującym o środkowej epoce kamiennej, czyli o czasach sprzed mniej więcej sześciu tysięcy lat, przeczytałem co następuje:

Gospodarz bierze ze stosu jakąś sporą książkę, otwiera ją, wertuje kartki i znalazłszy poszukiwany ustęp czyta: „Był to okres, kiedy zapadliny tektoniczne otworzyły Sund i Bełty powodując przelanie się do Bałtyku z Morza Północnego wód silnie zasolonych. W tym to czasie fale morskie wdarły się na brzegi dość daleko w głąb lądu pochłaniając szczątki dawniejszych osad ludzkich przybrzeżnych".



Pracownik Gdańskiej Wytwórni Wyrobów Bursztynowych — Leopold Sawicki przy pracy nad polerowaniem bursztynowego flakonika

— To zdanie — mówi Domaradzki — nasunęło mi myśl, czy nie uda mi się odnaleźć jakichś śladów tej wstrząsającej tragedii, która rozegrała się tu przed wiekami. Po sztormach nieraz wychodziłem na brzeg, aby zobaczyć, czy tworząca się wtedy denna fala nie wyrzuci na plażę jakichś zabytków. I rzeczywiście: udało mi się znaleźć kilka paciorków, wisiorków w kształcie siekierek, zawieszek ozdabianych typowymi dla neolitu krzyżami z punkcików. Widział pan to chyba w Gdańsku — zwraca się do mnie — bo prawie wszystkie okazy, a uzbierałem ich chyba ponad sto, przekazałem prof. Jażdżewskiemu do przyszłego gdańskiego Muzeum Prehistorycznego.

— A czy nie uda się ustalić, z jakiego mniej więcej okresu pochodzą te malowidła?

Numizmatyk znów chwyta książkę, szybko przewraca kartki i mówi:

— Dziwnym zbiegiem okoliczności również w dziele Antoniewicza znajduje się następujący ustęp opisujący przedmioty znalezione w grobach neolitycznych. O ten tu — wskazuje palcem na którąś ze stronic i zaczyna czytać: „Liczne są zawieszki bursztynowe w kształcie przewierconych w środku tarczek okrągłych, soczewkowych, nieraz ozdobionych krzyżowanymi w środku liniami punktowanymi, lub też o formie siekierek miniaturowych, opatrzonych w dziurkę pod zaokrąglonym obuszkiem, paciorki cylindryczne, kuliste i wiele innych..."

WŁADYSŁAW UDALSKI (Łódź)

Wspomnienie z Bedlna

Lubię po dniu upalnym łomot burzy
z ciemną zasłoną chmur i deszczu
i wiatr, co po gościńcach kurzy
i drzewa, co kroplami szepczą.

Lecz w Bedlnie, na dziedzińcu POM-u,
burza wstrząsnęła mną jak pożar,
gdy w rozjarzonych błyskach gromów
przejrzały się dojrzałe zboża.

Bo oto na spółdzielczych gruntach
leży niezestawiony jęczmień
i snopów nie ma komu sprzątać,
a chmury idą coraz cięższe.

Za chwilę lunie deszcz i plon —
nadzieja wspólna i zwycięstwo —
porośnie, jak rdzą porasta złom,
z gnijących snopów wionie klęską.

Za chwilę lunie deszcz, i kułak
podniesie znów przygięty łeb,
z radością w ślepiach wieś obhula:
„Zgnoili chleb“.

A ich na polu tylko sześciu
przeciw dziesięciu morgom snopów,
nie zdążą więc przed ścianą deszczu
i jęczmień strugi wód zatopią.

Z POM-u pobiegło nas kilkoro,
lecz ciężkich snopów gąszcz nie rzednie
i deszcz przekreśli rok uporu,
spółdzielnia przegra żniwa w Bedlnie.

Wtedy z fabryki, od Żychlina
pędem przybiegła ciężarówka
i ledwo szofer ją zatrzymał
już zetempowcy, zetempówki,

ci, co w spółdzielni każdy szczegół
znają, bo nie od dziś tu jeżdżą —
stawiają rzędy zboża w biegu,
by uratować chleb od deszczu.

Już wieś sąsiednią objął deszcz,
więc siły każdy z nas natężył,
Tu wszelkie normy trzeba znieść,
by w walce z burzą czas zwyciężyć.

Ostatnie snopy omoknięte,
stawialiśmy w ulewie ostrej
lecz nasze było już zwycięstwo,
zwycięstwo zetempowskie.

I wówczas czuliśmy, że radość
w piersiach nie może nam się zmieścić,
gdy do wsi biegliśmy gromadą
bez tchu, zmoczeni, lecz zwycięzcy.

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

Zapolska — autorka aktualna

Utarł się prawie zwyczaj w naszej krytyce, że kiedy mowa o Zapolskiej, rozpoczyna się od dwóch rzeczy. Albo od cytowania nader sprzecznych sądów o tej autorce, albo od wyrzekania na szczupły stan badań nad jej twórczością. Cóż robić? — trzymajmy się tych tradycji.

Nie miejsce tu na przytaczanie dawniejszych opinii Zoilów o pisarce. Interesujące i bogate zestawienie najróżnorodniejszych zdań mamy w przedmowie do „Pism wybranych“ Zapolskiej w edycji „Książki i Wiedzy“. Od jadowitych charakterystyk Popławskiego, Świętochowskiego, Irzykowskiego — do entuzjazmów Dygasińskiego czy Krzywickiej.

Ten spór o autorkę „Dulskiej“ bynajmniej nie wygasł. Doczekała się znowu niejednej niesprawiedliwej cierpkości, jakoteż nie zawsze w pełni usprawiedliwionych hymnów pochwalnych.

Wydawca jej pism, Jan Z. Jakubowski, pisał o „legendzie Zapolskiej — pisarki postępowej“; wykazywał „słabość ideologiczną pisarki, która krytykę ustroju kapitalistycznego ograniczyła do krytyki obyczajowości mieszczańskiej“; zarzucał jej uleganie poetyce naturalistycznej, a więc: „dominowanie opisu rejestrującego“, „mitologizowanie kołtuństwa“ „koncepcją darwinowskiego prawa walki o byt“.

Wychodząc z podobnych pozycji Kazimierz Wyka w artykule pod charakterystycznym tytułem „Renesans Zapolskiej czyli omdlenie teatru“ — negował obecną wartość społeczną jej satyry, nazywając ją „impertynencją w tiurniurze i pepitowych spodniach“. Nie bez złośliwości określał Zapolską „jakimś pół —, powiedzmy ćwierć-klasykiem warstwy z pierwszych rzędów foteli teatralnych“ (tzn. mieszczaństwa).

Po tych ostrych sądach pojawiły się niebawem inne — diametralnie różne. Jacek Frühling niedawno nakrzyczał na mnie strasznie, że ośmieliłem się napomknąć o niedostatkach widzenia społecznego Zapolskiej, a Roman Szydłowski zbyt chyba lekko rozgrzesza pisarkę z zarzutów naturalizmu, argumentując, że zarzutem tym operowali krytycy reakcyjni. Krystyna Grzybowska radziła wręcz grać „Ich czworo“ w kostiumach dzisiejszych.

Trudno kusić się na tym miejscu o rozstrzygnięcie owego, trwającego przeszło pół wieku i nieraz dramatycznego sporu. Warto jednak zwrócić uwagę na pewne rzeczy. Niewątpliwie twórczyni „Dulskiej“ nie dostrzegła w swoich dziełach głównego konfliktu epoki między wielką burżuazją a proletariatem. Niewątpliwie dawała częściową tylko prawdę o świecie. Z tym wszystkim jest dla nas dzisiaj autorką postępową i aktualną, jest nader cennym sprzymierzeńcem w walce. Właśnie dzisiaj, właśnie u nas, gdzie konflikt między kapitałem a proletariatem został bezapelacyjnie rozstrzygnięty, a gdzie groźnie jeszcze działają relikty mieszczańskiej obyczajowości i mieszczańskiego wyobrażenia o świecie. W to wszystko, co tak zaśmieca nasze życie, co tak utrudnia pokonywanie resztek złej przeszłości — bije celnie, drapieżnie, z nienawiścią satyra Zapolskiej.

Z tych też względów wznowienia jej utworów są potrzebne w naszym repertuarze. I dobrze się stało, że Teatr Współczesny wystawił „Ich czworo“ — sztukę nie graną w Warszawie od dwudziestu prawie lat.

Boy, przy okazji innej zresztą sztuki, pisał niegdyś o właściwościach Zapolskiej jako autorki scenicznej: „Zdaje się, że jest ona pod tym względem bardzo oryginalna, w tym że prawie zupełnie wyłącza z akcji motywy przygodne; wszystko umie wyprowadzić z samej istoty środowiska. Jak figury jej stają się natychmiast typami, tak i sytuacje są typowe, niemal konieczne. Nie ma tu „intrygi“ ani fabuły; nie ma żadnych zewnętrznych elementów zaciekawienia. Ale triumfem autorki jest, że obrazy te tyle mają dramatycznej logiki i stopniowania efektów. Wszystko tu jest typowe, wszystko wyrasta z tła, wszystko skąpane w rozmyślnej jego szarzyźnie, a przecież jakie krwiste w charakterystyce“.

Uwagi te dają się w pełni zastosować do „Ich czworo“. Dzieją się tu rzeczy najcodzienniejsze w świecie mieszczańskim, nie ma żadnej „tragedii“ — ale właśnie tę trywialną przeciętność pisarka umie pokazać w tak pełen wyrazu sposób, że wydobywa całą jej ohydę, że staje się ona czymś nie do zniesienia. Ta prezentacja bezsensu i brzydoty owego stylu życia odbywa się w sposób typowy, no cóż — schematyczny, a jednak rzecz ani przez chwilę nie jest nudna, ani na moment nie traci rumieńców życia. Trzeba więc przyznać rację Anatolowi Sternowi, gdy pisze o Zapolskiej, że to „najświetniejsze pióro komediopisarskie naszego ostatniego pięćdziesięciolecia“.

„Ich czworo“ należy na pewno do grupy czołowych utworów Gabrieli. Przez niektórych krytyków uważane jest nawet za najcenniejszą pozycję w jej dorobku dramatopisarskim, obejmującym — wedle dotychczasowych badań — 37 sztuk, jednoaktówek, fars, obrazków scenicznych — i jeden scenariusz filmowy. Ten ostatni jest prawie nieznany, dodam więc na marginesie jako ciekawostkę, że nazywał się „Niebezpieczny kochanek“ i był zrealizowany w roku 1912 w reżyserii Kazimierza Kamińskiego.

Fakt, że uważamy Zapolską za pisarkę aktualną i walczącą nie może oczywiście powodować zbędnej zresztą najzupełniej wulgaryzacji jej bohaterów na scenie. Taką wulgaryzacją była w jednym z przedstawień „Dulskiej“ wstawka reżyserska, kiedy to Hanka drze i rzuca w ogień otrzymane od chlebodawczyni pieniądze.

Albo po co dopatrywać się er fas et nefas cech pozytywnych w szwaczce Mani z „Ich czworo“? To wbrew Zapolskiej, wbrew jej światłym krytykom, wbrew Boyowi, który widział w Mani „klempę taką jak żona, tylko brzydszą, twardszą i mniej może do profesora przywiązaną“. Szwaczka jest przecie rodzoną siostrą żony w „Mieszczaństwie“ — tyle tylko, że gorzej się jej powiodło w młodości. Gdyby Profesorowa w latach przedślubnych spotkała łajdackiego uwodziciela, losy jej mogły stać się analogiczne z losami Mani. Do szwaczki „szczęście“ uśmiechnęło się później — i rachunki między nimi są wyrównane. I jeszcze jeden moment: gdyby Mania była człowiekiem uczciwym, kochającym naprawdę dziecko — rzecz kończyłaby się ckliwym happy-endem; Liluś dostałby zamiast złej matki — dobrą opiekunkę. A to przecież załamywałoby całkowicie linię sztuki. Właśnie ultra - mieszczański przedwojenny teatr krakowski w paru kolejnych inscenizacjach w swoisty sposób „wybielał“ Manię, traktując lirycznie jej rolę w ostatnim akcie. Zapolska daje w „Ich czworo“ studium głupoty mieszczańskiej — głupoty paru gatunków, ale zawsze jednakowo wstrętnej i podłej.



„Ich czworo“ Zapolskiej w Teatrze Współczesnym w Warszawie. Od lewej: Hanna Bielicka (żona) i Andrzej Łapicki (kochanek)

Przedstawienie w Teatrze Współczesnym przygotowali słuchacze Wydziału Reżyserskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej: Wanda Laskowska i Jerzy Rakowiecki. Ten egzamin zdali chyba na „dobrze“. Sztuka została wnikliwie odczytana, zgrabnie rozwiązana sytuacyjnie, przedstawienie ma dobre tempo, jest interesujące, zabawne i zjadliwe. Do tej sumarycznie pozytywnej oceny wypadnie dodać zastrzeżenie. Odnosi się mianowicie wrażenie pewnego strywializowania niektórych elementów utworu. Dzieje się to zresztą w rozmaity sposób; czasem w prowadzeniu aktora, czasem w podawaniu dowcipów lub rysowaniu linii postaci.

Na czoło zespołu aktorskiego wysunął się Andrzej Łapicki jako kochanek — to chyba najlepsza z jego dotychczasowych ról w Warszawie. Był całkowicie przekonywającym oblubieńcem Żony i Wdowy, należycie bezczelnym, bezbrzeżnie głupim, bardzo śmiesznym. Rolę prowadził konsekwentnie i płynnie, bez pustych miejsc.

Żonę grała Hanna Bielicka z kapitalnym temperamentem i poczuciem humoru. Rola świetna sama w sobie — w całości przedstawienia odbijała jednak metodą aktorską jakby nieco kabaretową, jakby za współczesną. Żona w jej interpretacji była istotą z innej planety niż Profesor; trudno było uwierzyć, że ci ludzie przeżyli ze sobą — było nie było — jakieś 10 lat.

W kierunku specyficznej groteski (również zresztą bardzo zabawnie) przerysowała Sługę Barbara Drapińska.

Męża (Stanisław Jaśkiewicz) potraktowano ciekawie jako celebrującego siebie filozofa-mistyka z epoki Młodej Polski. Punktem wyjścia tej koncepcji stały się prawdopodobnie pretensjonalne zapiski Profesora, czynione przez niego po nocach, a znane nam z relacji Żony. W dwu pierwszych aktach brakło jednak chyba Mężowi cech mieszczańskiej belferskości, pedantyzmu, powszechnej małostkowości — co tłumaczyłoby lepiej nastroje Żony.

Halina Czengery jako Szwaczka znalazła wspólny mianownik aktorski dla I i III aktu swojej roli, czego autorka bynajmniej nie ułatwia.

W teatrach naszych utarło się niesłuszne mniemanie, że dziecko na scenie wprowadza moment nieszlachetnej artystycznie ckliwości (ale szereg filmów radzieckich dowiódł że wcale tak być nie musi). I chyba w obawie przed ową ckliwością w przedstawieniu warszawskim odsunięto na dalszy plan małą bohaterkę sztuki. A przecież Zapolska nie bez słuszności widziała tragizm całej historii w sprawie dziecka — nasiąkającego od najmłodszych lat nikczemną atmosferą świata rodziców.

Stanisław Marczak-Oborski

*) Państwowy Teatr Współczesny w Warszawie. Kierownik artystyczny: Erwin Axer. Gabriela Zapolska: „Ich czworo“. Komedia w 3 aktach. Reżyseria: Wanda Laskowska, Jerzy Rakowiecki. Dekoracje i kostiumy: Mikołaj Pertus. Przedstawienie przygotowano w ramach ćwiczeń reżyserskich P.W.S.T.

T Y N Y

Gospodarz zamyka książkę i podnosi na nas wyblakłe oczy.

— Wszystkie wymienione w tym opisie przedmioty — objaśnia z nutą triumfu w głosie—znajdowałem tak ja jak i tutejsi mieszkańcy niejednokrotnie na morskim brzegu, zwłaszcza po większych sztormach.

Ogarnia nas zdumienie. Po sześciu tysiącach lat Bałtyk oddaje to co niegdyś zabrał. Uchyla rąbka swej tajemnicy. W całości nie poznamy jej chyba szybko... Mój kolega trzyma właśnie w ręce kawałek bursztynu z zakrzepłym w jego wnętrzu pająkiem. Pajączek wygląda jak żywy, choć liczy sobie już trzydzieści dwa tysiące wiosen. Bursztyn bowiem formował się w trzeciorzędzie, w epoce eocenu.

Chwilę zadumy przerywa nam nagłe pukanie. Gospodarz otwiera drzwi, w których staje jakiś niewysoki chłopak z rozwichrzoną czupryną. Przyszedł z oddalonej o przeszło 5 klm wioski rybackiej, by przynieść „czarodziejowi z Sobieszewa“ znaleziony kawałek bursztynu. Wyciąga rękę. Mój kolega, który powziął już zamiar, by zostać „uczniem czarnoksiężnika“ zrywa się z krzesła. Wstaję i ja.

Na dłoni przybysza leży grudka skamieniałej żywicy z przedwiecznych sosen. Bursztyn, trudno uwierzyć oczom, wygładzony jest w kształt siekierki i ma charakterystyczną dziurkę, o której wspomina autor „Archeologii Polskiej“. Sześć tysięcy lat temu zdobił prawdopodobnie pierś jakiejś dziewczyny, która razem z całą osadą została zalana falami gniewnego morza.

II

Tak, Domaradzki. Znamy go oczywiście. To naprawdę niezwykły człowiek — mówi dyrektor Piątkowski — ściśle z nami współpracuje. Oficjalnie nosi tytuł zastępcy kierownika skupu w Rejonowym Biurze Handlowym, ale my tutaj na niego mówimy „herszt zbieraczy bursztynu“. Bo naprawdę on gromadzi jantar zbierany przez kilkudziesięciu ludzi. Zbieracze ci z Kątów, Górek Wschodnich, Sobieszewa i innych rybackich osiedli, wychodzą po każdym północno- wschodnim sztormie na strąd i szukają grudek „bałtyckiego złota“. Sztormy bowiem, i to właśnie te północno-wschodnie, w naszym rzemiośle, odwrotnie niż w rybackim, są wyczekiwane z niecierpliwością i bardzo pożądane.

Ryszard Piątkowski, młody jeszcze chemik z Krakowa, kieruje już od kilku lat gdańską Wytwórnią Robót Bursztynowych, uruchomioną w kwietniu 1945 r. przez Dyrekcję Państwowego Przemysłu Miejscowego, a przejętą w marcu 1950 r. przez Centralę Przemysłu Ludowego i Artystycznego.

Przed chwilą kiedy w biurze oglądałem zebrane w gablotce co ciekawsze bursztyny, w których zachowały się nie tylko muszki i komary, ale także kropelki wody z pęcherzykami powietrza, dowiedziałem się, że każdy jantar ma właściwie swoją tajemnicę. Bursztyniarz musi odgadnąć co ukrywa się pod korą bursztynową. Czy grudka jest „zdrowa“, czy popękana, „chora“. Czy zmatował ją piach, czy też zachowała przezroczystość? Jakiego wreszcie będzie koloru? Trzeba bowiem wiedzieć, że kolor bursztynu bywa różny, nie tylko „bursztynowy“. Można naliczyć do trzystu odmian jego barw od niebieskich i zielonych aż do czerwonawych. Niektóre grudki są wielobarwne i przypominają marmur, inne o większej domieszce wapna mają kolor niemal zupełnie biały. Bursztyniarz, aby dobrać odpowiednie kolory, musi mieć wyczucie i smak artystyczny, musi też od razu w surowej bryle pokrytej korą dostrzec gotowy już kształt czy to broszy, czy paciorka, czy innego przedmiotu.

Takie wyczucie ma Franciszek Niemczyk, którego spotykamy na korytarzu. Młody człowiek w rogowych okularach od 15 lat pracuje w fachu bursztyniarskim. Wprawnymi palcami zestawia kolorowe bryłki, skleja z nich skrzynki, okręciki, ba, nawet latarnie morskie.

Razem wchodzimy do długiej sali, gdzie mieści się tokarnia i szlifiernia. Jest tu zupełnie jak we młynie. W powietrzu unosi się biały, pachnący kurz.

— Kurz tu, co? — odzywa się ktoś przekrzykując warkot motorków. — Ale to nic. Zdrowiu nie szkodzi i ładnie pachnie. Nie na darmo w Rzymie mówiło się na bursztyn — ambra.

Odwracam się. Obok mnie przystanął jakiś człowiek. Przez w złoto oprawne okulary patrzą pogodne, szare oczy. Siwawy majster, Bolesław Schutenberg, pociera ręką podbródek. Zaczynamy rozmawiać.

Mój nowy znajomy w bursztyniarstwie pracuje od 30-tu przeszło lat. Uczył się tego fachu w Gdańsku. Cech bursztyniarzy istniejący od wieków, a pieczętujący się stemplem z dawną gdańską dewizą: „Nec temere, nec temide“, mieścił się w jednej z kamieniczek niedaleko Królewskiej Kaplicy przy ulicy Św. Ducha. Tam przechowywano stary cechowy dzwon i skrzynię z dokumentami cechu, pamiętającymi czasy, kiedy to miasto należało jeszcze do Rzeczypospolitej. Tam też co kwartał schodzili się na zebrania starzy bursztyniarze: Ranke, Kwiatkowski, Ebert. Uderzeniem młotka, w którego uchwycie żółciły się bursztyny, obwieszczano rozpoczęcie obrad.

Dziś majster Schutenberg pracuje w Państwowej Wytwórni i przekazuje doświadczenie pokoleń gdańskich bursztyniarzy młodym adeptom, którzy szkolą się tutaj, w dziale bursztynowym, i w znajdującym się na parterze dziale metalowym.

W nawlekarni nie ma obłoków pyłu pachnącego ambrą. Dziewczyny w ciszy nawlekają na sznurki i gumki gotowe już paciorki. Z rąk ich wysuwają się długie węże bursztynowych naszyjników i różańców.

O tych różańcach opowiada nam w magazynie Krystyna Darga:

— Robimy je specjalnie na eksport. Idą na Bliski Wschód. Pobożni mahometanie modlą się na nich... O, proszę się przyjrzeć — uśmiecha się i pokazuje wyciągnięty z szafy długi połyskliwy sznur żółtych paciorków.

Oglądam rzeźbioną z bursztynu wieżyczkę przypominającą nieco minarety zdobiące świątynie wyznawców proroka i myślę, że bursztyn pożądany jest dziś na wschodzie niemal tak samo jak dawniej, kiedy to przedzierające się po niego karawany kupieckie torowały przez słowiańskie puszcze sławne bursztynowe szlaki.

Po wąskich schodkach schodzimy na parter. Majster Mroch objaśnia, że wiele z wyrobów Wytwórni eksportuje się nie tylko na Bliski Wschód ale także do Francji i Ameryki. Zamówień nie brak. Dlatego bardzo ważna jest sprawa surowca

III

A o bursztyn nie jest w Polsce zbyt łatwo. Wyrzucają go na nasz brzeg jedynie sztormy północno-wschodnie i to dość skąpo. Skamieniałe łzy Juraty znaleźć jednak można nie tylko w skarbnicy Bałtyku. Przechowuje je również ziemia i to nieraz daleko w głębi lądu. U nas znajdowano bursztyn nad Narwią, pod Ostrołęką, w Puszczy Myszynieckiej, zawsze w geologicznych utworach trzeciorzędu. Podczas budowy autostrady Gdańsk — Gdynia na odcinku między Sopotem a Orłowem robotnicy-Pomorzanie — znający dobrze tajemnicze, lekkie kamienie, które dziwiły tak towarzyszy z głębi kraju, zbierali je i dostarczali do Wytwórni we Wrzeszczu po pięć i osiem nieraz kilogramów tego kopalnego bursztynu. W Kisielicach zaś, ale o tym trzeba opowiedzieć obszerniej...

Mieszkańcy tego miasteczka mieli kłopot z wodociągami. Wyporządzili całe wodociągowe urządzenie i czekali tylko na dostarczenie energii elektrycznej, aby je uruchomić. Niestety sprawa ta się przewlekała. Dlatego postanowili wywiercić w mieście kilka pomp. Podczas tych właśnie wierceń natrafiono na rzecz zupełnie niespodziewaną.

— To było właśnie tutaj — mówił mi majster Sarnecki — stary hydraulik z Zielenia nad Wkrą.

— Staliśmy na rozstaju, gdzie jedna z kisieleckich dróg idzie na Biskupie, a druga zmierza ku Grudziądzowi.

— Tutaj zaczęliśmy wiercić — wskazuje jakiś punkt na gliniastej ziemi przydrożnej. — Na głębokości 16 metrów rury płaszczowe nam stanęły i dalej nie można było się opuścić ani rusz. Spuściliśmy więc mesel. Mesel, wie pan, ma 150 kg ciężaru, ale też nie dał rady. Co miałem robić. Wszystkich ośmiu moich pracowników spociło się, więc kazałem przesunąć miejsce wiercenia o 1,80 mtr na prawo nad jezioro.

Pokazał mi nowe miejsce położone już nieco dalej od drogi. Tu zapuszczono rury po raz drugi. Ale na głębokości 22 metrów znów stanęły.

— Uderzyliśmy raz i nic — opowiadał Sarnecki — dopiero za drugim razem coś jakby chrupnęło i rury zagłębiły się zaraz na metr. Wrzuciliśmy świder. I zaraz za pierwszym zarzuceniem na powierzchnię ziemi wyszły jakieś dziwne żółte kamyki. Popatrzałem, wziąłem jedną z grudek, potarłem o rękaw i przekonałem się, że przyciąga papier. Zrozumiałem zaraz: bursztyny. Za pierwszym zarzuceniem wydobyliśmy ich prawie dwa kilogramy. Za drugim rury opuściły się od razu na jakiś metr, widać przebiliśmy już warstwę. Dla Kisielic było to naprawdę niezwykłe wydarzenie. Każdy chciał mieć chociaż kawałek bursztynu. Tak się też te dwa kilogramy wszystkim po trochu porozdawało, na pamiątkę, dziewczynom na oczka do pierścionków...

Schodki kończą się. Mroch otwiera jakieś drzwi i wchodzimy do pokoju, w którym stoi wielka prasa hydrauliczna. Dokoła niej krząta się Janek Kruczyński, młody pomorzak. Na głowie ma papierową czapkę taką samą jak sz[illegible], u których byłem na górze przed kilkoma minutami.

Z żelaznej formy wyjmuje tłok, otwiera ją i, jak bartnik opróżniający ul, wyciąga z wnętrza ciemny, kanciasty, przypominający plaster miodu, kawał bursztynu. Nie czekając ani chwili wrzuca go do wiadra z wodą. Bursztyn musiał być gorący, bo woda zaczyna cicho syczeć...

— To właśnie jest nasz wynalazek — objaśnia majster Brunon. — Przynosi nam wiele korzyści, bo trzeba wiedzieć, że z każdego kilograma bursztynu przy obróbce idzie 80% na odpadki. Tak było zawsze, odkąd tylko istnieli bursztyniarze. Ale u nas od przeszło dwóch lat jest inaczej. Nie marnuje się już ani gram. Wpadliśmy na pomysł, żeby wszystkie odpadki prasować. No i wykombinowaliśmy ten przyrząd.

Pomysł jest właściwie prosty. Do bursztynowego miału dodaje się gipsu, kleju, jakichś jeszcze chemikalii, a potem... tłok ciśnie go tak mocno, że musi zamienić się z odpadków w jedną, mocną bryłę. Innej rady nie ma.

Rozglądam się po bursztynowej kuchni. Przez duże okna wpada tu słońce przedwiośnia.

Jantar palony na chwałę pogańskim bogom i osłaniający chmurami wonnego dymu drewniane twarze Swarożyca w kontynach Radgoszczy, Szczecina i Arkony nie zawsze przynosił szczęście nadmorskiej ziemi. Niegdyś poza kupcami zwabiał do rybackich drewnianych osiedli również chciwych grabieżców, później w czasach feudalnych stał się przyczyną wielu krzywd. Krzyżacy, opanowawszy wybrzeże Sambii i K[illegible] nakazywali surowo, by każdy znaleziony przez ludność bursztyn był oddawany do ich składnic w Oliwie i w Gdańsku. Wyznaczyli nawet do pilnowania tego rozkazu specjalnych urzędników. Rybak czy chłop, który by zataił znalezienie bursztynu, podlegał surowej karze. Lud Warmii i Mazur do dziś opowiada o tułającym się po strądzie polskim wójcie oślepionym przez Krzyżaków, który w wichrze sztormowym skarży się rozpaczliwie na swój los i woła:

— Bursztyn to dar morza. Wolno go mieć każdemu.

Wiele lat musiało upłynąć, by „skamieniałe łzy Juraty“ stały się naprawdę „błogosławieństwem morza“. Dziś po każdym północnowschodnim sztormie wylegają na jantarowy brzeg Bałtyku dziesiątki poszukiwaczy bursztynu zwerbowanych przez „Czarodzieja z Sobieszewa“. Dzisiaj każda znaleziona grudka żywicy, która przechowała owady, igły sosnowe i żyłki liści sprzed milionów lat i dała nazwę... elektryczności, zamienia się w radość. I to radość nie tylko znalazcy, ale także ludzi takich jak Domaradzki czy Jażdżewski, którzy odczytują z niej wieści o losach dawnych mieszkańców naszego Przymorza, czy takich jak Niemczyk, Schutenberg, Mroch, którzy, przejąwszy stare tradycje gdańskich bursztyniarzy, nadają jej kształty pięknej bransolety, broszy czy złotego, bursztynowego serca.

Franciszek Fenikowski

HANNA KIRCHNER

Marzenie — organizator dziecięcego bohaterstwa

I

„Rozdźwięk pomiędzy marzeniem a rzeczywistością nie wyrządza żadnej szkody, jeżeli tylko osoba marząca poważnie wierzy w swe marzenie, jeżeli uważnie przypatruje się życiu, porównuje swe obserwacje ze swymi zamkami na lodzie i w ogóle sumiennie pracuje nad urzeczywistnieniem swego marzenia. Jeżeli pomiędzy marzeniem a życiem są jakiekolwiek punkty styczne, to wszystko jest w porządku" (Pisariew).

Jednym z centralnych zagadnień dyskusji nad literaturą dziecięcą, toczonych w Związku Radzieckim i ostatnio u nas, jest sprawa fantastyki. Dziś zdaje się dla wszystkich nie ulegać wątpliwości, że fantastyka jest elementem, jeśli nie nieodzownym, to bardzo pożądanym w literaturze dla dzieci i młodzieży. Sedno sprawy leży w tym, aby była to fantastyka zgodna z zasadami realizmu socjalistycznego, czerpiąca z bogatych źródeł twórczości ludowej, bajki i folkloru ludowego. Chodzi o to, aby w fantazji, w marzeniu nie przemycać pierwiastków wstecznej ideologii, idealizmu, aby marzenie związać z rzeczywistością, aby wprzęgnąć je w służbę twórczego działania.

W przetłumaczonych na język polski powieściach Kassila *) zagadnienie fantastyki jest sprawą naczelną. Każda prawie z tych powieści zawiera element fantazji, baśniowości, marzenia. Ale nie tylko to. Wydaje się, iż są to utwory w pewnym sensie polemiczne, walczące z niewłaściwym pojmowaniem fantastyki, próbujące ustalić słuszny pogląd na te sprawy. „Szwambrania", „Mars na horyzoncie" i „Światła Moskwy" (powieści te można traktować jako całość) reprezentują stanowisko negatywne autora. „Czeremysz, brat bohatera" i „Moi drodzy chłopcy" to próba dania obrazu leninowskiego pojmowania marzenia.

Szwambrania, to kraina nie istniejąca na oficjalnej mapie świata. Stworzyły ją obdarzone bujną wyobraźnią dziecięce głowy. Potężna ciekawość, niezaspokojone pragnienie wiedzy o świecie dwóch chłopców (Lola i Ośki) zrodziło Szwambranię. Była to na wskroś inteligencka fantastyka, funkcja skąpych dziecięcych doświadczeń i tęsknoty do tego, aby *„brać udział w życiu na równi z dorosłymi"*. Szkolny kolega Lola, Stiopka, mały bolszewik, miał zupełnie inny stosunek do czarodziejskich krain. Usłyszawszy o Atlantydzie postanowił: *„Bo ja ją, Nikito Pawłyczu, tę Atlantydę, odnajdę. Jak Boga kocham... Poszukam trochę w oceanie i znajdę. Ja umiem głęboko nurkować"... Wodę stamtąd wypompuję, pałace naprawię i takie tam życie urządzę, że hej!"* Takie marzenia zaprowadziły Stiopkę Atlantydę do Armii Czerwonej. Zginął, aby czarodziejska kraina stała się rzeczywistością w kraju radzieckim. Szwabrania, która powstała przecież z najpiękniejszych chłopięcych marzeń, poniosła zupełną klęskę, z chwilą gdy *„rewolucja — surowa niańka, cudowny pedagog i najlepszy wychowawca — pomogła doszczętnie rozbić stare nawyki"*.

Szwambrania była krajem wzniosłej sprawiedliwości, *„niczym innym, tylko dziecięcym modelem wspaniałego świata"*. *„Nie wystarczy marzyć, trzeba pracować"* — powiada chłopcom naczelnik Czeki. Na globusie jest wiele pięknych krajów, na globusie jest radziecka ojczyzna, w której rzeczywistość prześciga najśmielsze marzenia. Szwambranii na nim nie ma. Opowieść o niej jest *„jedynie poglądową pomocą naukową"*.

O nowym typie marzeń ludzi radzieckich mówi Kassil w innych utworach: „Czeremysz, brat bohatera" i „Moi drodzy chłopcy". Ta ostatnia książka została w 1944 roku nagrodzona na konkursie najlepszych książek dla dzieci. Geszka Czeremysz ma takie samo nazwisko jak słynny lotnik, bohater Związku Radzieckiego. Marzy o tym, aby być takim jak on. Geszka jest sierotą, chciałby mieć takiego brata. Marzenie to z biegiem czasu wydaje mu się rzeczywistością. W szkole opowiada, że lotnik Czeremysz to jego brat. Miasto, gdzie Geszka chodzi do szkoły, wybiera słynnego lotnika jako kandydata do Rady Najwyższej. Rzekomy brat Geszki przyjeżdża i wszystko się wydaje. Czy należy potępić marzenie chłopca, które doprowadziło go do kłamstwa? Nie, odpowiada autor, należy potępić samo kłamstwo. *„Poważanie zdobywa się u nas nie pochodzeniem, czy rodem, ale czynami"*. Ale marzenie? *„Marzenie, towarzysze, rzecz w życiu nader ważna. Marzenie może człowieka na ludzi wykierować. I śmiać się z niego nie wolno"*. Geszka marzył przecież o tym, aby być takim samym wspaniałym człowiekiem, jak bohater Związku Radzieckiego. A to marzenie pomoże mu dopiąć celu.

„Mars na horyzoncie" i „Światła Moskwy" to także polemika z fałszywym pojmowaniem marzenia. Jest to bowiem w dużej mierze kwestia charakteru człowieka, jego stosunku do życia. Dziewczyna marzy, aby dokonać w życiu czegoś niezwykłego. Wydaje się jej, że droga do realizacji tego marzenia wiedzie przez film, do którego przypadkowo się dostała. *„Jest taka głupia, obrzydliwa teoria, że każdy człowiek ma choć raz w życiu okazję, że trzeba wykorzystać szczęście, chwilę powodzenia, nie marnować szansy. Jest to wśród mieszczan, wśród filistrów moralność najbardziej rozpowszechniona... Dorwą się do szczęśliwej okazji i już chcieliby ją utrzymać przez całe życie. I jeśli potem nastąpi klapa, czują się wykolejeni. Na nic innego ich nie stać. Są to mizerni ludzie, rycerze na jeden raz"*. (str. 130). Ale w kraju radzieckim walczy się z taką moralnością. Sima nie zostaje aktorką filmową, zostanie zdolnym astronomem i będzie mogła z całego serca służyć Związkowi Radzieckiemu.

„Moi drodzy chłopcy" wprowadzają fantastykę jako element kompozycji. Niedokończona baśń o mieszkańcach Sinogórza i Janie Sadowa Głowa, Amalganie i Izobarze, jest drogowskazem, który poprowadzi autora do zapoznania się z historią pionierów Zatońska i bohaterską obroną tego miasta przed Niemcami. Baśń ta wymyślona została przez człowieka o wielkim sercu, Arseniusza Gaja, kierownika domu pionierów w Zatońsku. (Kto wie, czy postać ta nie jest pięknym hołdem złożonym przez Kassila jego koledze, Gajdarowi?). Na jej przykładzie można zaobserwować, jak słusznie pomyślana fantazja, marzenie może stać się wielką siłą, organizatorem dziecięcego bohaterstwa, czynnikiem, który mobilizuje do służby radzieckiej sprawie. *„Ja się nie bawię, ja działam"* — mówi stanowczo Tonio Nutyrew, przywódca pionierów zatońskich, gdy opowiada sekretarzowi partii historię o komandosach. Komandosi to baśniowy lud, rycerze bez skazy, szlachetni i mężni, służący każdej dobrej sprawie. Grupa chłopców, którzy nazwali się komandosami, pamięta dobrze, co mówił Arseniusz Gaj: *„Że przede wszystkim jesteśmy pionierami i od innych pionierów bardziej pionierscy"*. Baśń o komandosach opowiada o walce z uciskiem, podłością i kłamstwem, o walce człowieka z siłami przyrody. Ujmuje po prostu w baśniowej formie te wszystkie najpiękniejsze cechy ludzkiej wielkości, jakiej dopracowuje się od dzieciństwa człowiek radziecki.

Wróćmy jeszcze do „Szwambranii". Charakterystyczną cechą tej powieści, pełnej inteligencji i humoru jest doskonałe przedstawienie dziecięcego spojrzenia na świat, specyficznej, nieświadomej ironii dziecięcej, która widzi świat w sposób szczególnie wyostrzony. Dzięki temu dziecko dostrzega cały fałsz układu społecznego, który dorosłym wydaje się zupełnie naturalnym. Tego rodzaju dziecięce obserwacje są dla Kassila często okazją do doskonałego, celnego dowcipu: „Po odwiedzinach w cerkwi doszliśmy do wniosku, że królestwo niebieskie to taka Szwambrania, którą dorośli wymyślili dla biednych. Dla większej więc wspaniałości wprowadziłem w naszej Szwambranii duchowieństwo... Głównym popem Szwambrańskim był patriarcha Hematogen. Przypomniało to patriarchę Hermogena. Prócz tego „Hematogen" była to lepka, mdła mikstura, którą w nas ustawicznie wlewano. Katolickich prałatów tytułowano: *„wasza świątobliwość"*. Hematogena tytułowaliśmy: „wasza osobliwość". (str. 45).

II

„Zasady komunistyczne w najprostszym ujęciu — to zasady wykształconego, uczciwego, postępowego człowieka, to miłość do socjalistycznej ojczyzny, przyjaźń, koleżeństwo, humanitaryzm, uczciwość, zamiłowanie do pracy socjalistycznej i wiele innych wielkich zalet, zrozumiałych dla każdego. Zaszczepianie, pielęgnowanie tych właśnie cech, tych wspaniałych zalet stanowi najważniejszy składnik wychowania komunistycznego".

(M. Kalinin)

Ten cytat z przemówienia otaczanego miłością opiekuna i wychowawcy młodzieży radzieckiej wyjaśnia naczelną tendencję utworów Kassila. Jak wszyscy radzieccy pisarze dla dzieci, poświęca on swą twórczość wychowaniu nowego człowieka.

Ukochanie pracy, szacunek dla niej, poświęcenie jej wszystkich sił — znajdziemy w każdej powieści Kassila. Tonio Butyrew i jego baśniowy wzór, rusznikarz Izobar, czy majster Amalgama, Arseniusz Gaj, reżyser Rasczepiej to ludzie, którzy kochają swą pracę, wkładają w nią serce i wyobraźnię i dlatego dochodzą do mistrzostwa. Amalgama, twórca cudownych luster, powiada: *„nie ma na świecie siły, która oparłaby się pracy, szczególnie jeśli człowiek wybrał ją według swego upodobania i włożył w nią duszę"*.

Patriotyzm — to inna z cech bohaterów Kassila. Jest to funkcja wychowania komunistycznego. Ludzie radzieccy zwyciężyli i zwyciężać będą zawsze, gdyż ich siła nie polega tylko na przewadze fizycznej, jest ona siłą ideologii: miłości człowieka i nienawiści — przemocy i wyzysku. Dlatego Sima-Ustima nie opuściła Moskwy, uratowała Igora, dlatego Tonio tak bohatersko walczył z Niemcami, dlatego na zawsze zostanie w pamięci pionierów Zatońska ich ukochany kierownik, Arseniusz Gaj, a Sinię prowadzić będą przez życie słowa i przykład Rasczepieja.

Uderza ogromne bogactwo problemów w powieściach Kassila. Ludzi radzieckich cechuje bowiem poczucie głębokiego związku ich osobistego życia i pracy z życiem całego narodu. Młodzież radziecka od najwcześniejszych lat uczy się żyć w społeczeństwie, uczy się odpowiedzialności za każdy czyn. W książce „Mars na horyzoncie" i „Światła Moskwy" obok trudnego do omówienia bogactwa zagadnień życia młodzieży radzieckiej i całego kraju, znajdziemy także problem nowego stosunku do sztuki, do pracy artysty. Piękna postać reżysera Rasczepieja, realizującego film o wojnie narodowej z Napoleonem reprezentuje nową sztukę Związku Radzieckiego. W historii odnajduje on lud, jego cierpienia i bohaterstwo. Mała Ustia — partyzantka, chłopka pańszczyźniana przywołana do życia przez Sinię Krupicynę, która gra jej rolę, to wspaniały przykład znaczenia ludowej, postępowej tradycji dla współczesnych.

III

„W jakiej epoce historycznej istniał ciekawszy okres? Kiedy było więcej heroizmu i dramatyzmu, niż w naszych czasach?"

(Kalinin)

Wróćmy znów do Szwambranii. Pozostałe książki pokazują kształtowanie się wyższego już stopnia świadomości socjalistycznej młodzieży. Pokazują już życie radzieckie w przededniu wielkiej wojny ojczyźnianej i w latach 40-tych, w okresie obrony kraju przed najazdem faszystowskim. „Szwambrania" notuje punkt wyjścia, kształtowanie się nowego poglądu na świat dziecka inteligenckiego, wychowanego na przełomie dwóch ustrojów, w okresie wielkiej wojny, rewolucji i wojny domowej.

Szwambrania, która jest wielkim magazynem dziecięcej mądrości, rejestruje jak czuły mechanizm wszelkie zakłócenia w równowadze otaczającego świata. Dzieci jednak żyją nie tylko w sferze wyobraźni. W ich mały świat, rozciągający się między domem i szkołą, wdziera się historia i ona staje się ich wychowawcą. Szkoła jest miniaturą panującego despotyzmu carskiego. Uosobieniem jego jest bezlitosny dyrektor *„Rybie Oko"*. Autor w sposób trafny i dowcipny demaskuje mechanizm ustroju, który usiłuje ukształtować dzieci na swoje podobieństwo. Wzbudzanie nienawiści do innych narodów i ras, apologia wojny, to jedna z metod starego wychowania.

Na szczęście dzieci przeważnie reagują na to w swoisty sposób. Oto, jak przejawił się stosunek Ośki do patriotycznej manifestacji mieszkańców miasta na cześć cara i za prowadzeniem dalej wojny: *„Manifestacja wywarła na Ośce wyjątkowo silne wrażenie... Ośka widział wszystko po swojemu. W owe dni eksploatował przełamaną deskę z muszli klozetowej... Nazajutrz po manifestacji Ośka zorganizował na podwórzu szwambrańską i bardzo bluźnierczą manifestację. Klanoka niosła na szczotce do zamiatania jakieś spodnie ze strzemionami. Miały one wyobrażać chorągiew. Ośka zaś niósł sławetną deskę. A w dziurze jak w ramie jaśniał wycięty z „Niwy" portret cesarza Mikołaja II, samodzierżcy Wszech Rosji".*

W indywidualnych wydarzeniach dziecięcego wieku zamknął Kassil historyczną typowość. Przedstawiciel carskiego reżimu, znienawidzony dyrektor *„Rybie Oko"*, zostaje zrzucony ze swego stanowiska. Zmieniło się bowiem coś w dalekim Piotrogrodzie. Ale w Pokrowsku na razie zawisł tylko na ścianie pokoju nauczycielskiego zamiast portretu cara — wizerunek Kiereńskiego, w mieście zaczęli rządzić kupcy, a miejsce dyrektora zajął dawny inspektor. Delegatów uczniowskich nie zatwierdzono. *„I to ma się nazywać rewolucja?"* — pyta z goryczą Stiopka Atlantyda. W kraju szaleje wojna domowa. W gimnazjum panuje chaos. Zaczyna się w nim zarysowywać rozwarstwienie klasowe. Do Pokrowska przybywają bolszewicy. Opiekę nad szkołą przejmuje komisarz Czubarkow. Ten były pokrowski tragarz jest postacią niezwykle ujmującą. Kassil pokazał w nim jednego z bohaterskich uczestników codziennej, trudnej walki o rewolucyjny ład, w kraju nękanym głodem i wstrząsanym wojną domową.

Rewolucja dokonuje się także w Szwambranii. Ukształtowana według mieszczańskich kanonów dziecięca świadomość powoli się wyzwala. Zaczyna się od uwielbienia dla Lenina i przeżycia przez całą szkołę zamachu na jego życie. Potem przychodzi zrozumienie sensu nauki, sensu życia i rewolucyjnych przemian, jakie w nim zachodzą. Szwambrania jest także problemem rosyjskiej inteligencji. Wszystko co było w niej idealistyczną mrzonką ponosi klęskę. Ojciec Kassila mówi zirytowany swemu szewcowi, który został komisarzem i przyszedł go przesiedlać ze starego mieszkania do innego: *„Powiem wam, towarzyszu Usyszko, szczerze, że buty lepiej się wam udają, niż rewolucja... — To zależy, z której strony się na to patrzy, towarzyszu doktorze — zaśmiał się komendant. — Kamaszki toście sobie, doktorze, według numeru zamówili, a rewolucja z przeproszeniem robi się nie na waszą miarę. Możliwe, że gdzieś uciska..."* Ale w Szwambranii była także tęsknota do sprawiedliwości. Najlepsi z inteligencji rosyjskiej przechodzą do rewolucji. Ojciec Kassila powie po latach bratu: *„Nie chcę być tylko współtowarzyszem podróży komunistów. Chcę być marynarzem rewolucji i będę nim. Daję ci słowo, Ośka, jako bratu, jako komuniście, tak jak powiedziałbym Stiopce Atlantydzie..."*

Kassil traktuje swych dziecięcych bohaterów nie tylko jak dzieci, ale przede wszystkim jak ludzi. Książki jego przepełnia wiara, że ustrój socjalistyczny pozwala na wydobycie z każdego człowieka jego najpiękniejszych wartości. Przekonuje dzieci, że one same mogą wiele zdziałać w tym kierunku. Każdą z jego książek charakteryzuje ta sama tonacja głębokiego optymizmu, która rozbrzmiewa w zakończeniu „Moich drogich chłopców". *„Widzę, że wcale nie tak źle żyje się na świecie, i wierzę, że odwaga, wierność i praca na pewno zwyciężą, nawet gdy wiatr nie sprzyja i szaleje burza. Na niebie ukaże się tęcza. Tęcza jeszcze podniesie się, obejmie cały świat i wszystko będzie dobrze, będzie jak trzeba — moi drodzy chłopcy!"*

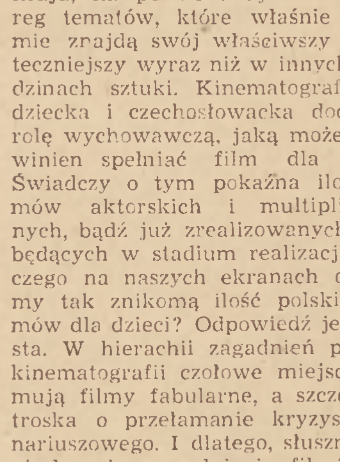
Hanna Kirchner

*) Lew Kassil — Dzieła wybrane t. I i II „Nasza Księgarnia" 1950.

JERZY NEL

Nie zapominajmy o filmach dla dzieci

Od czasu do czasu na łamach prasy ukazują się artykuły na temat jakiegoś planowego rozwiązania zagadnień realizacji filmów dla dzieci. Artykuły te jednak widocznie ukazują się zbyt rzadko, albo po prostu są za mało przekonywające, jeżeli nie wywołały dotychczas autorytatywnej wypowiedzi na ten temat czynników, kierujących polską kinematografią. Zagadnienie filmu dla dzieci nie jest rzeczą błahą. Nie będę tu przytaczał znanych już prawd o wielkim zasięgu oddziaływania filmu na masy, o wielkiej sile sugestywnej tego oddziaływania,



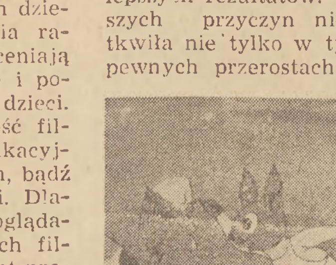
Scena z filmu rysunkowego „Zbuntowane zabawki" (w reżyserii Z. Lachura).

ale warto by zastanowić się nad jedną rzeczą. Dlaczego tak wielką wagę przywiązuje się i tak troskliwie myśli się o wydawnictwach dla dzieci, o teatrach dziecięcych, o audycjach radiowych, a prawie wcale nie myśli się o filmach dla dzieci? Dlaczego tak skromnie wyglądała u nas produkcja filmów rysunkowych i kukiełkowych, a wcale nie myśli się dotychczas o produkcji filmów aktorskich dla dzieci? W szerokim wachlarzu zagadnień, związanych z budową podstaw socjalizmu w naszym kraju, na pewno znajdzie się szereg tematów, które właśnie w filmie znajdą swój właściwszy i skuteczniejszy wyraz niż w innych dziedzinach sztuki. Kinematografia radziecka i czechosłowacka doceniają rolę wychowawczą, jaką może i powinien spełniać film dla dzieci. Świadczy o tym pokaźna ilość filmów aktorskich i multiplikacyjnych, bądź już zrealizowanych, bądź będących w stadium realizacji. Dlaczego na naszych ekranach oglądamy tak znikomą ilość polskich filmów dla dzieci? Odpowiedź jest prosta. W hierachii zagadnień polskiej kinematografii czołowe miejsce zajmują filmy fabularne, a szczególnie troska o przełamanie kryzysu scenariuszowego. I dlatego, słusznie czy niesłusznie, zagadnienia filmów dla dzieci zostały zepchnięte na boczny tor. Czy istotnie sytuacja w tej dziedzinie wygląda tak beznadziejnie? Tegoroczna produkcja filmów rysunkowych i kukiełkowych świadczy o tym, że aktyw twórczy filmów animowanych nie ma ochoty pozostać dłużej na bocznym torze.

Zanim jednak przejdziemy do omówienia produkcji tegorocznej i planów na przyszłość, warto by może pokrótce zaznajomić się z historią rozwoju filmu rysunkowego i kukiełkowego w Polsce Ludowej. Pierwsze próby realizacji filmu rysunkowego rozpoczęły się w Łodzi w 1946 — 47 roku. Próby te jednak były nieudolnym naśladownictwem filmów Disney'a i nie wyszły poza granice typowej amerykańskiej sztampy. W 1947 roku z inicjatywy Redakcji „Trybuny Robotniczej" w Katowicach powstał pierwszy 6-osobowy zespół rysunkowców pod kierownictwem Z. Lachura. Zespół ten*), stopniowo powiększany, początkowo w Katowicach, później w Wiśle, a wreszcie w Bielsku, gdzie osiadł na stałe, zrealizował mniej więcej do 1950 roku 5 filmów: „Czy to był sen", „Ich ścieżka", „Traktor A1", „Wilk i niedźwiadki" i „O nowe jutro".

Z tych pięciu pozycji tylko dwie ostatnie ukazały się na ekranie. Poziom trzech pierwszych filmów (scenariusz, realizacja, strona techniczna) przesądził o tym, że filmy te poszły do archiwum, że potraktowano je jako pierwsze nieudane próby początkującego zespołu rysunkowców. Nie umniejszając dobrej woli zespołu i pionierskich zasług grupy grafików-amatorów, nie należy zapominać, że byli to tylko niewyszkoleni amatorzy, pozbawieni całkowicie opieki artystycznej. Oczywiście, że musiało się to odbić na poziomie zrealizowanych filmów. Jeżeli chodzi o filmy kukiełkowe (realizowane w Łodzi), to możemy się pochwalić poważnym osiągnięciem artystycznym. Film reż. Z. Wasilewskiego „Za króla Krakusa" zyskał sobie zasłużone pochwały i odznaczenia, nie tylko w kraju, ale i za granicą. Następne filmy tego utalentowanego reżysera — jak np. „Lis i Bocian" — niestety nie wyszły poza granicę przeciętności. Również do filmów, nie stanowiących poważniejszego osiągnięcia artystycznego, należy zaliczyć pierwszy film nowego reżysera kukiełkowego — W. Haupego pt „Szklarczyk".

Na usprawiedliwienie realizatorów, zarówno filmów rysunkowych jak i kukiełkowych, należy podkreślić, że warunki, w jakich filmy były realizowane, pozostawiały pod względem technicznym tak wiele do życzenia, że trudno było spodziewać się lepszych rezultatów. Ale istota głębszych przyczyn nieudanych prób tkwiła nie tylko w tym. Tkwiła w pewnych przerostach ambicyjnych



Scena z filmu rysunkowego „Opowiedział dzięcioł sowie" (w reżyserii W. Nehrebeckiego)

realizatorów filmów animowanych. Tkwiła w tym, co dziś nazwalibyśmy „wszystkoizmem". Przez pewien okres realizatorzy uważali, że są powołani nie tylko do reżyserii, ale również do pisania scenariuszy, tekstów, do opracowywania projektów plastycznych—jednym słowem—do wszystkiego. Wiemy dobrze, że talenty wszechstronne pojawiają się rzadko. Można być dobrym reżyserem i miernym scenarzystą, lub świetnym plastykiem a słabym reżyserem. Czynniki kierownicze ówczesnego „Filmu Polskiego", po głębszym przeanalizowaniu dotychczasowych niepowodzeń, doszły do słusznego wniosku, że postawienie produkcji filmów animowanych na właściwym poziomie wymaga oparcia tej produkcji na czterech podstawowych elementach:

1) stworzenie odpowiednio wyposażonej bazy technicznej,

2) opracowanie dobrze przemyślanego planu tematycznego,

3) mobilizacja aktywu twórczego (literaci, plastycy, kompozytorzy),

4) szkolenie kadr.

Co w tym kierunku zrobiono?

Bazę techniczną, może nie najnowocześniejszą, ale dostatecznie wyposażoną, mają zespoły realizatorskie filmów rysunkowych w Bielsku. Jeżeli chodzi o realizatorów kukiełkowych, to dalej borykają się z brakiem odpowiednich pomieszczeń i sprzętu technicznego, nie tracąc nadziei, że i na tym odcinku nastąpi wreszcie jakaś poprawa.

Jeżeli chodzi o dobór tematyki filmu, kierowano się zasadą, że film powinien bawić, uczyć i wychowywać.

W realizowanych lub będących w stadium realizacji filmach poruszono zagadnienia walki z lenistwem i niedbalstwem w szkole, zagadnienia pracy kolektywnej, współzawodnictwa itp. Nie zapomniano również o tematyce baśniowej, opartej na wątkach ludowych. W opracowaniu literackim są scenariusze, których tematem będzie międzynarodowa solidarność wśród dzieci, ochrona przyrody i walka ze szkodnikami, zagadnienia spotru, wychowania fizycznego itp.

Niemniej jednak musimy samokrytycznie stwierdzić, że dobór poruszanych w scenariuszach zagadnień jest raczej kwestią przypadku, a nie przemyślanego planu tematycznego, w którym odpowiednio ustawiona jest hierachia zagadnień. Taki plan czeka na opracowanie. Na odcinku mobilizacji aktywu twórczego zrobiono dość poważne postępy. Poza stałą współpracą scenariopisarską Jana Brzechwy pozyskano do współpracy pokaźną ilość twórców. Między innymi w dziedzinie literatury: W. Grodzieńska, H. Januszewską, M. Kownacką, St. R. Dobrowolskiego, A. Rymkiewicza, w dziedzinie plastyki: Ha-gę, E. Lipińskiego, O. Siemaszkową, J. Srokowskiego, J. M. Szancera, w dziedzinie muzyki: A. Gradsteina, J. Klukowskiego, T. Kiesewettera, Zb. Turskiego, J. Wasowskiego i innych. Mobilizacja aktywu twórczego powinna jednak trwać nadal.

Rok 1952 i 1953 przyniosą nam pokaźną ilość filmów animowanych. Na ukończeniu są obecnie filmy rysunkowe: „O Heniu leniu" (reż. Z. Lachur), „Wspólny dom" (reż. P. Kubata), „Opowiedział dzięcioł sowie" (reż. W. Nehrebecki), „Zbuntowane rysunki" i „Wagary" (reż. Z. Lachur) i film kukiełkowy „Wawrzyńcowy sad" (reż. W. Haupe). W przygotowaniu lub w toku produkcji są średniometrażowe filmy kukiełkowe „Opowieść Michałkowicka" (reż. Z. Wasilewski) i „Baśń o Janosiku" (reż. W. Haupe) oraz krótkometrażowe rysunkowe „Przygody Gucia Pingwina" (reż. W. Nehrebecki) i „Historia o czyżykach" (reż. Z. Walzer). Wszystkie filmy realizowane są w kolorach.

Jak widać z powyższego omówienia, mimo całego szeregu trudności, tempo produkcji filmów multiplikacyjnych nie maleje, a stale wzrasta.

Nie jest to jednak rezultatem jakiejś planowej i przemyślanej akcji, zmierzającej do postawienia tego zagadnienia na właściwej płaszczyźnie. Tempo produkcji wzrasta jedynie dzięki zapałowi i uporowi realizatorów filmów animowanych, którzy nie zważając na przeszkody i trudności pracują naprawdę rzetelnie, wierząc, że kiedyś pracę ich potraktuje się poważniej. Ale dopóki C.U.K. nie podejdzie do tego zagadnienia poważniej, nie wyjdziemy poza granice improwizacji.

Nie ulega wątpliwości, że daleką jeszcze mamy drogę do poważniejszych osiągnięć artystycznych. Z pewnością w zrealizowanych filmach i scenarzyści, i plastycy, i realizatorzy dostrzegą cały szereg błędów, które popełnili.

Możemy jednak powiedzieć śmiało, że realizowane obecnie filmy, mimo takich czy innych błędów, są już lepsze od poprzednich, że poziomem swym przewyższają dotychczasowe nasze osiągnięcia w tej mierze. Jako wzór w dalszej pracy aktywu twórczego, powinniśmy sobie stawiać wysoki poziom ideowo-artystyczny radzieckich filmów rysunkowych i godną podziwu precyzję techniczną i reżyserską czechosłowackich filmów kukiełkowych.

Jerzy Nel



Scena z filmu kukiełkowego „Wawrzyńcowy sad" (w reż. W. Haupego)

*) Zespół produkcyjny filmów rysunkowych „Śląsk" — Spółdzielnia Pracy niedawno została rozwiązana. Zespół przeszedł pod opiekę Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi.

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI

Jan Wantuła z Ustronia

Kto odwiedził Jana Wantułę w jego chacie u stóp Czantorii, ten nigdy nie zapomni spotkania z miłośnikiem książek, sędziwym pisarzem, wywodzącym się w prostej linii z rodu wielkich, postępowych kronikarzy życia ludu polskiego.

W małej izdebce, otoczony szafami pełnymi ksiąg, siedzi na fotelu Jan Wantuła. W izbie unosi się zapach jabłek, które pisarz przechowuje na jednej z półek — i zapach starych druków, które zbierał od najmłodszych lat, głodząc się miesiącami, ażeby odłożone grosiki wzrosły do sumy, potrzebnej do nabycia jakiejś książki...

Kiedy rozmowa schodzi na temat książek — Jan Wantuła ożywia się, oczy jego lśnią jak u młodego chłopca... Klęka na ziemi przy pełnych szufladach, wspina się na półki, wsuwa dłoń do drugiego i trzeciego rzędu książek — i delikatnie, jakby dotykał włosów kochanej kobiety, a nie ksiąg oprawnych w grubą skórę — podaje tomy do obejrzenia... Zachęcony kilkoma uwagami dotyczącymi starych i rzadkich wydań—wydobywa jeszcze kilka „białych kruków", cenne „silesiaca"... Oprawy mają odcienie świadczące o ich kilkuwiekowym istnieniu, skóra na niektórych książkach spękana jest jak twarz stuletniego starca, matowym nikłym blaskiem połyskują okucia i klamry spinające chropawe, pełne dostojeństwa okładki, tłoczone przez przednich mistrzów zaniedbanej już dzisiaj sztuki introligatorskiej — ale, jak stwierdzamy w rozmowie, oczekującej chyba pięknego odrodzenia przyszłości, kiedy świat uwolnimy od zmory wojen...

Ostatnia wojna zagroziła Wantule zniszczeniem jego biblioteki. Otrzymał od hitlerowskiego kacyka i przedniego durnia polecenie, żeby dostarczył swój księgozbiór na... przemiał. Z narażeniem własnego życia ocalił bibliotekę i własny żywot, do którego hitlerowcy mieli wiele zastrzeżeń. Uchodził bowiem za buntownika, znany był szeroko jako obrońca polskości, opowiadał chłopom o Miczurinie, walczył z ciemnotą od dziesiątków lat. Nawet „już na ławie szkolnej — pisał Wantuła — zwalczałem wśród współuczniów błędne, propagowane przez renegackie pisma poglądy, że Ślązacy to nie Polacy, ale odrębna „rasa", nic z Polską nie mająca wspólnego..."

To nie przypadek, ale fakt mający wymowę wielkiego symbolu, że w posiadaniu Jana Wantuły, pisarza wyrosłego z ludu i żyjącego dla sprawy ludu, znajduje się jeden z dwu zachowanych do dzisiaj egzempiarzy „Postylli" Mikołaja Reja, tłoczonej piękną czcionką w Krakowie w 1565 roku u słynnego drukarza owych czasów, Macieja Wierzbięty...

To nie przypadek, ale oznaka silnego związku z życiem narodu, że ten bibliofil rozmiłowany w starożytnych drukach i rękopisach zawsze żył tym, co go otaczało, sprawami bieżących dni... W 1905 roku opowiadał się po stronie rewolucjonistów, powołując się na przykład walki ludu rosyjskiego... Kiedy Gustaw Morcinek przywiózł mu pachnący jeszcze farbą egzemplarz „Pokładu Joanny" — nim prasa zabrała głos w sprawie tej książki — Jan Wantuła powiedział: „Morcinek napisał najlepszą swoją książkę. Nie oglądał górników z gabinetu, nie patrzył na nich z ambony — ale patrzył w tej książce razem z ludem na jego walkę z wyzyskiem kapitalistycznym".

To nie zbieg okoliczności — ale świadome dążenie, że z naszej przeszłości wygrzebuje Wantuła postacie wielkich rewolucjonistów, że nikt inny, ale właśnie on, udostępnił historykom postać Pawła Oszeldy, bojownika o wolność z 1848 roku...

Siedzi sędziwy Wantuła w głębokim fotelu, otoczony przeszło dwutysięcznym zbiorem książek, patrzy przez okno na niknącą w mroku Czantorię, mruży mądre oczy i wspomina trudne, bogate i szlachetne życie...

W archiwum WRN w Katowicach znajduje się własnoręcznie pisany życiorys Jana Wantuły, który w 1949 roku przedrukował w skrócie „Przegląd Zachodni" (Nr 1/2). Z szacunkiem należnym temu życiu, skreślmy go pokrótce:

Urodził się w Ustroniu, 20 października 1877 roku. Pradziadowie i dziadowie zajmowali się tkactwem i rolnictwem.

W siódmym roku życia, kiedy oddano go do szkoły, umiał już trochę czytać i pisać, bo „matka, przędząc wełnę na kołowrotku, nauczyła na starym „ślabikarzu" czytać..." Od dziecka rozczytywał się w starych kalendarzach, w biblii, w śpiewnikach, przeczytał w dwunastym roku życia „Wieczory pod Lipą" Siemieńskiego... Mimo tego, że przerywał naukę, pracując w polu lub pasąc krowy, w zimie doganiał w nauce innych, osiągał najlepsze wyniki.

Interesował się głównie przyrodą i historią, z braku środków na dalszą naukę postanowił, że sam zdobędzie wiedzę... Rodzina bieduje. Wantuła rozpoczyna pracę w ustrońskiej hucie, uczy się maszynowego ślusarstwa, pracuje do szesnastu godzin na dobę. Mimo tak ciężkich warunków pilnie czyta, przeprowadza zbiórki pieniężne na zakup książek, organizuje robotniczy Związek Młodzieży Polskiej „z myślą, by się kształcić przez wykłady, odczyty i przez książki z założonej biblioteki Stowarzyszenia. Biblioteka ta urosła do wybuchu drugiej wojny — za 41 lat — do okrągło trzech tysięcy tomów. Niestety okupant niemiecki tę bibliotekę z tak cennym księgozbiorem zniszczył".

Wygłasza odczyty, popularyzuje osiągnięcia wiedzy, pisze korespondencje do pism śląskich; redakcje drukują jego prace bez żadnych zmian, proszą o następne — i nie płacą ani grosza... „W ciągu życia, za napisanie przeszło 360 dłuższych artykułów, rozmów, felietonów, raz jeden (1935) otrzymałem coś 15 złotych, a w roku 1908 Andrzej Niemo-



Jan Wantuła

jewski, redaktor „Myśli Niepodległej", obniżył mi prenumeratę o rubli pięć..."

Wantuła poznaje Marię Wysłouchową, przyrodnika Benedykta Dybowskiego, redaktora Stapińskiego, Niemojewskiego, Radlińskiego, Reymonta, Abramowskiego, gości u siebie Jana Hempla, przyjaźni się z Julianem Ochorowiczem, otrzymuje od Prusa „Lalkę" z własnoręczną dedykacją.

Po śmierci ojca, w roku 1901, Jan Wantuła, jako najstarszy z synów, przejmuje czterohektarową ojcowiznę. Spłaca przez wiele lat długi i działy dla licznego rodzeństwa, pracuje z żoną od świtu do nocy, starannie dba o pasiekę, z której całkowity dochód przeznaczył na zakup książek i czasopism. Obierają go sekretarzem w Spółce Drenarskiej i w organizacji zawodowej Związku Metalowców w Ustroniu. W roku 1910 przeniesiono Wantułę do huty żelaza w Trzyńcu; pracował tam piętnaście lat. W 1925 roku wraca do Ustronia. Nie zważając na trudności i szykany czynione mu ze strony władz ani na kłopoty materialne, odwiedza chłopów, zbiera ich, wygłasza odczyty o nowoczesnej uprawie roli, o sadownictwie, o przeszłości historycznej Śląska. Pożycza książki w okresie okupacji, mimo surowego zakazu; wiele książek ginie. Wantuła jeszcze dzisiaj zżyma się, kiedy mówi o nieuczciwości pewnych czytelników. Nigdy książek nikomu nie skąpił, w roku 1947 ofiarował ze swojej biblioteki 350 książek gminie, żeby dać zaczątek dla powstania nowej biblioteki w Ustroniu. Pisze w swoim życiorysie Jan Wantuła: „Żywię nadzieję, że tak jak dożyłem Polski Ludowej, której włodarze pragną podnieść chłopa i robotnika na wyższy, coraz wyższy poziom dobrobytu i kultury — dożyję czasu, gdy w każdej wsi polskiej można będzie dostać do czytania wszelkie wartościowe dzieło polskiej literatury i celniejsze utwory piśmiennictwa świata".

Jan Wantuła, wzorem wielkich pisarzy wyrosłych z ludu, wzorem starych kronikarzy śląskich — jest również moralistą. „...Od dwudziestego roku życia zwalczałem słowem i przykładem pijaństwo, alkoholizm. Napisałem na ten temat wiele rozpraw i niezliczone toczyłem dyskusje z ludźmi trzeźwymi i pijakami. Jakżebym się cieszył, gdyby młodzież, zamiast flaszki „czystej" i „zakrapianej", brała w ręce książkę, gazetę. Niestety, dziś za dużo się w Polsce pije. Pijak i bez charakteru obywatel nie odbuduje Polski. Starsi muszą młodzieży świecić przykładem".

Proza Wantuły wywodzi swój rodowód z pięknej starej polszczyzny, z czystych źródeł piśmiennictwa ludowego. Język bogaty, giętki, szlachetny, składnia przypomni niekiedy jakiś zwrot, użyty przez Mikołaja Reja czy Jana z Czarnolasu, wielkich i ukochanych wzorów Jana Wantuły.

„Pracować pilnie, oszczędzać, by urządzić życie własne i drugich na wyższą stopę; szczęście własne widzieć w szczęściu powszechnym i dążyć do upowszechnienia szczęścia i dobrobytu — to cel życia. Takiego życia — dla drugich, nie tylko dla siebie, nauczy dobra książka".

O Janie Wantule pisali już literaci ze środowiska śląskiego. Gustaw Morcinek w ostatnich „Zeszytach wrocławskich" poświęcił mu wzruszające wspomnienie, W. Szewczyk w „Dzienniku Zachodnim" pisał: „Historyków regionalnych było w Polsce wielu, Jan Wantuła jednak pod wielu względami różni się od nich wszystkich. Jego wiedza jest rozleglejsza, jego spojrzenie na poszczególne etapy dziejów nowocześniejsze, jego kontakt z nauką i literaturą ściślejszy".

Warto by sporządzić bibliografię prac Jana Wantuły, zebrać je ze starych pism i kalendarzy, z „Odry", „Zarania Śląskiego", „Zeszytów wrocławskich", z „Silva Rerum"... Warto by zebrać je, uporządkować — i zająć się wydaniem tych prac, jedynych w swoim rodzaju i bezcennych dla badania naszej przeszłości, pisanych w wielu wypadkach na podstawie relacji ustnych, zbieranych przez Wantułę od ludzi, którzy od dziesiątków lat już nie żyją. Tak właśnie powstała jego praca o rewolucjoniście Oszeldzie.

Nie od rzeczy byłoby podanie jeszcze trzech faktów: że Jan Wantuła razem z młodymi pisarzami bierze udział w konkursie wojewódzkim na pracę historyczno-publicystyczną, że syn jego jest instruktorem rolnym, że Związek Literatów Polskich przyjął Jana Wantułę w poczet swoich członków.

Jan Wantuła, otoczony szacunkiem przez społeczeństwo, ceniony wielce tak przez pisarzy i historyków, jak i przez lud, dla którego żył i pracował — jest obecnie najstarszym pisarzem ziemi śląskiej.

Jan Wantuła mruży oczy, częstuje serdecznie pachnącymi jabłkami — i marzy głośno: „Gdyby mi było danym jeszcze raz przeżyć okres od 1897 do dziś, jeszcze bym się bardziej przykładał do pracy, do życia osobiście skromnego... a starał się jeszcze więcej pracować społecznie dla powszechnego dobrobytu, do podniesienia kulturalno-oświatowego..."

Korzystajmy z doświadczenia Jana Wantuły, uczmy się od niego tej tak prostej i mądrej prawdy o życiu.

Andrzej Wydrzyński

SPOTKANIE W DUKLI

(Dokończenie ze str 2-ej)

— Co?

— Ja, zdaje się... — i znów się zaciął. Majkę to ostatecznie wyprowadziło z równowagi. Zerwał się z krzesła i otworzył usta, ale w tej właśnie chwili stary figurant przywołał skądś resztki odwagi i nabrawszy powietrza w płuca desperacko wyrecytował:

— Ja, zdaje się, obliczyłem prawidłowy kierunek dukli.

— Pan?! — zawołał Majka i zawarł w tym okrzyku i kilkudniową rozpacz, i zdziwienie, że zwykły figurant, taki, co to tyczki mierniczym podaje — mógł obliczyć właściwy kierunek, i złość, że mu przeszkadzają, i — odrobinę otuchy — Pan...? — powtórzył.

— Ja.

Zawiadowca wyjął mu z dłoni rysunki. Zaczął przeglądać. Przy drugim wykresie usiadł na powrót za biurkiem. Przy trzecim zaczął dokładnie sprawdzać. Mruknął: „że też to nikomu do głowy nie przyszło". Potem zadzwonił po Hoffmanna. Wybiegli z tym we dwójkę do Świeżego. Po godzinie wezwano tam Żurka. Świeży powiedział: „Obejmiecie kierownictwo nad przebiciem dukli. Mamy projekt". Żurek pochylił się przez ramię dyrektora nad papierami i na wykresie, w górnym prawym rogu zobaczył skromnie wypisane: opr. K. Hieromin. Popatrzył na Hoffmanna i Majkę: czy nie żartują? Potem wykrzyknął:

— Kto to opracował? Hieromin? Ten figurant?!

A Hieromin, gdy go o to później pytano, drapał się żółtymi od nikotyny palcami po skroni i mruczał: „ot — udało się. Tyle lat napatrzył się człowiek na pomiary..."

NA DUKLI

Duklę przebijali już dwa tygodnie. Jamrozy, który już był sztygarem zmianowym, dobierał osobiście ludzi. Sprawdzał dokładnie: robiliście kiedy w kamieniu? Nie — to nie ma o czym dalej rozmawiać. „Tu trzeba fachmanów — kamieniarzy". Imiełowski zgłosił się sam. Mówił: „mam dług". Sądzono, że zamyśla tu sobie tyle zarobić, aby długi popłacić, ale Imiełowski zaraz wyjaśniał: „Mam dług wobec kopalni". Dostał od kopalni nowe mieszkanie w Nowych Tychach. Piękne, dwupokojowe z łazienką, z centralnym. Teraz chce się partii odwdzięczyć. Razem z nim na zmianie wiertali Rydz i Kućmiński.

Odtąd patrzyła na nich cała kopalnia. W ich rękach, bez przesady, leżał teraz czyn lipcowy „Wesołej-2".

...Pierwszego dnia ujechali pół metra. Imiełowski dostał bąbli na dłoniach. Świder warczał jak zły pies i drżał mu w rękach odskakując od kamienia. Otwór trzeba tu było wiercić z godzinę. Do jednego odstrzału trzeba było takich otworów osiem. Na swojej zmianie zdołali tylko wywiercić. Strzelać już nie było czasu. Zostawiali otwory następnym.

Przychodził Henryk Kudla i z miejsca zaczynał od przeklinania: otwory były — ale zupełnie zamulone przez wodę.

Po każdym odstrzale stawiali prowizoryczną obudowę: trzy tęgie belki.

Kamień trzeszczał nad głową, a przez szpary strumieniami ściekała woda. Nie pomagały galoty: woda dostawała się za kołnierz, do butów, karbidki gasły co chwila: znikał płomyk i palnik syczał tylko jakby odsapywał po wysiłku. Na domiar złego po każdym odstrzale obudowa trzaskała jakby była z zapałek; zwały kamieni przygniatały belki, a potem znów wszystko zalewała woda. Sypał się żwir i chlupotał w wodzie.

Dukla przejmowała grozą. Już nie samym wyglądem. Ale może wiercą w złym kierunku, może był uskok, może jednak Hieromin źle obliczył — i wtedy... Wtedy wszystko na nic.

Pod koniec czerwca Jamrozy, Bania i Kudla obeszli znów duklę. Znów spróbowali.

Imiełowski, który zjeżdżał 5-go lipca na dół, dowiedział się, że „ich" dukla ma już prawie dwadzieścia metrów. Według planów powinni już wkrótce natknąć się na Jamrozego i Kudlę. Nie bardzo wierzył, bo przed trzema tygodniami mierniczy mówili im, że zostało do zbicia tylko sześć metrów. A od tego czasu ujechali osiem. Głupi, chcieli ich zachęcić do wytrwania!

Rydz sprawdził drabiny. „W porządku — powiedział — można wchodzić". Zabrali młotki i świder. Imiełowski poszedł pierwszy. Lazł szczebel po szczeblu, Kućmiński poganiał go z dołu, bo mu Imiełowski strącał obcasem hełm opięty żółtą galotą.

Zaczęli wiercić. Po kilkunastu minutach Imiełowski wyłączył świder i przytknął głowę do ściany. Kamień trzaskał po swojemu i cichutko chlupotała woda. Rozwiązał galotę i odsłonił ucho. Tak, teraz słyszał wyraźniej: tam, w kamieniu coś stukało. To nie był trzask, ale warczenie. Kiedy odwrócił się i spojrzał w dół na Rydza twarz miał całą zamuloną, jak topielec. Otarł wierzchem dłoni usta i powiedział: „Zdaje się, że już tam są". Kto? — Rydz zadarł głowę do góry i przymrużył oczy.

— Jamrozy.

Posłali Kućmińskiego, aby zawiadomił o tym sztygara. Sztygar wyjechał i pobiegł do Majki. Majka przywołał mierniczych. Prawdopodobnie zgadzało się. Powinno nastąpić spotkanie.

Była 9-ta rano.

Kiedy Kućmiński wrócił na duklę, zobaczył, jak Imiełowski krzyczy coś do otworu. Zwariował? Chciał coś powiedzieć, ale Rydz stojący powyżej na drabinie zamachał niecierpliwie nogą tuż przed samym jego nosem. Imiełowski darł się:

— Jest tam kto?!

I natychmiast przystawiał ucho do otworu. Nagle odwrócił się i i Rydz z Kućmińskim zobaczyli, że Imiełowski śmieje się. Śmieje się jak dziecko. Krzyknął tylko „O, rany!", ale Rydz odepchnął go i sam przylgnął okiem do otworu. Gdzieś daleko zamigotało tam blade światełko.

To świeciła karbidka Karola Jamrozego. Wwiercili się w jego otwór! Po raz ostatni na dukli Imiełowski dał rozkaz: strzelamy!

JEDNAK RUSZYŁA

Na ścianie ustawiono wrębiarkę i wmontowano transporter zgrzebłowy. Apryas nawet nie ubierał nakolanników. Podpierał się rękami i przydreptał aż do wrębiarki. Wysuwała swój chropowaty, kolczasty jęzor i krajała ścianę. Ściana była niewysoka, ale warstwy węgla układały się na niej równo: wyglądała jak czarny, błyszczący tort.

To właśnie była ściana, która 22 lipca 1952 roku dała pierwszy węgiel. To właśnie była ściana, o której uruchomienie bohatersko walczyli na dukli Imiełowski z Rydzem, Kućmińskim, Ślusarczykiem, Jamrozym, Kudlą i Żurkiem.

* * *

Byłem już wtedy w Warszawie. To był 22 lipca i kończył się Zlot Młodych Przodowników. Adam Hoffmann zgodnie z naszą umową zjawił się u mnie. Młodzież Wesołej wybrała go na swego delegata, wiedziałem więc, że do Warszawy przyjedzie. Nie byłem tylko pewny, czy wpadnie do mnie. Przyszedł.

— Czytaliście — powiedział zaraz na wstępie wymachując gazetą — czytaliście? Piszą o Wesołej. Więc jednak ruszyła!

„Jednak" ruszyła — powiada. Przecież przed wyjazdem sam był na tej ścianie, sam uzgadniał z Apryasem ostatnie przygotowania, sam widział, jak robiono próby eksploatowania tej ściany. Wydało się, że mówi „jednak" jakby sam w to przedtem nie wierzył.

Tak oczywiście nie było. Mówił „jednak", bo nie wszyscy wierzyli. Bo rzeczywiście trudno w to było uwierzyć: aby tak w pięć lat wybudować kopalnię.

Jerzy Janicki

Z TYGODNIA

Z KRAJU

UROCZYSTOŚĆ WRĘCZENIA ODZNACZEŃ PAŃSTWOWYCH

zasłużonym artystom, pedagogom i działaczom kultury odbyła się 26 VII. w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Odznaczenia te zostały nadane przez Prezydenta R.P. na wniosek ministra Kultury i Sztuki z okazji uchwalenia Konstytucji w dniu Święta Narodowego 22 lipca. Po przemówieniu min. Dybowskiego głos zabrał Gustaw Morcinek, który w imieniu odznaczonych wyraził wdzięczność Państwu Ludowemu za dowody uznania dla ich pracy.

Oznaczenia otrzymali m. inn.:

KRZYŻ KOMANDORSKI ORDERU ODRODZENIA POLSKI (pośmiertnie) Tadeusz Breyer—art. rzeźbiarz.

SZTANDAR PRACY II KLASY: Kazimierz Dejmek — reżyser, Zdzisław Kępiński — historyk sztuki, Gustaw Morcinek — literat, Jerzy Putrament — literat.

KRZYŻ OFICERSKI ORDERU ODRODZENIA POLSKI: Erwin Axer — reżyser, Kazimierz Brandys — literat, Tadeusz Białoszczyński — aktor, Gustaw Buszyński — aktor, Seweryna Broniszówna — aktorka, Tadeusz Cieślewski — grafik, Eugeniusz Eibisch — art. malarz, Irena Eichlerówna — aktorka, Zofia Jaroszewska — aktorka, Leokadia Leszczyńska-Pancewicz — aktorka, Edmund Osmańczyk — publicysta, Bolesław Rosłan — aktor, Antoni Słonimski — literat, Tadeusz Szeligowski — kompozytor, Karol Urbanowicz — artysta opery, Leon Wójcikowski — choreograf, Bolesław Woytowicz — kompozytor, Stanisław Wiechowicz — kompozytor, Kazimierz Wyka — profesor.

KRZYŻ KAWALERSKI ORDERU ODRODZENIA POLSKI: Stefan Belina-Skupiewski — artysta opery, Wiktor Bregy — reżyser operowy, Hewel Buzgan — aktor, Zdzisław Górzyński — dyrygent, Alfons Karny — art. rzeźbiarz, Janusz Warmiński — reżyser, Zofia Lissa — muzykolog, Tadeusz Ochlewski — muzykolog, Kazimierz Malinowski — historyk sztuki, Janina Romanówna — aktorka, Stanisław Teisseyre — art. malarz, Stefan Wiechecki (Wiech) — literat, Maria Wiłkomirska — pianistka, Jacek Woszczerowicz — aktor, Marian Wyrzykowski — aktor.

Poza tym przyznanych zostało około 200 Złotych, Srebrnych i Brązowych Krzyżów Zasługi.

NAZIM HIKMET WŚRÓD ROBOTNIKÓW URSUSA.

Załoga Zakładów Mechanicznych „Ursus" gościła u siebie wielkiego tureckiego poetę, rewolucjonistę — Nazima Hikmeta, który w towarzystwie naszego poety Broniewskiego odwiedził robotników „Ursusa".

W serdecznej rozmowie jaka wywiązała się między gościem a robotnikami „Ursusa" Nazim Hikmet przedstawił wyzysk klasy robotniczej, jaki panuje obecnie w Turcji. Robotnicy „Ursusa" usłyszeli o tym, że w Turcji zatrudnia się dzieci od lat 10, że praca kobiet jest opłacana o połowę gorzej niż praca mężczyzn, że 4 miliony robotników Turcji mieszka jedynie w piwnicach i suterynach.

Około 300 osób uczestniczących w spotkaniu z Nazimem Hikmetem wysłuchało następnie wiersza deklamowanego przez autora w języku tureckim, oraz wiersza o komunistycznej Partii Turcji — przetłumaczonego na język polski i deklamowanego przez Władysława Broniewskiego.

Nazim Hikmet odwiedził również fabryczny radiowęzeł i redakcję zakładową gazetki „Głos Ursusa".

ZA GRANICĄ

NAGRODY DYMITROWSKIE W DZIEDZINIE LITERATURY

zostały przyznane za r. 1951 następującym pisarzom bułgarskim: w dziale beletrystyki Nagrodę I stopnia otrzymał Dymitr Dymow za powieść pt. „Tytoń" Nagrodę II stopnia: Emil Korałow—za powieść „Szkoła śmiałych" i „Wrześniowcy" („Septemwryjcy"); Peter Sławiński — za powieść pt. „Ostatni szturm".

W dziale poezji otrzymali nagrody II stopnia: Bogomił Rajnow—za zbiór wierszy pt. „Wiersze o pięciolatce"; Zalu Marinow - Zamar — za zbiór wierszy pt. „Poranek nad ojczyzną" oraz za zbiór wierszy pt. „Lata budowy". III stopnia: Dymitr Metodiew — za powieść pt. „Dymitrowskie plemię". Iwan Milczew — za poemaly pt. „Żniwny pochód" i „Bojownicy".

Z OKAZJI 50-LECIA URODZIN JAROSŁAWA GAŁANA

przypadających 27 VII w fabrykach, instytucjach i klubach Lwowa i obwodu lwowskiego zostały zorganizowane wykłady o życiu i twórczości wielkiego ukraińskiego pisarza-bolszewika, który zginął na bojowym posterunku. Wiele amatorskich zespołów wystawiło sztukę Gałana pt. „Pod złotymi osłami" Instytut Nauk Społecznych Akademii Nauk USRR wraz z lwowskimi krytykami literatury przeprowadził konferencję naukową, poświęconą jego życiu i twórczości.

ZBIÓR DZIEŁ WYBRANYCH JULIUSZA SŁOWACKIEGO

ukazał się w przekładzie na język rosyjski nakładem Państwowego Wydawnictwa Literatury Pięknej ZSRR



„RÓWNOUPRAWNIENIE"
(„Manchester Guardian")

„Przeprowadza się obecnie urządzenia, które umożliwią wydanie zezwolenia dla pań na zwiedzanie zajezdni wagonów i lokomotyw".

ZADOWOLONA
(„News Review")

Heddy Lammar, gwiazda filmowa z Hollywood, po uzyskaniu w ubiegłym tygodniu po raz czwarty rozwodu, powiedziała reporterowi: „Wychodziłam zamąż za każdego mężczyznę, w którym się zakochałam. Miłość jest rzeczą wspaniałą. Tak samo mężczyźni".

POSKROMIENIE BESTII
(„Amateur Photographer")

Gdy tylko zobaczę fotografię kobiecego aktu, natychmiast nakładam ciemne okulary. Zaobserwowałem, że pomaga mi to poskromić bestię w sobie.

(Z listu do redakcji)

KOCIOŁ GARNKOWI
(„Washington Post")

Widoczny jest już bliski koniec amerykańskiej komedii; w ogóle teatr amerykański schodzi na psy: a podziękować za to możemy zgrai, zwanej Senatem Stanów Zjednoczonych".

(Z artykułu James Thurber, dramaturga amerykańskiego).

(g. bil.)

NIEDYSKRECJA

Na łamy amerykańskiego tygodnika „Newsweek" z dnia 30 czerwca br. wkradła się pewnego rodzaju niedyskrecja. Tygodnik ten stwierdza mianowicie, iż jednym z czołowych naukowców USA, kierujących „wynalazczą" pracą w dziedzinie broni atomowej, jest „niejaki" Wernher von Braun, który był też wynalazcą osławionej hitlerowskiej V 2.

Jak widać producenci śmierci mają zawsze pełne ręce roboty, póki istnieje imperializm. A tu ktoś śmie mówić, że w Ameryce jest bezrobocie.

(a. m.)

WYZWOLICIEL MALAJÓW
(„Daily Worker")

Brytyjski Komisarz Generalny na Południowo-Wschodnią Azję, Malcolm MacDonald, wywołał oburzenie wśród burżuazji w Singapore. Dlaczego? Czy może spróbował wprowadzić sprawiedliwsze traktowanie Malajczyków? Nie. Może zażądał zakończenia wojny na Malajach? Nie. Pan MacDonald przybył na koncert w Singapore w wieczornym ubraniu, lecz — bez smokinga. Wówczas wśród miejscowej kolonii brytyjskiej, bardziej poruszonej tym zajściem aniżeli jakimikolwiek działaniami wojennymi przeciw Malajczykom, dały się słyszeć głosy potępienia. Nazwano Komisarza „nieprzyzwoitym". Pan MacDonald pośpiesznie napisał list do „Straits Times" tłumacząc, że „najwybitniejsi mężowie stanu i najbłękitniejsza arystokracja" Imperium przestała nosić smokingi. Pan MacDonald pragnie, aby Malaje również wyzwoliły się spod tyranii smokinga!

(g. bil.)

„ENERGIA ATOMOWA W USA NA UŻYTEK CYWILNEJ LUDNOŚCI

Oczywiście, w Stanach Zjednoczonych. W dodatku, w kilku dziedzinach jednocześnie. „Z zakładów energii atomowej nadchodzą najważniejsze wiadomości o papierosach naszej epoki" — oto tytuł całostronicowego ogłoszenia fabryki papierosów „Kent". W „New York Herald Tribune" z 26 marca „Poszukiwania idealnego filtru zaprowadziły do zakładów atomowych", gdzie specjalnie dobrana grupa „naukowców" po „20 miesiącach badań" zastosowała do papierosów „Kent" filtr, używany do... bomby atomowej, przeczyszczający radioaktywne powietrze... „Nie zastanawiaj się, a... zaczniesz palić „Kent".

Jak widzimy, nie gardzi się tu żadnym sposobem przyzwyczajania ludności cywilnej do słowa „atom".

Możliwe są także inne formy wykorzystania atmosfery, wywołanej bombą atomową. Durant Taylor Company, 93 Worth Street, N. Y. trudniąca się pośrednictwem w kupnie i sprzedaży posiadłości jest generalnym agentem amerykańskiego koncernu o wszystko mówiącej nazwie: „Iron Mountain Atomic Storage Corporation" — Korporacja Żelaznej Góry Magazynów Przeciw-Atomowych. Koncern ten trudni się wydzierżawianiem głębokich, podziemnych schronów w swoich dawno już unieruchomionych kopalniach, przylegających do podziemnych jaskiń pomiędzy rzeką Hudson a odległą dzielnicą Germatown w Nowym Yorku. „Prezydent" tego amerykańsko-pomysłowego koncernu zainwestował już milion dolarów w przerobieniu kopalni i jaskiń na schrony. Pomysłowy pan, żerujący na strachu, pobudował wiele schronów, od 250 do ponad 12 tysięcy stóp powierzchni każdy, mogących pomieścić biura i magazyny. Między swoimi lokatorami liczy już takich, jak: koncern „General Electric", którego prezes, Mister Wilson, był do niedawna szefem wojennej mobilizacji przemysłowej Stanów Zjednoczonych.

Oczywiście, prezes koncernu schronów atomowych, mister Knauts, oraz jego generalny agent Durant Taylor Company, chwalą sobie bardzo erę atomową, która tak bardzo nadaje się do nowych businessowych trików.

j. g-n.

MAGDALENA SAMOZWANIEC

„RÓJ“ I ROJE...

Stoję wraz z innymi przed kasą niezawodnej i solidnej Spółdzielni „Czytelnik“ trzymam podpisany czek w ręce i wiem na pewno, że za chwilę wpłynie do mojej torebki wypisana na nim suma. — Słowo „na pewno“ jest zwykle bardzo niepewne — „Jutro na pewno będzie piękna pogoda“ — mówi się spoglądając na wyiskrzone gwiazdami niebo, i nazajutrz leje od rana — „Przyjadę jutro na pewno o godzinie jedenastej z minutami do Krakowa!“ — brzmi telegram i.. przyjeżdża się po godzinie dwunastej... „Dzisiaj to już na pewno będę na kolacji w domu, przygotuj coś dobrego“ — powiada niejeden mąż i.. wraca do domu nad ranem. Jedna rzecz jest tylko najzupełniej pewna a mianowicie, że w czwartek między godziną 12 — a 14-ą, po załatwieniu wszystkich poprzednich formalności, Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik“ wypłaci autorowi lub tłumaczowi umówione honorarium.

A teraz przenieśmy się na chwilę o dwadzieścia lat wstecz i podążajmy krok w krok za pewną znaną już ale młodą jeszcze satyryczką polską, która z maszynopisem pod pachą zdąża raźnym krokiem przez ulicę Mazowiecką do znanej wówczas i ruchliwej firmy wydawniczej „RÓJ“. W pierwszym pokoju aż po sufit zapchanym książkami i makulaturą siedzi młoda i przystojna pani z czarnymi oczami lekko postrzelonej gazeli.

— Czy pan Marian jest u siebie w biurze?

— Jest... ale nie radzę pani do niego iść.

— Dlaczego? Byłam do niego zamówiona dzisiaj na godzinę dwunastą...

— Ma ciężkie przejścia z literatami... Jedna zwariowana początkująca pisarka chce za swoją powieść „Dziewczęta z Nowolipek“ pięć tysięcy honorarium ryczałtem!

— Wiem, odcinki tej powieści drukowane były w „Bluszczu“, to znakomita powieść...

— Ale pięć tysięcy! Pani wie co to jest pięć tysięcy, za pięć tysięcy Marianek chętnie by sprzedał całe swoje wydawnictwo. — Teraz znów zawraca mu głowę pewien młody poeta...

Zza niedomkniętych drzwi dochodzi podniesiony głos wydawcy:

— Kto panu kazał dzisiaj przychodzić! —

Kobieta z oczami postrzelonej gazeli wzdycha. — Czego oni wszyscy od nas chcą. Pieniędzy? A skąd my mamy te pieniądze brać. Z książek?... uśmiecha się ironicznie. — Czy mamy u siebie bank? Dzisiaj był u nas komornik. — Ja zawsze mówię do Mariana: Zlikwiduj to wszystko, po co mamy się tak męczyć? A wszystko dla drugich, nic dla siebie. Marian ma takie czułe serce, że nikomu nie jest w stanie niczego odmówić.

— Biedny pan Marian, ale ja i tak do niego pójdę..

— Proszę, niech pani spróbuje, ale on jest dzisiaj bardzo zdenerwowany...— Przy biurku wśród stosów rękopisów i odbitek szczotkowych siedzi tak dobrze znany wszystkim pisarzom Marian Kister.

— Przyniosłam panu tak jak obiecałam zbiór moich felietonów do książkowego wydania.

Mnóstwo ironicznych iskierek pojawia się w jasnych oczach wydawcy.

— Pani Magdalenko, kochana, miła pani Magdalenko — mówi — pani jest młodą, przystojną kobietą... czy pani nie mogłaby inaczej zarabiać...?

— Dam mu w pysk! — przelatuje satyryczce przez myśl, ale ta myśl uchyla się przed inną, która formułuje się w słowach: „Nie dam mu w pysk, bo wówczas nie wyda mi książki“.

— Żarty na bok, kochany panie Marianku — mówi opanowawszy się. — Ten zbiorek będzie nosił sensacyjny tytuł „Świadome Ojcostwo“, — Dobre, co? i takie na czasie..

— Tytuł niezły.. odpowiada Kister. — Ale wy mnie wszyscy zamęczycie — wybucha nagle. — Ja nie chcę już książek, ja nie potrzebuję książek. — Ja przez was zwariuję! Ile pani chce za ten tomik?

— Tysiąc złotych ryczałtem.

— Ej figlarka, figlarka — rechocze Marianek aż mu się brzuszek trzęsie. Prawdziwa humorystka. Mogę zapłacić pięćset. Zresztą, niech pani przyjdzie jutro i porozmawia z żoną. Wy baby lepiej się dogadacie.

— Mąż pani kazał mi przyjść dzisiaj, aby umówić się z panią w sprawie ryczałtu za mój nowy zbiór felietonów — mówi nazajutrz satyryczka. Pani Kisterowa jest o wiele smutniejsza niż poprzedniego dnia. Oczy gazeli są jak gdyby wilgotne od łez. — Czy pani wie — szepcze — że mojego męża szantażuje jakaś wstrętna baba. Oddała sprawę do adwokata.. Będę musiała sprzedać resztkę moich rzeczy.. złoty zegarek... Czy pani wie — dodaje po chwili — czy pani już słyszała, że Marianek mnie zdradza...

— Eee, to pewnie nieprawda.

— Prawda... z oczu ślicznej pani zaczynają kapać łzy. — Powinnam się leczyć — mówi po chwili artystycznej pauzy. — Płuca i serce. — Ale skąd wziąć na kurację pieniędzy?

Satyryczka ma czułe serce i... dobrze zarabiającego ojca. — Zgadza się na jakąś śmiesznie niską sumę za dziesięcioarkuszowy tomik.

— Pojutrze otrzyma pani połowę ryczałtem — mówi już pogodniejszym tonem żona wydawcy — a resztę wyciągnie pani sobie z księgarń, które nam są winne za książki. Trudno, nie możemy inaczej... jesteśmy w przededniu ruiny..

Wyciąganie reszty honorarium z księgarń było zajęciem nader upokarzającym. Jedni księgarze traktowali autorów jak kogoś, kto przychodzi „po prośbie“, inni znów z wyraźną odrazą jak komornika. A wszyscy mówili to samo: „Co ten Kister sobie myśli, wszystko ma już wypłacone i grosza mu się od nas nie należy. Niech pani spróbuje przyjść za miesiąc“. Oprócz „Roju“ były też roje małych wydawców, którzy jeszcze bardziej nabierali nieszczęsnych pisarzy. Jeden z nich naciągnął też samą naiwrą satyryczkę w ten sposób, że dał jej zamiast pieniędzy za książkę... weksle. Te weksle kazał jej zażyrować. W międzyczasie ogłosił plajtę i nieszczęsna ofiara swojej pisarskiej namiętności zmuszona była wszystkie pięć weksli sama wykupić! Była to najdroższa książka w jej życiu...

Magdalena Samozwaniec



Niezależny rząd włoski. *Rys. Renzo Vespignani*

Z SATYR HEINEGO

Nowe tłumaczenia ARTURA MARYI SWINARSKIEGO

PAN PLUSKWIAK

Raz rudy pluskwiak (pluskwiak, to taka
pluskwa płci męskiej) znalazł miedziaka.
Siadł na nim pysznie i, rzecz oczywista,
poczuł się zaraz jak kapitalista.

— Kto ma pieniądze — mówi — ten wszędzie
znaczenie u ludzi i sławę zdobędzie.
Kto ma pieniądze, jest piękny i panie
lecą do niego na zawołanie.
Gdy która mnie tylko poczuje z daleka,
blednie, bo tak ją mój fluid urzeka.
Ja już nie jedną noc majową
spędziłem w łóżku razem z królową.
Nie dałem jej zasnąć przez noc całą,
biedactwo się ciągle wiercić musiało. —

Usłyszał to czyżyk i samochwała
wcale mu się nie podobała.
Nastroił pełen złośliwych gam flet
i na śmierdziela wypuścił pamflet.

Plugawy pluskwiak, dotknięty pointe'ą,
rozgłasza plotkę, w mig podjętą:
— Czyż chciał ode mnie pożyczyć miedziaka,
a ja nie dałem. Stąd gniew tego ptaka! —

A morał? Autor wyznaje szczerze,
że woli raczej milczeć w tej mierze.
Narazić się panom pluskwiakom nie radzę —
bogate robactwo wielką ma władzę.
Siedzi okrakiem na workach złota,
i chytre oszczerstwa bezkarnie miota.
Co nam zostaje? Tylko milczenie.
A spróbuj zadeptać podłe nasienie,
rozejdzie się zaraz fetor na milę,
pięty pobrudzisz juchą — i tyle,
bo któż by się dzisiaj z robactwem uporał?
Nadejdzie pora, to będzie i morał...

DOBRY CZŁOWIEK

Bezcennych nie szczędzili mi rad.
Mówili, że wprowadzą mnie w świat,
że znajdą się plecy dla franta jak ja,
że mam tylko czekać dzień albo dwa.



Rys. Maja Berezowska

Lecz obiecanki-cacanki. A niech
to wszyscy diabli! Z głodu bym zdechł.
Aż nagle jak z nieba zjawił się — on!
Wiem, nie zapomnę mu tego po zgon.

Zajął się mną jak jeszcze nikt.
Daje mi przyodziewek i wikt.
Lecz radźcie, jak mu dziękować mam,
bo tym aniołem jestem ja sam.

MASKARADA

Podaj mi szpetną maskę chuligana!
Bo jeszcze sobie naprawdę ubzdura,
że się jak ona w cudze stroję pióra,
banda, za ludzi uczciwych przebrana.

Podaj mi słowa z rynsztoku! Do rana
będę udawał chama i rajfura.
Na dziś wyrzeknę się skromności, która
bywa przez kpów na sprośny pysk przywdziana.

Tańczę, a w koło królowie, rycerze,
mnichy i pazie — cała maskarada
przygląda mi się i nikt nie wie, kto to.

Biją mnie wszyscy, aż ochota bierze,
zdjąć nagle maskę z twarzy — wtedy, biada!
zamknę ci gębę, wisielcza hołoto.

KOŃ I OSIOŁ

Po szynach żelaznych, jak wicher, jak grom,
pędzi lokomotywa;
na maszcie komina bandera ze skier
sycząc powietrze przeszywa.

Opodal toru siwek stał
i patrzył, co to za dziwy.
A przy nim osioł, jak gdyby nic,
spokojnie skubał pokrzywy.

Długo i bacznie spoglądał koń,
jak pociąg w dali znika.
A potem westchnął, uronił łzę
i zatrząsł się niczym osika.

— Piekielny widok! I gdybym już
z natury nie był siwy,
zaiste, natychmiast osiwiałbym
cały, od kopyt do grzywy.

Nieszczęście spadnie na koński ród,
gwałtowna go czeka zagłada.
Choć jestem biały, czarny mój los
i czarna przyszłość — o biada!

Ta konkurencja zniszczy nas wnet,
ten potwór nas przegoni.
Do wozów człowiek zaprzęga, patrz!
żelazne bydlę miast koni.

A skoro już raz niepotrzebny mu koń,
to jak na siebie zarobię?
Przepadnie dach nad głową i wikt.
Żegnajcie, stajnio i żłobie!

Pożyczać nie może koń ani kraść,
to zdarza się tylko u ludzi;
ni merdać ogonem jak człowiek czy pies,
pochlebstwem litości nie wzbudzi.

Człowiek ma serce twarde jak głaz.
Na bruk mnie wypędzi i kwita.
Tułaj się, szkapo, marznij i pość,
aż z głodu wyciągniesz kopyta. —

Tak prorokował i skarżył się koń.
A osioł nic, bo po prostu
zajadał w spokoju ducha i zjadł
podwójną porcję ostu.

Wreszcie oblizał gębę i rzekł:
— Rozsądnie dowodzisz i ściśle.
Więc się, mój drogi, frasuj, trap,
lecz ja się tam martwić nie myślę.

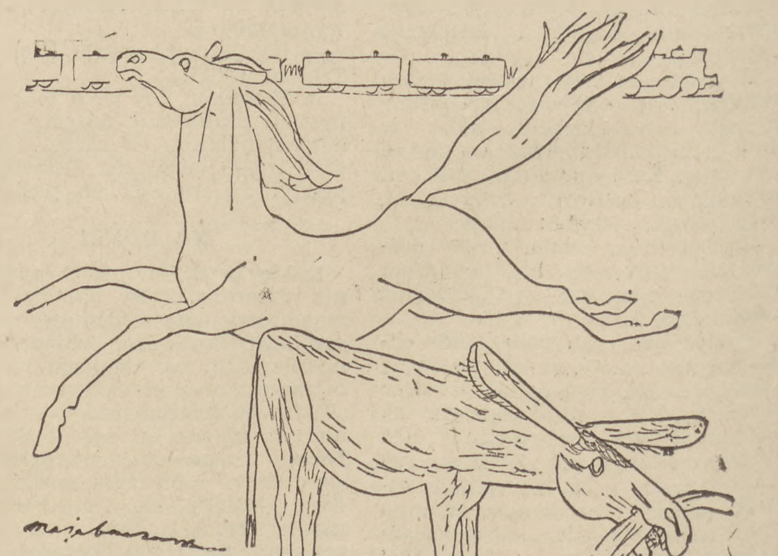
Wy, dumne konie — to smutny fakt —
jesteście zgubione, masz rację,
lecz skromnych osłów nie wpędzi los
w podobną sytuację.

Trudno, przeżytkiem staje się koń,
bez względu na maść i na rasę.
Lecz osła nie zastąpi nikt,
więc jeszcze na świecie popasę.

A niech sobie kują maszyny i niech
z kominów puszczają parę!
Wierzaj mi, trwalsze niżeli spiż
są osły ciche i szare.

I niebo, protektor potulnych serc,
roztacza nad osłem pieczę,
bo osioł cierpliwie, jak ojciec i dziad,
swe worki do młyna wlecze.

Żarna ziarno na mąkę trą
i z mąki piecze piekarz
chleb i kołacze, i człowiek żre...
A ty na człowieka narzekasz?



Rys. Maja Berezowska

Dopóki światem będzie świat
i kłosy będą rosły,
i koła będzie obracał młyn,
dopóty będą osły! —

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro, tel. 4-01-80, wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa, ul Wiejska 12, tel 7-52-50. Wydaje RSW „Prasa“.
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch“. Oddz. w Warszawie, ul Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48 — Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy, Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa“ W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/111, tel. 7-38-05,
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa“, Warszawa, Marszałkowska 3/5. 1-B-23618